# Wydawnictwo
# na cele dobroczynne
# SAMBORSKIE.

# V. ROCZNIK.

## Nowa serya illustrowana

wydana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.



Cena 1 złr. 50 ct. w. a.

Przemyśl.
CZCIONKAMI S. F. PIĄTKIEWICZA.
1881—1882.



Wydawnictwo

na cele dobroczynne

SAMBORSKIE.

# V. ROCZNIK.

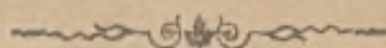
Nowa serya illustrowana

wydana

NAKŁADEM I STARANIEM

G. Kohna.

(Z zastrzeżeniem praw wydawcy i współpracowników).



Przemyśl.

CZCIONKAMI S. F. PIĄTKIEWICZA.

1881—1882.

# DZIAŁALNOŚĆ LITERACKA

## Stanisława Tomkiewicza.

---

Umieszczając na początku niniejszego „Rocznika“ utwor Stanisława Tomkiewicza, członka „Koła literackiego“ w Krakowie wraz z portretem autora, winniśmy szanownych czytelników bliżej zaznajomić z działalnością literacką tego pisarza, który ostatnimi czasy wszedł na widownię naszego piśmiennictwa i którego przyszłość można już dzisiaj przewidzieć. —

Stanisław Tomkiewicz jest Litwinem. Urodził się i wychował na Litwie, nauki zaś i uniwersytet kończył w Galicji, we Lwowie i Krakowie, a obecnie przebywa może tylko chwilowo w Wielkiem ks. poznańskiem.

Pierwszą pracą jego ogłoszoną drukiem była:

*Ruiny zamku Melsztyna.* Drukowana w „Tygodniu.“ Lwów r. 1877.

Następnie wydał:

2.. *Litwa,* dramat liryczny w 4. aktach na tle „Lituanii“ Grottgera, oraz kilka ulotnych wierszy. Kraków 1878. (Pseudonim : Ajram.)

3. *Życie i działalność literacka J. I. Kraszewskiego.* Druk. w „Gwiazdce Cieszyńskiej“ w r. 1879, którą to pracą sędziwy Paweł Stalmach, zasłużony redaktor pisma polskiego przez trzydzieście kilka lat wydawanego na Szlązku — oddał hołd czcigodnemu jubilatowi.

4. *Sztuka a społeczeństwo w Polsce,* brak poczucia piękna i środki zaradcze. Druk. w III. Roczniku naszego wydawnictwa r. 1879.

5. *Sonety litewskie,* oraz uwagi o sonetach i ich autorach w ogóle. Druk. w III. Roczniku naszego wydawnictwa. Sambor r. 1879.

6. *Król Henryk Walezy a Zborowscy,* szkic historyczny. Druk. w „Świcie“. Tarnopol 1880. — Toż samo, wydanie drugie, osobne. Nakład redakcji.

7. *Wiersz* na 50-cioletnią rocznicę powstania listopadowego. Kraków 1880. Nakładem A. Koziańskiego.

8. *Na Irtyszu,* poemat na podstawie wspomnień autora „Czarnej księgi“. Druk. w IV. Roczniku naszego wydawnictwa. Sambor 1880.

9. *Pieśń z pieśni miłości,* poemat. Kraków 1881. Nakładem A Koziańskiego. (Wydanie ozdobne.)

10. *Przyczynek do biografii Wł. Syrokomli* na podstawie autografów. Praca ta zapowiedziana została prospektem „Tygodnika illustrowanego warszawskiego“ na rok 1882.

11. *Zamek bydgoski,* powieść poetyczna. Druk. w niniejszym V. Roczniku Samborskim.

12. Należą tu także ulotne wiersze rozrzucone po różnych pismach jak: Wiersz na rocznicę śmierci A. Mickiewicza, Pieśń cyganki przy kołysce, Szczęście i egoizm, Posiedzenie djabłów na bruku Krakowskim, Do Lwowian, Przed pochodniami Nerona, Co to jest całus i t. p. Pojawiały się też wiersze satyryczne w „Djable“ krakowskim, „Szczutku“ lwowskim i „Meteorze“ wiedeńskim — z podpisem S. lub pod pseudonimem „Suzin“. —

13. Wiele artykułów krytycznych i sprawozdawczych z dziedziny sztuki i literatury między tymi większe jak: Młodość F. Karpińskiego, Byron w tłumaczeniach polskich, Słówko o Litwinach i ich literaturze, oraz wiele korespondencyj a nawet artykułów politycznych.

14. Dodajemy jeszcze, że według doniesień dzienników p. Stanisław Tomkiewicz miał w r. 1880 publiczny odczyt w Szczawnicy z ogromnem powodzeniem na temat: „Z dziejów miłośnych Mickiewicza, Słowackiego i Krasińskiego, oraz wypowiedzenie ich idei narodowych.“

15. W roku zaś 1881. jako zwyczajny członek „Koła literacko-artystycznego“ odczytał tamże p. Tomkiewicz w obec licznego zgromadzenia przekład swój wierszem rymowanym „Pieśni nad pieśniami króla Salomona,“ (Szir Haszirim), o czem donosząc „Czas“ krakowski podaje, iż przekład ten posiada wszystkie cechy oryginału. —

16. Tenże sam dziennik zapowiadał w Krakowie odczyt komedyi p. Stanisława Tomkiewicza p. t. „Darwiniści“. Nie wiemy jednak, czy odczyt ów rzeczywiście nastąpił.

Mamy jednak nadzieję, że przedmioty powyższych odczytów jako dokonane już prace zechce p. Tomkiewicz podać do druku.

17. Z listu prywatnego dowiadujemy się, że p. Tomkiewicz przetłumaczył początek tragedyi Szylera „*Dymitr*“ i następne akta kończy samodzielnie.

Z tego co powyżej zanotowaliśmy możemy ocenić pracę i płodność pisarza i poety, którego portret zamieszczamy w tegorocznym tomie naszego wydawnictwa, mając niepłonną nadzieję, że przyszłość pokaże i jeszcze lepiej usprawiedliwi to stanowisko i znaczenie, jakie już dzisiaj przyznajemy p. Stanisławowi Tomkiewiczowi jako pisarzowi i poecie wielce uzdolnionemu i obiecującemu, boć wiemy że utwory jego dotychczasowe to dopiero próby i prawie wszystkie jeszcze na szkolnych ławach pisane były.

*Redakcja Roczników Samborskich*
w roku 1881.

# ZAMEK BYDGOSKI.

## POWIEŚĆ POETYCZNA

przez

Stanisława Tomkiewicza.

---

Płomień rozgryzie malowane dzieje,
Skarby mieczowi spustoszą złodzieje,
Pieśń ujdzie cało, tłum ludzi obiega,
A jeśli podłe dusze nie umieją
Karmić ją żalem i poić nadzieją,
Ucieka w góry, do gruzów przylega,
I ztamtąd dawne opowiada czasy.

*Adam Mickiewicz.*

### WSTĘP.

Prędzej, prędzej — bliżej dzieci.
Bo się nowa powieść kleci.
Posłuchajcie, weźmiem lutnię
Naszych ojców — są w niej jęki,
Co brzmią z zgrzytem — cicho, smutnie,
Jakby dusze znosząc męki.
Dziś — poruszym zardzewiałe
Struny lutni, aby w dźwięki
Ująć czasy zapleśniałe
I z nich stworzyć wam piosenki.

Patrzcie: het po naszej ziemi —
Nad rzekami, nad wodami,
Nad zamkami zwalonemi —
Duchy błądzą — a z duchami
Wiatr rozhowor codzień wiedzie;
On przewiewa wszystkie kraje,
Wszystkie wieki w szczęściu, biedzie,
I za świadka przyszłym staje. —
Duchy błądzą, czarne duchy,
Na pokucie za swe winy —
Szczęsne — wiatr im szepce głuchy:
„W wasze ślady idą syny!"—
Więc te prochy z czarną duszą,
Którym dzisiaj złorzeczycie —
Parskną w oczy i zagłuszą,
Krzycząc: Czyjeż gorsze życie?
Lecz dość tego, to ciekawe,
Rozgrzebiemy więc mogiły,
Zstąpim w dawne wieki krwawe —
Jak te prochy żyjąc — żyły!....
Czarną kartę odwrócimy
I wywleczem ojców winy:
Może temi — was zbudzimy,
Może te — wyrodzą czyny!
Sławą, chwałą was znudzili,
„Rozmarzyli," „zanielili,"
Więc gdy wielkość nie podnosi
Ani serca, ani duszy,
Pieśń dziś czarne czyny głosi,
Może zajmie, może wzruszy. —

Ha! daremnie — tego nie chcę,
Chodźcie dzieci, jeźli chcecie, —
Powieść słuch, ciekawość łechce —
Przy niej błogo też uśniecie!

Spijcie błogo i spokojnie...
Kiedyś nowsze pokolenia
Po męczeńskiej ludu wojnie,
Gdy się spełnią przeznaczenia, —

Koło mogił już w miljonach
Będą pomnik wam stawiali
I wypiszą przy imionach:
„Ci do grobu lud składali!”...

I.

## WYPRAWA.

Mgłą odziane stoją wzgórza,
Z wschodem słońca mgła opadnie:
Ziemia z mgły się też wynurza;
Lecz w mgle wieków któż odgadnie —
Co trzymała na swem łonie,
Co więziła może w sobie?..
Dziś — w przeszłości wszystko tonie,
Dziś — spoczęło wszystko w grobie.

Wszystkie marne ludzkie dzieła,
Co dziś ledwie resztką świecą —
Na swe barki chętnie wzięła —
Aż się same nie rozlecą.
I powoli tak koleją
Wszystko z ludźmi nawet mija,
Nawet wieści się rozwieją —
Nim je pamięć chwyci czyja. —

Dziś — i my już tak daleko
Od tych czasów, gdy te góry —
Co rozsiadły się nad rzeką,
Kryły zamku silne mury,
I historyi się nie dowiesz
O tym grodzie, jego panach,
Na pytanie — nie odpowiesz: —
Kto legł w gruzach, w tych kurhanach?...
Tylko powieść ludzi z gminy
Mgławą wieścią się unosi, —
Tylko znajdziesz dziś ruiny,
Tylko lud — ich dzieje głosi.
Więc do ksiąg zazierać marnie,
Ale warto słuchać ludzi....

Starzy gwarzą, młódź się garnie —
I ciekawość powieść budzi.

Polska była wonczas wielką,
Choć zalana wojny burzą,
Lecz już źle się pono działo,
Bo rządzących było dużo,
Co gardzili władzą wszelką,
A posłusznych bardzo mało.

Każdy pan i każdy książę
Nie chciał uznać króla woli,
Jeżli inną powziął wprzódy.
Pokój, jedność — płonne trudy,
Co król spoi, to rozwiąże
Lada który miecz w swawoli. —
A choć mało — byli tacy,
Którym miecz ich był rzemiosłem
I rabunkiem z cudzej pracy
Żyli w chwale z czołem wzniosłem —
Wszystko znikło! . . . . . .

Ileż razy
Ludźmi ziemię już zasłano,
Czas rozsypał zamków głazy,
Kiedyś — nowe na nich staną.
I tak gdybyś naszą ziemię
Mógł rozkrajać, rozbić młotem,
Tobyś widział warstwy gruzów,
Oddzielone krwawym potem;
Tobyś widział wciąż mogiły —
W których ludów przeszłość drzemie,
Jedne — łzy już całkiem skryły,
Drugie — klątwy kryją niemie. —

Ot — za dawnych jeszcze czasów
Przed wojenną falą burzy,
Wśród pól żyźnych, łąk i lasów
Stał tu zamek silny — duży,
A w nim mieszkał pan tak srogi,
Co gdy swą prawicą skinie,

Lecą mordy i pożogi —
A na ziemi krew popłynie,
I jak każe — sypią wały
Jeńcy wzięci do niewoli,
A jak krzyknie drży dwór cały,
I jak smagnie wszystkich boli. —

W Polsce wszędzie gość był święty,
Bo gość w domu to Bóg w domu.
Tu — gdy przyszło wstąpić komu —
Chętnie, mile był przyjęty,
Bo odarty z szat i mienia
I przez dworskie psy wyszczuty,
Gość znaczniejszy — do więzienia
A uparty — szedł pod knuty...
Bity — gość więc bywał zawsze,
Pan — o cnoty się nie troszczy,
Więc i czasy nie łaskawsze:
Zamek — imię miał Bytgoszczy.

Lecz oddawna pan już z domu
Nie wyjeżdżał na rozboje,
I oddawna te podwoje
Nie rozwarły się nikomu,
A pachołki szepcą skrycie,
Jak ich pani zgasło życie....
Bo tak nagle — że gotowi
Pleść, iż mąż ją zamordował,
Lecz się boją, pan się dowie,
Choćbyś skrycie myśl zachował. —

* *
*

I tylko jedyne dziecię
Została córka mu młoda,
A już słynęła po świecie
Jej krasa, wdzięk i uroda.
Bo lica — jak ranek wiosny
I długie, krucze warkocze,
Na ustach uśmiech miłośny,
Oczy — błękitne, urocze. —
Ale — czy kocha go szczerze?
O nie! bo kwiat jej młodości

Zatruły ojca grabieże,
Okryte wzgardą ludzkości. —

A w zamku — parno, gorąco,
Choć dzień dziś chmurny i mglisty,
Deszcz omył ziemię rzęsisty
I w ciszy burzą grożącą
Niebo pokryło się w chmury,
A w chmurach wiatry zawrzały,
Wszczął się chór grzmotów ponury
I z zgrzytem biły pioruny. —
Zamek w posadach drżał cały,
Brzęcząc szybami jak w struny. —
Lecz mimo srogiej natury,
Dziś — ogłoszono wyprawę,
Nim trzykroć zapieją kury,
Ruszą na mordów zabawę:
„Zatrąbić! Wszystkie rumaki
„Gotować dzisiaj do wojny
„I kopje, miecze, szyszaki, —
„Trudy zapłaci łup hojny!" —

Lecz córka w trwodze drży cała,
Jeszcze odmienić chce może,
Bo tak dziś ojca błagała,
Klękając przed nim w pokorze:
„Ojcze i panie — patrz, na kolanach
„Błagam cię dzisiaj ze łzami!
„Nie jedź! sen miałam, żeś był w kajdanach!
„Nie jedź! o — trwożę się snami!
„Ojcze! wszak burza, gromy i błyski
„I wody Wisły wezbrane —
„I dziś już boskie grożą pociski —
„I ja tu — sama zostanę! —

„Ojcze! wiem wszystko — ty na Krzyżaków,
„Na wrogów wiedziesz wyprawę;
„Lecz z nimi pokój wzniósł król i Kraków,
„Te ziemie dał im w dzierżawę!
„Zerwiesz ten związek, to zawsze chciwy
„I do napadu gotowy
„Zakon nas zniszczy i nasze niwy . , .

„O pokój trudno już nowy!
,Ojcze! ty śmiechem przyjmiesz me słowa,
„Lecz — ceń swe życie i zdrowie!
„O! ta wyprawa — będzie grobowa....
„Co król, co naród nam powie!....
„O!“ . . . . . . . . . . . . . . .
— „Dosyć tego! co to się znaczy
„W nie swoje wtrącać się rzeczy,
„Mam głupiej, babskiej słuchać rozpaczy
„I twojej oddać się pieczy?
„Król tobie wyższy niż własny ociec,
„Choć jam tu królem nad wami,
„Lecz wam — mych planów, losów nie dociec
„Tam — do cyganek idź z snami!”...

I z gniewem wiszącym w oku
Spojrzał na córkę swą z góry
I brzęknął mieczem u boku,
A trzeci raz piały kury. —

Trzy razy trąba zagrała
I most spuszczono zamkowy —
Krzykiem drużyna zawrzała
I stęknął most od podkowy.
A pan na koniu swym wronym,
Na czele zbrojnej drużyny,
W dal wiodąc wzrokiem zaćmionym
Spieszył do wrogów krainy.
A kiedy kawał już drogi
Ubiegli na koniach cwałem,
Pędząc na mordy, pożogi, —
Pan skinął! — Stanął z oddziałem
I kontent przejrzał szeregi,
Spojrzał ku jasnych wód toni
I rzekł: „Nad Wisły tam brzegi!”—
I znów zaszumiał bieg koni.

Wiatr od Bałtyku wiał mroźny
A światło od błyskawicy,
Gdy darł się z chmur piorun groźny,
Stal każdej lśniła szablicy. —

*   *
*

Trzy już doby nie ma pana,
Córka — czeka go — stroskana, —
Boleść serce jej rozdarła,
Nie ma przed kim się i żalić:
Matka — dawno już umarła,
Ojca — trudno już ocalić.
Za głęboko zabrnął w zbrodnie,
Już się cofnąć było trudno,
Mordy tylko siał swobodnie —
Bez nich wszędzie jemu nudno. —
Już dzień piąty nastał smętny,
Słońce zaszło, ale krwawo,
W dziejach pana był pamiętny —
Kończył szczęście tą wyprawą. —

A przy oknie swej komnaty
Siedzi smutna córka młoda
I ubrana w czarne szaty
Jakby skryta w kir jagoda.
W dniu tym — ojca wyglądała,
Lecz na myśl, że wróci z łupem —
Już się sama tego bała,
Bo łup zabrał z krwi okupem.
Tyran ojciec tkwi w pamięci,
Chcieć go zmienić już zapóźno!
Nikt nie zaklnie, nie uświęci,
Każdy sposób już napróżno. —

Biedne dziewczę! zadumane,
Opuszczone i znękane.
Szczęście niknie i nadzieje —
Czy los lepszy zajaśnieje.
Ha! daremnie! matka w grobie,
Ojciec — serca nawet panem, —
Zięcia sam wybierze sobie,
Wszak jest panem a tyranem....
Ród co z chwałą go piastuje,
Niech choć w linji drugiej żyje, —
Niech zięć — żony życie truje,
Jako wyższy — niższych bije!
I łza ściekła z ócz dziewczęcia,
Przypomniała ojca słowa:

„Ja wybrałem sobie zięcia
„Jako rodu, domu głowa!"
A choć dusza tak niewinna,
Jasna, szczera i dziecinna —
I choć serce nie kochało
I nikogo nie wybrało — —
Jakaś boleść piersi tłoczy,
Ból tamuje serca bicie,
Nie wysączą łez już oczy,
Błękit zawisł na błękicie....
Zda się ztamtąd chce pomocy,
Lecz już w duszy cienie nocy:
Zgasł i zwiędnie — kwiat w rozkwicie!

Cisza w koło tuli ziemię,
Słońce schyla swe ramiona,
Spokój zaległ wszędzie niemie —
Rzekłbyś — świat ten dzisiaj kona.
Słychać tylko kroki stróża,
On bram zamku nocą strzeże,
Lecz raz po raz się oburza
Na krążące nietoperze,
Aż mu czasem włos się jeży,
Bo niejeden żartobliwie
Skrzydłem w czapkę go uderzy,
Lub gdy słyszy sowy krzyki —
To na wszystko klnie złośliwie —
A zeń — śmieją się puszczyki. —
W tem z za wały —
Zdala szumi tentent koni,
Zdala trąby już zagrały — — —
Z okna słychać głos: „to oni!"
A gdy z baszty już zamkowej
Rogi trzykroć się ozwały, —
Z echem trąby pogrobowej
Wjeżdżał orszak w smutku cały....
Bo pan — ranny!

Lecz na siwym tuż rumaku
Smutny jedzie młodzian w zbroi,
Jeszcze w zbroi i w szyszaku
I nic widać się nie boi,

Bo w około patrzy śmiały
W szumną zgraję choć w nieładzie,
Dadzą okup zań nie mały —
To — łup chwały w tym napadzie!

O! łup chwały? taka chwała
Nie przeżyje swej ofiary.
Chwałą — chwały to zakała, —
To zatruty brzeg tej czary,
Z której pić możecie radzi
Napój szczęścia i zdobyczy;
Lecz sam napój ten was zgładzi,
Bo najczęściej jad w słodyczy!
Wstrzymaj usta, nie giń marnie!
W tym napoju krwi są ślady —
Krwi — nie pije się bezkarnie,
Taka słodycz dzieło zdrady!
Patrz! o ileś wypił z innych,
Już twą własną dzisiaj płacisz;
Chwałą z łupu — krwią niewinnych —
Sam — zakrztusisz się i — stracisz! —

Z grobu — matka, której dziecię
Żyje przy twem wężem łonie,
Do mordercy wznosi dłonie:
„Jeźli nic już nie masz w świecie
„I w twej żądzy i w twej dumie
„Nic powstrzymać cię nie umie,
„Klątwa zmarłych niechaj w pęty
„Dziś sumienie związe tobie....
„A za życia tak wyklęty —
„Z śmiercią — spoczniesz w klątwy grobie!“ —

## II.

## OFIARA.

W okopy złożono część łupu,
Przy więźniu stawiono czaty;
On — czekać miał dnia wykupu,
Pan do swej wrócił komnaty. —

Rana goiła się w głowie,
Lecz dniowi klął pan wyprawy. —
A choć wróciło już zdrowie —
Umilkły uczty, zabawy...
Umilkły — pewnie do czasu
I w pochwach miecze zardzwiały
I spasłe konie już rżały,
Bo nie szczędzono zapasu. —

A młody Krzyżak w niewoli,
Lecz harda dusza rycerza:
Piosnkami żali się doli,
Piosnkami bole uśmierza,
I w oknie wsparty łokciami
Z spokojem — wzrokiem zatacza
Między wolnemi kwiatami —
Z westchnieniem więźnia, tułacza....
Myśli — i nagle się cuci,
Jakby odrzucał wspomnienia;
Dziwnemi słowy coś nuci,
Nikt nie zna słów tych znaczenia.
I często cisza jest głucha,
Wiatr — dźwięczny śpiew ten roznosi,
A dziewczę w sadzie go słucha
I łzą jej oko się rosi.
Raz spostrzegł młodzian dziewczynę,
Widzi ją codzień w ogrodzie —
I szczęsną zwie tę godzinę,
Choć siedzi w zamku o głodzie.
On — już zapomniał o świecie
I los go własny nie wzrusza,
Wzrok w tej utonął kobiecie,
Za wzrokiem — serce i dusza?

Dziś ona znowu przy wieży —
Nie ma go! Dziewczę się smuci
I już w zaroślе się chowa,
Lecz słucha, uszom nie wierzy
Brzmi jakaś nuta grobowa
Krzyżak po polsku dziś nuci....
Z za krat — brzmi piosnka w te słowa:

## ŚPIEW.

„Na wolnych ziemi jam zrodził się,
Alem ja nie miał wolności ich,
Bo nie szlachcice zrodzili mię!
A to los przodków i braci mych...
„Ja kiedym doszedł młodzieńczych lat
I kiedym poznał swój stan i los,
Jam zbiegł od ojców, poszedłem w świat,
Bo czuł niewolnik wolności głos!
„O! długa powieść mych życia burz,
Nim obcą siłę chwyciłem w dłoń,
Z nią ja się mściłem na wolnych już
Za mą niewolę! Dziś — wracam doń!...
„Czem świat mię witał — tem wita grób,
Ale ja nie znam zwątpienia dróg, —
Bom z zemstą zawarł wieczysty ślub....
Dziś ma niewola — jej nowy dług!
„Tyranie! córką nie ciesz się swą!
Przez nią wolności promyk mi lśni;
Ich własne dzieci rękojmią tą,
Co tryumf zemsty zapewnia mi!
„I jam za kratą w tak piękny dzień!
Lecz do mnie więzień nie przylgnie pleśń!
Ha! ona jest tu, jej mignął cień,
Zacznijmy teraz miłośną pieśń...
. . . . . . . . . . . . . . . . . .
„O — błogo dnie mi tu płyną,
Nie patrzę w dalszą mą drogę,
Gdy ciebie, luba dziewczyno, —
Gdy ciebie — ach! widzieć mogę....
„Ach! pójdź tu bliżej, aniele!
Niech się choć wzrokiem popieszczę;
Jam cierpiał w życiu swem wiele —
Czemuż mam cierpieć dziś jeszcze?
„O pójdź! pójdź, zbliż się jedyna:
Twój widok duszę mą wzrusza —
I serce żyć dziś zaczyna —
I oko z łez się osusza!
„Czekam wolności, lub zguby,
A czekam jęcząc w niewoli,
Lecz ty mi, aniele luby —

Ulżysz, och! ulżysz niedoli!
  „Przyjdziesz tu — wierzę i czuję.
  O! przyjdziesz, — bo jak Bóg w niebie, —
  Twój wzrok mi tkankę tę snuje
  Z wieczystych uczuć dla ciebie!
„Och! gdyby choć słówko twoje,
Gdyby choć ust twoich tchnienia
Podały mi te powoje,
Co pną się do krat więzienia!...
  „Gdyby — ach! gdyby nie kraty —
  Czybyś mię u nóg przyjęła
  I dała całować szaty....
  I .... słuchaj luba!.....
          Zniknęła!"...

  Zniknęła, spieszy w komnaty,
W sercu jej trwoga się wzmaga;
Mogły ją widzieć tam czaty —
Czyn taki — rodu zniewaga.
Więc myśl się inna zrodziła,
Roztlały skry serca, duszy
I pała w piersiach ta siła,
Co więzy niewoli kruszy! —

  A myśl rycerza czy pusta?
Nie wiem, bo nagle się zwrócił
I w śmiech nastroił swe usta
I tak — już sobie zanucił:

„Mamy śmiech w ustach, wy w sercu śmiech,
  Wasz fałsz spokoju zagładą!
My jeźli zdradzim to jeden grzech,
  A wasze życie jest zdradą; —
U nas nie dość że jest mowa,
  Niech głębin duszy docieka —
Czy z serca płyną nam słowa,
  Kto chciałby zbadać człowieka....
Lecz u was wszystko płynie z dusz,
  Prawdy — nikt nigdy nie zbada, —
Wy — czułe, giętkie na wszystko już,
  U was — z serc płynie i zdrada!"...

Pięść zwinął, uderzył w ciemię,
Wstrząsł się i w górę wzniósł rękę. —
Machnął nią, upadł na ziemię,
Śmiechem zakrztusił piosenkę! —

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Czarna noc zaległa w koło,
Tuląc gwary pod płaszcz ciszy. —
Nawet księżyc ukrył czoło,
Tylko lekki wietrzyk dyszy.
Tylko czasem szmer przeleci
I choć późno — w oknach zamku
Tu i owdzie światło świeci,
A pod bramą na odłamku
Starych murów strażnik drzemie,
Noc jak matka swoje dzieci —
Utuliła całą ziemię. —

W dolnych izbach światło płonie,
I w okienku małem błyska,
Z wolna — w nocnych cieniach tonie,
Jak skra w głębi popieliska.
Tam ciekawość jeszcze czuwa,
Bo siadł w kącie stary sługa —
Bajkę z bajki wciąż wysnuwa,
W koło — młodzież ziewa, mruga, —
Lecz słuchają go ciekawi,
Może nawet spać się boją,
Stary — coś o strachach prawi, —
Strachy młodym się już dwoją —
I choć każdy chętnie słucha,
Bo ciekawość go wciąż łechce,
Strach nie jednym zaparł ducha,
Że i spać się już odechce.

Ot, dzisiejszej nawet nocy —
Coś straszyło koło wieży
I — by uciec czartów mocy —
Odmówiono pięć pacierzy.
Lecz się trudno uspokoić,
Stary widział na swe oczy
Czarną postać, . . . . każdy wierzy —
I jak wreszcie wśród ciemności —

Jedna — wszczęła mu się dwoić . . .
I jak słyszał nawet jęki,
Jakiś szelest i szeptanie
I łańcuchów głuche dźwięki —
Słyszał rżenie, — dziwne śmiechy —
I jak mówił: tętent głuchy
Podziemnemi niknął echy, —
To znak, że to piekieł duchy. —
A choć ręczył na sumienie —
Czy to prawda, czy nie mary?
Któż wie, może, że złudzenie,
Może zresztą zmyślił stary....

* *
*

Ranek brzaskiem dnia zabłysnął
I do pańskiej już komnaty
Snop promieni z słońca cisnął,
A tam — pan bogate szaty
Zrzucił z siebie — rozebrany
Padł na wezgłów swój bogaty,
Lecz spać nie mógł skołatany:
W piersiach — miota się sumienie,
A gdy w końcu oczy zmruży —
To śni strasznie coś o wojnie
I sen gorzej jeszcze wróży.....

Raz się śniło, że rycerze
Wpadli — zbili mu drużynę,
A zdobywszy wszystkie wieże
Obrócili gród w perzynę.
Sen ten jego niepokoi
I sam — czuje się znękany,
Pierwszy raz się czegoś boi,
Strach — szalone tworzy plany.
Gdy w tem zoczył burgrabiego,
A ten drżąco i w cichości
Opowiadał coś ważnego....
Pan się zerwał pełen złości,
Wkładał szaty, lecz wzburzony,
Nogi drżały mu w kolanach, —
To raz blady, to czerwony,
W takich ciągle był przemianach,

Kazał wołać córkę swoją — —
Przyszła — — —

Blada, wzrok zamglony
Dziwnym blaskiem pomieszania,
Jak w godzinę już konania...
I pierścienie czarnych zwoje
Po ramionach rozrzucone, —
A jej kibić tak chwiejąca,
Jako brzoza ta płacząca,
Co się w każdą chyli stronę...
Stała przed nim cała drżąca...
Ojciec — zatrząsł się i wrzasnął! —
Ona — do nóg się rzuciła:
„Ojcze! ojcze! — przebaczenia!
„On Polakiem, jam odkryła,
„To w przyszłości nasz obrońca!"...
Ha — lecz ojca to nie zmienia, —
Tam — współczucia płomień zgasnął,
Pchnął i skinął: — „Do więzienia!"

Wykonano.... a od czasu
Tego ranka pan smutniejszy,
Zdala zabaw, uczt hałasu,
Codzień dzikszy, dziwaczniejszy.
I czas płynął jak wiek długi,
A załoga i zamczysko —
To cmentarne w grobie sługi,
To ich wspólne grobowisko.
Lecz mogiły to straszniejsze
I straszniejsze grobu cienie,
Gdy za życia grób ogarnie
I piekielnych kar męczarnie,
Aż pierś stoczy im sumienie,
Nim zgryzieni — zginą marnie!...

Koniec zimy i już wiosna, —
Ptasząt śpiewka brzmi radosna;
Może piękne dnie nastaną,
Pana zmienią, ułagodzą,
A i córkę pogardzaną
Może — one oswobodzą.

Lecz któż pozna losów kartę,
Nim jej życiem nie odczyta, —
Chociaż księgi jej rozwarte,
O treść jednak przyszłość pyta. —
A wysoko ponad zamkiem
Już żurawie w lot wesoło —
Przed srebrzystym rosą rankiem
Zataczają błędne koło.
I całemi wieczorami
Nuci słowik znów miłośnie,
Między drzewy i krzaczkami
Skacząc, pieśń o nowej wiośnie. —

Spiew — a tam co? czy słyszycie?
Tam w więzieniu płacze biedna
Córka pana! Gorzkie życie,
Bo na świecie — sama jedna.
A choć jeszcze i zawcześnie
Cierpieć dla niej tak boleśnie,
Któż przebłagać śmie tyrana,
Gdy sumienia mu zabraknie, —
Kto srogiego zmieni pana —
Co choć drży a zemsty łaknie?
Córka winna! lecz czyż za to
Więzi ją, że kocha wroga?
O nie! obdarz go bogato,
A sam — wyprze się i Boga!
I z szatanem się pobrata,
Liżąc łapy, chyląc szyję,
By podniecać zazdrość świata,
A czyż wie że ją przeżyje?
I że duszę, co tak harda
Jego własny płód przykryje —
A tym płodem — żywych wzgarda!

W nocy wicher mroźny wieje,
A w więzieniu za kratami
Młode dziewczę z bolu mdleje,
Z wichrem łącząc się jękami —
Szum, jęk, ciemność! — Dziwne krzyki —
Sowa skrycie — pójdź! pójdź! woła,

Lecą gacki, a puszczyki —
Tylko śmieją się dokoła!.....

III.

## KARA i ZEMSTA.

Czas upływa — tak pomału,
Jakby fale wód Noteci,
Jakby Wisła wśród upału,
Lub jak sanna przy zamieci.
Aż gdy kiedyś w przedzaranie
Wbiegł murgrabia, zbladł jak mara,
Ledwie krzycząc: „Panie! panie —
„Na nas ciągnie wojska chmara!
„Masa wielka prosto kroczy,
„Że aż patrząc, wzrok się mroczy!“....
Pan się porwał — zguba bliska,
Więc tchu brakło, trząsł się cały, —
Rozdął nozdrza, wzrokiem błyska
I miecz wyjął zardzewiały:
„Ha! pokażem gdy nie wiedzą!
„Chociaż nasi cicho siedzą, —
„Co to znaczy, tak w najeździe!“.....
„Orła ruszać w własnem gnieździe!".....

Wybiegł, spieszy, lecz nim zdążył
Dobiedz mostu zwodzonego —
Cały zamek już okrążył
Pas rycerstwa krzyżackiego,
Długo wszerz i wzdłuż po błoni
Czarno było od ich koni;
Tylko płaszcze wiatr wydyma,
Jeźdzców w białym skrył obłoku,
I stal błyśnie przed oczyma
Błyskawicą w jego oku.,....

Wiódł ich młodzian wprost ku wieży —
Spojrzał, rzekł coś, mieczem zmierzył.
Z lica widać mu na zewnątrz,
Zemsta pali ogniem piekła,
I namiętność kipi wściekła
Jakąś walkę stacza wewnątrz.

Może zamiar kryje na dnie,
Ale jaki? .... któż odgadnie? ....
Dość — że jego miecz skinieniem
Rozwarł gardła trąb! Z ich brzmieniem —
Uderzono w mury zamku —
Przy wstającym z snu poranku.

Bronią mężnie, bo załoga
Wprawna w mieczu na gonitwach.
Odbijała dzielnie wroga,
Co wygrywał w tylu bitwach.
Pan pamiętny swych napadów
Na granicznych mu sąsiadów
Wspomnieniami krzepił siły,
Pomsty chęci go karmiły. —

Z pałającem krzyżak męztwem,
Choć krew z wielu piersi bucha,
I choć wielu w fosach tonie
Wszystkim dziś dodaje ducha
Braciom z miecza i w zakonie,
Przyszłem krzepiąc się zwycięztwem! —

Bój wre wściekły, w wrzawie bitwy
Słychać szczęki, wodzów głosy,
Trąby, jęki i modlitwy,
Lub krzyk z bolu pod niebiosy ....

Mur nadpsuty już zamkowy
I już legło mnóstwo trupa,
Już zasłano ludźmi rowy
I krzyżactwa trupów kupa,
Jedni — poddać się nie chcieli,
A że zamek tak warowny —
Drudzy twierdzy więc nie wzięli,
Chociaż żołnierz w stal okowny. —
Ale cóz to? brak im męztwa?
Czy zupełnie już osłabli?
Czy się zrzekli już zwycięztwa?
Taki popłoch, odwrót djabli.
O! nie brakło im dziś męztwa,
Ani zrzekli się zwycięztwa!

Dla pozornych popłoch znaków,
Zdradny podstęp to krzyżaków. —

Lecz na baszcie — już zagrzmiały
Trąby swym chrapliwym głosem
Na zwycięztwa znak i chwały
I nad wrogów dzisiaj ciosem.
A załoga znacznie mała
Ręce mężne opuściła,
Zda się bitwa dziś ustała,
Tylko ziemię krew plużyła..

A w tem — wszyscy cofający
Znów do zamku się obrócą
I w trzy działy wichrem rzucą!
Wszystko kipi jak war wrzący,
Każda zbrojna mieczem ręka:
Lecą, pędzą, ziemia stęka!

W zamku — popłoch, huczą rogi,
Ale teraz już do trwogi.
Ledwie garstka oblężonych
Wpadła bronić już na wały,
Wrogów czuli zwyciężonych,
A tu gorzał zamek cały, —
Bo rycerze tak jak sępy
Rwą i rąbią wszystko w strzępy. —
Trzasły bramy już okowy,
Zapadł, jęknął most zwodowy,
Po nim pędzą w cwał rumaki.
W zamku pełno wszędy wroga,
To dzień, rzekłbyś, sądny Boga, —
Jakie winy — wyrok taki.
Kłują wszystkich, co w oporze
Nie chcą poddać się w obroże,
Tych co zdają się z swej woli —
Biorą znowu do niewoli.
I rabunku dla nich wodze
Zostawione są w wolności,
Każdy niszczy co mu w drodze,
Gwoli zemsty, gniewu, złości,
A dowódca, rycerz młody

Sam dziś zwraca się ku wieży,
I zaporne zwala kłody,
I do lochów prędko bieży.
Tam — w podziemnym już krużganku
Blada, zimna córka stała,
Z mieczem nad nią stał pan zamku, —
Ona — życia nie błagała,
Bo wśród głazów — sama głazem....
W tem wszedł krzyżak! Błysły miecze!
I ostrzami zgrzytły razem;
Ten to natrze, ten odsiecze,
Aż skry lecą pod żelazem. —

Pierwszy raz się zwarły bronie
Samych wodzów tak w wściekłości,
Wzrok zabójczy w oczach tonie
Z zemsty, wzgardy i miłości.
Coraz bardziej zawiść żarzy
Serce wroga i tyrana.
O! któż legnie z tych zbrodniarzy,
Czyjaż będzie dziś wygrana?
Za kochankę krzyżak walczy,
Ojciec z zemstą przeciw parze;
Chce — gdy chwile życia starczą —
Wysłać trupy przed ołtarze. —
Już z sił resztą nozdrza harczą —
Już krwi dobył miecz zuchwalczy —
Już jęknęła pierś przeszyta —
I padł młodzian krwią zbroczony!
Ale dziewczę sztylet chwyta
I tak brzmi jej głos stłumiony:
„O morderco! — giń z mej ręki!
„Godna śmierć za twoje męki,
„Któreś matce mej zadawał...
„Tyś — narodu kaził chwałę!
„Tyś — krwią ludzką się napawał!
„Tyś — darł z obcych mienie całe!
„Tyś — swym — wstyd wydzierał skrycie!
„Tyś — kochanka wziął mi życie....
„O! zabójco i na zawsze — — —
„Piekieł pany! wy łaskawsze!”....
I padł ojciec, jęknął niemie,

Z bolu kopał, szarpał ziemię
I słów wyrzekł jeszcze parę,
A w nich było złorzeczeństwo,
Zabójczyni niosąc karę:
Ojca na nią to przekleństwo. —

Lecz szał — myśli jej już pląta.
Nic już nie wie, nic nie słyszy.
Tam u ciemnej izby kąta
Pierś kochanka jeszcze dyszy,
Tu — jej życie i nadzieje,
Choć już sama ledwie żywa.
Lecz w nim życie jeszcze tleje,
Więc upada na kolana —
Wściekła szałem, czuciem tkliwa,
I ojcowską krwią zbryzgana! —

Krzyżak wzniósł się, rozwarł oczy
I pierś swoję ręką ciśnie,
Kędy potok krwi się toczy;
Chciałby, zanim życie pryśnie,
Mówić jeszcze, spełnić dzieło — —
Zanim zstąpi noc grobowa,
By lżej w grobie się spoczęło,
Więc w te do niej rzecze słowa:
„Ja umieram, lecz karmiony
„Całe życie zemstą moją —
„Ginę — zemstą nasycony!
„O! — lecz szkoda, że twem ciałem
„Już się zmysły nie upoją — —
„Ja żyć z wami jeszcze chciałem,
„Jam — was dwojgu chciał mieć żywych,
„By zbezcześcić ród wasz dumny....
„Ojca — resztkę lat sędziwych
„Karmić hańbą aż do trumny!
„By przykuty na obroży
„Patrzał, jako chłopskie dziecię
„Syci rządze w córce pana!
„Lecz się stało! Śmierć nie trwoży
„I niczego nie żal w świecie — —
„Zemsta moja — dokonana!
„A ty? moja dziś wspólnica.

„Coś spełniła czyn tak godny —
„Weź nagrodę, wesel lica,
„Że ja — mściciel, chłop, wyrodny —
„Ja — nie podniósłbym na ojca
„Ręki z mieczem, by nie drgnęła:....
„Godna, godna siebie trójca,
„Więc — byś płacę godną wzięła —
„Wiedz, żem użył tylko ciebie,
„Gdyście wzięli mnie w niewolę,
„By z niej wyrwać jeszcze siebie
„I tyranów mścić swawolę!
„Ty zaś — naród byś zdradziła
„Swej miłości płaskim szałem!
„Za mnie ojca byś zabiła —
„Chociaż ciebie nie kochałem!“—
„Ach!“....

— „Tak luba, — nienawidzę
„Waszej krwi — ciemiężyciele.
„A dziś — tobą się już brzydzę,
„Bo krew ojca na twem ciele . ..
„Więc i cielska bym nie żądał...
„Ja — z miłości — twojej — szydzę!
„W piekle będę cię — oglądał.....
„Do widzenia — o!“....

—„Nikczemny!
„Giń z mej ręki! — Przeniewierca!“

. . . . . . . . . . . . . .

Mord zamieszkał ten loch ciemny,
Tylko ona jeszcze żyje, —
Ale w wściekłym bolu serca
Targa suknie, ciało, włosy, —
Jak zdeptany gad się wije,
Nozdrza wzdęte, w ustach piana, —
W przeraźliwe krzycząc głosy,
Woła jeszcze obłąkana:
„Precz! precz, zdala — precz odemnie!
„Miłołść — zbrodnią dokonana!....
„Ha! wam tęskno tam bezemnie!
„Pójdziem — chodźmy — na męczarnie —
„Tyran — zdrajca — ojcobójca!...

„O! nie minie czyn bezkarnie,
„J e d e n los nas wszystkich czeka. —
„Godną śmiercią — legnie trójca!
„Krew ojcowska skroń wypieka,
„Pali żarem — aż do kości —
„A na ustach jak płomienie —
„Jego zdrady pali tchnienie,
„Tak! kochanka — zdrajcy, wroga!
„A — tam słychać mamy gości,
„Słychać nieme jęki braci:
„Im — męczarnie dają kaci!
„Ha! męczarnie? z mojej winy!
„Więc dość! dość już — tej godziny
„Niech się stanie — tam podążę. . . .
„Kary szukać za mą winę —
„Piekło może z niej rozwiąże!“
„Patrz szatanie! i j a ginę! . . . .

I z sztyletem w piersi tkwiącym
Na dwóch trupów pada ciała
I w uścisku konającym —
Już na zawsze oniemiała.

Wszyscy — snem tym wiecznie zwarci
Czy już przebaczyli sobie?
Legli — wzajem tak rozżarci,
Że nie zgodzą się i w grobie! —

## IV.

## GRUZY.

Gdy krzyżacy lud wysiekli,
Mszcząc się śmierci wodza krwawej, —
Zamek sławny, cel wyprawy,
Zapalili z zemsty wściekli.

I wnet runął gmach wspaniały,
Grzebiąc w gruzach swego pana,
I nikt nie zna rodu chwały —
Tylko czarna dusza znana.

Wieki całe powieść żyje
I z ust do ust wieki płynie,
Bo czas zbrodni nie zakryje,
W ludzkiej wzgardzie nie zaginie
Ten, co przestał być człowiekiem,
Ten, którego nędzne szczęty
Przygniecione klątwy wiekiem,
Bo on — cudzą krzywdą wzdęty
W grób spokoju się nie mieści, —
I nie zazna żywych cześci. —

Zbrodnia — zbrodni rodzicielką!
W własnych dzieciach sąd znajdziecie,
I choć nową zbrodnią wielką
Spełni wyrok własne dziecię!
Dziś — niech każdy palcem wskaże
I synowi opowiada,
Że, gdy życie hańbą zmaże, —
Taki koniec i zagłada! . . . .

A u ludu wieści chodzą,
Że tam straszy zawsze w nocy,
Jakieś duchy tam zawodzą,
Wstają zmarli o północy.
Bo zaledwie zmrok zapadnie,
Ledwie dzienny gwar się ściszy
I omdleje w nocy na dnie —
Nikt już życia nie posłyszy;
I nikt nawet się nie waży
Wejść do zamku starych zgliszczy,
Bo złe duchy tam na straży
I złowrogi wiatr tam świszczy.

Nim nastanie chwila owa, —
Spokój — wietrzyk falę pieści;
W koło cisza — jak grobowa,
Bo liść nawet nie szeleści.
Nie śmie igrać wiatr z listkami,
Świerszcz tu nawet nie zaskrzecze,
I z swojemi kamykami
Nie poigra woda w rzece. —
Lecz gdy tylko już godzina

Pocznie północ bić z wieżycy —
Wtedy — straszną ta ruina,
Straszno — w całej okolicy.

Już puszczony wiatr na wodze!
Wnet zawinie tańca swego
I raz wpadłszy — wzdłuż po drodze
Pędzi kupą liścia zschłego.
Woda — pluszcząc w jednej chwili
Już złowróżbne budzi sowy,
Przestraszone ptactwo kwili
I piekielne drżą okowy. —
Jeźli która noc jest jasną —
Wnet posępne zajdą chmury.
I w około gwiazdy gasną,
Księżyc kryje się ponury.
A krzykliwie sowa kracze,
Słychać gdzieś gwarliwe tłumy —
I zaśmieją się puhacze,
Słychać — dziwne jakieś szumy.
I kobiece potem głosy,
Pełne śmiechu, pełne gniewu . . .
Czy ku piekłu, czy w niebiosy
Brzmią i nikną wśród powiewu. —
To się znowu krzyk rozlega:
„Niech przeklętą będzie ona!"
W koło echem tu obiega
I znów cichnie — z echem kona.
A wiatr — szumi, trzęsie drzewy,
Zda się walić dawne mury,
W nim usłyszysz ludzkie śpiewy.
Szum, gwizd, jęki, głos ponury. —
Cha! cha! cha! cha! — śmiech przeleci,
Lecz szyderski i szalony,
U bagiennych wód Noteci
Słabnąc niknie już omdlony. —
Tu — kobieta w czarnej szacie
Z włosem czarnym, rozczochranym,
I skrzydlate tu postacie
Wodzi wzrokiem obłąkanym,
I wstępuje na zwaliska
Z zemstą, z jękiem i w rozpaczy,

Krwią zbryzganym mieczem błyska,
A gdy w dali coś zobaczy,
To ku piersi ostrze zwraca,
Albo godzi znów na stronę,
Nagą ręką miecz obraca,
By pierś przebić niewidomą,
Lub się broni przed łakomą
Zgrają sępów . . . próżna praca!
Już jej czarną drą zasłonę,
Wzdłuż, wszerz, w koło gruzów biega,
Już przedranny wiatr przenika,
Więc do wód zwrócona brzega
Gdy kur pieje — sama znika. —

Ha! i cisza znów grobowa!
Ani huknie puszczyk, sowa,
Tylko czasem nad zamczyskiem
Jeszcze słońce zajdzie krwawsze,
Lub zaświeci ognik błyskiem
I znów wszystko tak jak zawsze!

## EPILOG.

Tak więc dzisiejsza powieść już skończona.
Chcecie się spytać? ja wam nie objaśnię;
Już składam pióro, bo i światło kona,
Kto wie, czy może w chwili tej nie zgaśnie?
Lecz nim w roztopie jeszcze knot utonie
I póki błyszczy jeszcze płomyk złoty,
Nim raz ostatni westchnie już przy skonie —
To i pogwarzyć staje mi ochoty. —
Każdy mój oddech to światełko wzrusza,
Wierzę więc ciągle, że się jaśniej wzbije,
Błądząc w świeczniku, jak po ustach dusza,
Gdy da ostatni człowiek znak, że żyje . . . . .
Lecz czasem — płomyk w pożar się rozwieje,
Więc jeszcze przy nim chociaż tak już słaby,
Mitycznym blaskiem wznosi się i mdleje, —
Plączę w rym słowa — dzielę na sylaby,
A wam — czyż trudno, kiedy chcecie słuchać,
Czyli na tyle dziś nie macie mocy,
Ten mały płomyk jeszcze raz rozdmuchać

I znów rozprószyć te ciemności nocy?
A czyż tak trudno światło dziś ocalić,
Gdy nie wygasło stare popielisko,
Jest jeszcze przy czem i jest czem rozpalić,
A wy — błądzicie chociaż droga blisko,
Lub od lat wielu tylko śpiecie wszędzie,
Myśląc co było — nie co jest i będzie!

Nie jeden wiele rzeczy wam powiedział,
Myśl się więc plącze, jakby wzrok pielgrzyma,
Co stanął, patrzał i gdzie iść — nie wiedział,
Myśląc, że dlań już nic nowego nie ma....
Tak myślał długo, zwrócił się obliczem
Naprzeciw wiatru, zdał mu się znajomym, —
Wzrokiem w przestworzu wodził nieskończonem,
Westchnął — i może nic myślał o niczem;
Ruszył — a wiatr ten krzepił jego siły
I szedł tam ciągle — z której wiał on strony,
Szedł aż napotkał gruzy i mogiły....
Klęknął — i szepce: „To mój kraj rodzony!
„Tu ma rodzina, tu mój naród cały!
„Cóż po pielgrzymce powiem mu tułaczej —
„Ha! o przeszłości? Gruzy z niej zostały!
„Powiem jak było — a było — inaczej!“....
Chciał jeszcze mówić, ale zmilkł z westchnieniem,
Wstał — i zebrawszy całe swoje siły,
Zbolały wiekiem, może też wspomnieniem — —
Już do najbliższej dowlókł się mogiły.
O czynach zmarłych począł biedz myślami,
Aby z przeszłości gwarzyć o czem stało ...
Lecz duch — z tamtymi złączył się duchami
Pozostawiając ludziom martwe ciało! —

KONIEC.

# Obecne nasze mieszczaństwo

skreślił z natury

E. L. Solecki.

---

Bezsprzecznie streszcza się siła każdego narodu w tak zwanym stanie trzecim (średnim), czyli w mieszczaństwie; a mianowicie od czasów rewolucyi francuzkiej stało się to przekonanie niezbitym na historji opartym faktem.

Wszelki postęp na każdem polu wszelkiej wiedzy znajduje poparcie przeważnie w miastach: słusznie też żywioł mieszczański reprezentuje parcie naprzód, gdy tymczasem lud wiejski i szlachta są w ogóle przedstawicielami żywiołu zachowawczego. Innemi słowy streszcza się ta prawda w zdaniu, że żywioł postępu roi się przy warstatach a żywioł zachowawczy przy roli. Dlatego też nasze plemię słowiańskie a mianowicie nasz naród polski, ruski i litewski jest jako rolniczy, przeważnie konserwatywnym i nie wydzielił z siebie do tej pory wiele żywiołu postępowego w materjalistycznem znaczeniu tego słowa, czyli że mieszczaństwo nasze jest jeszcze nader nieswojskie, nieliczne, niepotężne, że się dopiero tworzy.

Z tego wszakżeż bynajmniej nie wynika, że tam gdzie postęp ludzkości zależał na ugruntowaniu zasad konserwatywnych, nasze plemię i nasze narody nie

oddały jej należytych posług i że czynności tego naszego konserwatywnego rolniczego żywiołu stanąwszy w możnej, silnej, czynnej i na czasowej opozycji przeciw żywiołowi „parcia naprzód“ nie były tem samem rewolucyjnemi, gdyż właśnie walka tych dwu stronnictw, tych dwu przeciwnych żywiołów — to życie codzienne, które tworzy dzieje tak narodów, jak plemion i ludzkości.

Wszakżeż ogromnej przewadze siły konserwatywnej naszego plemienia a mianowicie naszego narodu nie przeciwstawił tenże do tej pory dostatecznego oporu w sile mieszczańskiego, ruchliwego postępu i ztąd pochodzi, że gdy wszelkie odcienia konserwatyzmu narodowego u nas aż do zapamiętałości wybujały, a w końcu spaczywszy się pozbawiły „Targowicą“ naszą ojczyznę bytu politycznego, nie zdobył się nasz naród do tej pory na dostateczny odcień żywiołu mieszczańskiego, któryby dosadnie parł ogół narodu na pole samoistnej, niezależnej siły wszystkich jednostek przeciw klasie posiadającej ziemię, a zatem na pole równowagi pracy i kapitału.

Gdy wzbogacony rolnictwem i pańszczyzną konserwatywny żywioł nasz zasklepił się w nader nielicznem kółku jednej niemal „familii“ a wybujawszy i spaczywszy się z nowa udowodnił, że każda przesada zasad propagowanych przez koterje, ogółowi szkodę przynosi i mści się tak na jednostkach jak i na narodzie faktami nieubłaganej historji, zrodziło się i u nas silne przekonanie o potrzebie podniesienia mieszczaństwa jako stanu średniego, łączącego lud zastały ze szlachetną częścią odrodzonych synów dawnej naszej szlachetczyzny. —

Oczywista że z natury rzeczy rdzeń naszego mieszczaństwa stanowi lud niegdyś wiejski osiadły później po miastach i miasteczkach, pracujący obecnie przy warstatach; zaś klasą podnoszącą go albo też (niestety!) przytłaczającą jest domorosły proletarjat dawnej szlachetczyzny wespół z napływowym ludem germańskim i Izraela.

Dzieje naszego narodu pouczają ciekawych, że od czasu gdy się żywioł nasz konserwatywny idei naro-

dowej sprzeniewierzył, a w końcu wzbogacony materjalnie ducha swego spaczył i byt polityczny narodu chwilowo zwichnął, ogół tegoż narodu pracując obok tego nieprzerwanie acz w swój sposób i nadal przeważnie konserwatywny, zetknięty z biegiem wieków z gwałtowniejszym obcym mu prądem postępu 19. stulecia, porwany przezeń i pozostawiony bez przewództwa bratniego — opiera się temuż gwałtownemu parciu całą siłą zastałej gnuśności i nieufności swojej nie mogąc wstrzymać biegu dziejów, i z tego to właśnie powodu oddziaływują nań niestety! wszelkie nauki 19. stulecia bardziej w negatywny niż pozytywny sposób. —

Taki sposób biernego pouczania mas ludu mieszczańskiego psuje też w końcu i samych nauczycieli, a co gorsza powołuje w szeregi mentorów również i wprost ludzi złej woli tak niestety! licznych w proletarjacie starej zbankrutowanej własnemi namiętnościaimi byłej szlachetczyzny, jak i w szeregach zbitych znanego małomieszczańskiego żydowstwa.

Lud nasz zatem mieszczański, ten stan średni naszego narodu, szarpany oboma tymi przemożnymi żywiołami zdegenerowanymi, żyjąc bez porady uczciwej a raczej drzemiąc bez niej, rozbudza się wprawdzie chwilowo w interesie obrony własnej osoby i własnego mienia, ale albo obroniwszy się czasami na powrót zasypia, albo co częściej zbudzony nie zastaje nic więcej do dalszej pracy, bo aktem budzenia ogołocono go ze wszej własności tak materjalnej jak i moralnej, i ginie marnie u swego negatywnego mentora w szynku pod ławą, lub u progu pałacu za jego grosz zbudowanego.

Smutno wyznać, że rozruszanie ludu naszego w ogóle a mianowicie mieszczańskiego pozostawiło u nas obecne stulecie niemal li tylko w rękach zdegenerowanego starego szlachectwa, obcego nam szczepu germańskiego lub bezsumiennej lichwy żydowskiej, zarówno te wyskrobki szlacheckie, jak i lud nasz gnuśny w brudnym ręku dzierżących. Smutno wyznać, że te ręce destrukcyjne znajdują poparcie u wszelkiego rodzaju agend publicznych, jakoteż w nieznajomości niezliczonych i zawiłych ustaw u ludu tego. Smutno wyznać, że lud nasz mieszczański tak nielicznych ma pozyty-

wnych mentorów, że tak leniwo za nimi dąży, że ich częstokroć zapoznaje.

Dzienniki niezawisłe, a przedewszystkiem edykta urzędowej gazety lwowskiej dowodzą aż nadto jasno, że niemal każdy zakąt naszego kraju posiada osobną acz analogiczną innym zbitą klikę złożoną z owych destrukcyjnych żywiołów przemożnych, które wyzyskują ten lud nasz mieszczański bądź fałszem kontusza pożyczonego, bądź sutaną zbrudzoną, bądź chytrą a usłużną jarmurką, a każda taka kategorya ludzi bezsumiennych znajduje swoje ofiary i swych obrońców.

Jedyną pociechą jeszcze w tym smutnym obecnym stanie mieszczaństwa naszego jest, że w każdym niemal takim zakątku mieszczańskich siedzib naszych już się znachodzą ludzie dobrej woli i wytrwałości, którzy tak z gnuśnością ludu jak ze złą wolą jego mentorów walczą a chociaż bez zasobów materjalnych są mimoto silni miłością ku temu ludowi, wiarą w opatrzność i nadzieją w przyszłość.

W licznych podróżach po naszym kraju poznaliśmy takich ludzi, co to o chłodzie i o głodzie, znienawidzeni przez owych negatywnych mentorów, pracują dla mieszczaństwa całą duszą w przekonaniu, że dobra ich wola wyda w przyszłości owoc pożądany.

Dziś wszakże — obecnie — mało śladów ich pracy, bo brak zasobów materjalnych czyni takową w nich mniej produktywną, a ile by zdziałać mogli i tacy ludzie przy pomocy finansowej, na to jest dowodem miasto Stanisławów, przemienione silną wolą jednego uczciwego, rozumnego i zamożnego (niegdyś) człowieka z kupy gruzów w trzeciorzędne miasto z kraju.

Okoliczność, że ten człowiek w tym procesie ekonomiczno-społecznym stracił swe mienie, czyni zasługę jego tem większą a nie powinna zrażać równych mu, bo czasy obecne są przyjaźniejsze i mniej niebezpieczne dla podobnych prac, niż te, w których on siebie i swój majątek na nie ofiarował.

Zanim więc mieszczaństwo samo z siebie podoła wyłonić mentorów pozytywnych i odpowiednich, jest obowiązkiem odrodzonych i zasobnych synów dawnej konserwatywnej szlachty stanąć na czele pozytywnych

mentorów obecnego stulecia, aby uwolniwszy lud mieszczański z rąk lichwiarskiego żydowstwa i zastoju społecznego, oraz naukowego, utworzyć silny zastęp mieszczańskiego żywiołu, tej szlachetczyzny nowożytnych czasów, by przez to siłę narodu naszego wzmocnić i czynami się odznaczyć w szeregach postępu ludzkości, bo kto stoi, ten się cofa na polu ekonomii społecznej.

Sapienti sat. —

---

# VITAM IMPENDERE VERO!

**(Purystom Warszawskim i starym dewotkom ofiarowane)**

Wyście zgorszeni, że ja w zapale
Nie czyszczę słów mych puryzmu mydłem —
Że dla mnie usta nie są korale —
Że dla mnie ludźmi nie są moskale —
Że bydło dla mnie jest bydłem.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . 
. . . . . . . . . . . . . . . . . . 
. . . . . . . . . . . . . . . . . . 

Gdy kraj szlachecki tracąc ojczyznę,
Czcił w swych herbarzach wolności zaród —
I jedną dłonią głaskał swą bliznę —
A drugą chłopa wiązał w pańszczyznę —
O, jakże nazwać ten naród?..
Czy może, wielbiąc poły kontusza,
Poły te w rymach wziąć za sztandary?
I płakać rany Prometeusza?..
Nie każda rana ludy porusza,
Bo są i zbrodni ofiary!
Nie stroję myśli w obłudne słowa.
Zbrodnia jest zbrodnią — a ludzka mowa
Czysta jak ludzkość, puryzmem gardzi.
Bądźmyż czystymi — a w słowie hardzi!
Prawda — to moja królowa!

*Henryk Merzbach.*

Bruksela 3. Marca 1868.

---

# Ślady krwi i ducha,

nowele polskie

*Władysława Ciesielskiego.*

---

„ . . . wystąpili z ziemi śmierci na świadectwo prawdzie.“

*Kaź. Brodziński. Posłanie do Braci wygnańców.*

## I.

— Żwawo Wiara! przed nami matka zakrwawiona, nieśmy jej broń! Niech żyje Polska! naprzód! marsz!—

— Niech żyje Polska! — zagrżmiało.

— Jeszcze Polska nie zginęła — zagrała muzyka.

Sztandary rozwinięto. Na falującem pąsowem tle, śnieżny orzeł unosi się w powietrzu jak duch boski w postaci białego gołębia różanym blaskiem promieniejący. — Langiewicz wysuwa kolumny. Jakby tknięte tajemną sprężyną, przerzucają się oddziały równomiarowym rzutkim ruchem.

Drogą od Staszowa ku Sielcom maszeruje 3ci bataljon strzelców.

— Trzeciaki — słychać głos kapłana — serca w górę! W imię Trójcy świętej: Bracia! błogosławię was! W imię Ojca i Syna i Ducha świętego!“— Krzyż na drogę śmierci — i głos rozrzewniony, za głosem kapłańskim z oczu wychyliła się łza, ale powietrze brzmiało muzyką: Jeszcze Polska nie zginęła. Bataljon z uśmiechem defiluje na śmiertelną paradę.

Kosynierzy w równoległej z bataljonem strzelców, posuwają się po za pierwszym rzędem domów. Nad brzegiem rzeczki stanęli rezerwą. Wzrok wytężyli na przedmieście. Po raz ostatni z pod Staszowa na bojową zachętę ślą braciom ożywcze hasło: „Niech żyje Polska!“

— Niech żyje Polska! — odzew daje wiara.

— Urra! — ryknęła Moskwa. — Grzmot strzałów, setki kul ryknęło w powietrzu. Dwie roty strzelców moskiewskich naprzód wysunięte, piorunową salwą zbudziły w młodzieży wspomnienia Szydłowca, Bodzentyna, Suchedniowa, Wąchocka i Św. Krzyża. Zwycięzkie duchy tych bitew unosiły się nad bataljonem. Chorąży wzniósł wyżej sztandar orła białego: za orłem poszły i serca.

Drewniane domy Staszówka na wzgórku obwiane płomiennemi sztandarami pożaru. Przedmieście jak męczennik kona w ogniu. Dzieci i kobiety pędzone przez dragonów, rozbiegają się po zaśnieżonych polach z płaczem i jękiem, zapadają w rowy przerzynające rolę. Kozacy na pikach podsuwają pod strzechy wiechcie zapalone.

Na przeciwległym pagórku ze Staszowa, wysunęły się oddziały powstańcze na prawo i na lewo; do wspólnej akcyi zmierzają flankierskim szykiem. Na rynku pozostały magazyny (wozy) pod asekuracją.

Trzeci bataljon nie patrzył jednak po za siebie. Niedaleko mostku rzuconego na rzeczkę Czarną, przerzynającą nizinę pomiędzy Staszowem a Staszówkiem, zmieniono linję pochodową w bojową.

Dwie roty strzelców moskiewskich grubieją w oczach powstańcom: z głębi płonącej uliczki, dwie kompanje piechurów występują. Strełki mostek zasypują ogniem. Salwy zmieniają się w grzechot.

Po ruchach znać wrogów, iż ci zamierzają sformować kolumny szturmowe. Plutonowy ogień 3. bataljonu szesnaście razy myli im szyki. Po salwach kompanje polskie wdzierają się na most, ostatnie w marszu nabijają broń.

— Wara od mostu! — słychać za plecyma. — Moskwa na most skoncentruje strzały!

Nie przebrzmiał okrzyk, gdy błysło od Staszówka. Siny obłok spalonych nabojów zakrył roty; echo piorunowej szarży i świst ołowiu rozdarł powietrze. Grad śmiercionośnych pocisków z zamachem huraganu uderza w mostek.

— Ach! wy dziegciarze, kulami strzelać będziecie?! —

— Dalibóg strzelają bez taktu — zadecydował ktoś drugi.

— Dwie kompanje w łańcuch tyraljerski! dyrekcja na prawo!... Drugi półbataljon zajmie murowane budynki! — Rozkaz od Czachowskiego. Adjutant mimo gradu kul en carière dopędził do 3. bataljonu; napowrót jedzie kłusem.

— Któż to, Smok? — pyta jeden z żołnierzy.

— Smok — odpowiada adjutant — jak się masz kolego? — Szeregowiec prezentuje broń. Adjutant*) salutuje pałaszem i przejeżdża.

— Jak widzę Karolu, masz dobre wychowanie...—

— Spostrzegłeś to?... zawsze mówiłem żeś nie w ciemię bity ..

— Strzeżcie się obydwa tego.. szczególnie dzisiaj — dodał jeszcze któryś.

Pół-bataljon rozsypał się w tyraljerkę po obu stronach ulicy. Głębokie fosy na polu chronią strzelców. Stoją na lodzie a na roty carskie sypią ogniem.

Szwadron dragonów moskiewskich pędzi wzdłuż rzeczki błyszcząc dobytemi pałaszami. „W pierod rabiata!“ przenosi prąd atmosfery od piechurów. Strzały i „urra“ szczęk i komenda: pilnować dyrekcyi! mieszają się w jeden akord bojowy.

Bataljon kosynierów z poza stodół przerzucono na inne stanowisko.

Drugie dwie kompanie powstańców zajmują domy. Dziesięciu żołnierzy prowadzonych przez starego podoficera dobija się do ostatniego budynku nad samym brzegiem Czarnej.

— Okiennice zabite!.. drzwi zamknięte! — wołają młodzi ochotnicy.

---

*) Adjutantem tym była panna Postowojtów, bawiąca dzień drugi w tym oddziale pod przybranem nazwiskiem Smoka.

— Patrzcież—powiada podoficer, trzeba będzie sprowadzić ślusarza z wytrychami. Nie znacie przemysłu wojennego a zjadacie żywność armii. — Stary uderzył kolbą w zawiasy okiennic; dwaj mieszczanie nadbiegli z siekierami do pomocy.

— Hamerski! po co tam? po co! — zawołano z sąsiedniego domu.

— Dom murowany — odpowiada podoficer, trzeba go zająć.

— A drewniany dach zapalą wam nad głową!

Podoficer popatrzył na dom sąsiedni, ten był kryty dachówką. Palnął się stary palcem w czoło: „Ach! durak carski sałdat!“

— Złączcie się z nami! — wołają z domu na niezdecydowanych. Dziesięciu żołnierzy, podoficer i jeden mieszczanin weszli do izby. Drugiego mieszczanina na ulicy rozsiekali i stratowali dragoni. Pędem burzy pocwałowali dalej.

Drzwi zabarykadowano... jedną ławką, która się znalazła w izbie. Widok z trzech okien otwierał się na pola poza rzeką a czwarte wychodziło na stodoły. — Kolumny moskiewskie łamią się w plutony. Krzyki „w pierod! i urra!“ zmieniły się na wycie dzikie. Akord bojowy przechodził w forsando. Znać i inne oddziały zaangażowano do bitwy.

Pół roty piechurów moskiewskich maszeruje roztwartemi ogniwami przez pola. Strzelcy nasi tłoczą się do okien.

— Hola panowie! nie tak gorąco; stłuczecie szyby.. — Całą była jedna. Któryś z powstańców wyciągnął zegarek, ósma dopiero. — Koledzy! ilu nas wszystkich? — zawołał Antoniewicz. (Był to drugi adjutant ówczesnego majora Czachowskiego.) Policzono trzydziestu trzech!... okien jest cztery, po sześciu żołnierzy do każdego okna staje we dwa rzędy.

— Jeszcze jedno koledzy!... Wiele mamy karabinów? Pukać na wiatr nie trzeba: wybijecie dziury... w powietrzu.

Sztućców było sześć. Z tych postanowiono strzelać na dalszy dystans. Smalewski, Hamerski, Barański i Smalski (celni strzelcy) zajmują pierwsze miejsca; dubeltówki i pojedynki zarezerwowano.

Wrzawa bojowa całą grozą skomplikowanych i pojedynczych odgłosów broni ręcznej zalewała okolicę. Demon bitwy wprawną ręką przechodzi wszystkie gaminy gromowego koncertu. Warczący werbel tyraljerskiego ognia stanowi wątek, w który raz po raz uderzają pioruny salw rotowych i plutonowych. Szczęk szabel, łomot kopyt końskich, zgrzyt kos i „hura!“ kosynierskie, sygnały i komenda, tworzą całość imponującą. — Kto wie co się dzieje za mostem, gęsty słychać ogien...

— Zatul uszy... baczność! Moskale za chwilę będą pod oknami. — Szeregowiec Skalski celnym strzałem powalił jednego na śnieg. Podano mu broń inną. Nieprzyjemne te dla Moskali przywitania powtarzają się częściej ze wszystkich okien wychodzących na pola. Idą przecież naprzód — strzelają. Zbliżenie się ich budzi coraz więcej interesu. Ośmiu powstańców skazanych na nieczynność niecierpliwi się: „Adjutancie, czyż stać mamy na warcie?“

— Gdzież was umieścić?... przy oknach ciżba.

Na strychu są dymniki — zauważył mieszczanin.

Pysznie!... masz sygaro bracie, zajmiemy wyższe stanowisko socjalne. — Przewróciwszy ławkę pode drzwiami odchodzą.

— Nie psujcie prochu! — upomina Antoniewicz.

Moskale nagłym zwrotem usunęli się z obrębu strzałów. Za chwilę zjawiają się pod domem niezajętym. Powstańcy chcą ich przywitać zbiorowo.

— Nie dawać ognia! nie pokazywać się w oknach! — ostrzega oficer. Na strychu nie słyszeli rozkazu; huknęły strzały z dymników. Dwóch Moskali padło na twarze. Pozostali fałszywie zrozumieli wskazówkę, sądzili, że powstańcy z izby przenieśli się na strych wymierzyli w dymniki — po wypaleniu z bagnetem w ręku podsuwają się pod dom; czterdzieści kroków oddaleni od niego.

— Urra! — zawrzaśli, nie ujdziesz sukinsyn!..

— Teraz baczność!... razem... nie dać im nabic!... tuj!... pal!...

Dwanaście kul w twarz im wypluto.

— Zmienić broń!

Czterech mużyków padło na ziemię... kilku chwyta się za piersi.

Tuj!... pal!

Drugi zabójczy policzek uderza w szeregi.

— Nabijać broń!

Z dymników huknęło na dodatek. —

— Dubeltówki są nabite — wołają powstańcy. Moskale nie czekali jednak; potrójne grubijaństwo zdetonowało ich. Zrobili wzrot w lewo i w prawo i zniknęli za niezajętym domem. Jedenastu zabitych zostało na placu. Ze strychu zeszli koledzy wołając: „Moskwa spłoszona!“

Półsotni kozaków przypada w największym pędzie.

— Zapalają stodoły! — woła Barański. Zanim coś postanowiono przepadli jak wicher. Koncert bojowy grzmi nieprzerwanie.

Naraz pod uderzeniami kolb odpadają okiennice przeciwległego, niezajętego domu. Moskale weszli doń od podwórza. Z odbitych okien czterdzieści karabinów błysnęło ogniem skoncentrowanym — na powstańców w okna kule uderzyły rzęsiście.

— Łotry! — zawołał któryś, naprawdę mnie ubili. — Upadł — krwią zbroczył podłogę. Mieszczanin zaciągnął go do kąta i ... zamknął mu oczy.

Po pierwszych strzałach nastąpiły drugie. Młodzież do okien nie może przystąpić. Pożar pomiędzy stodołami szerzy się. „Djable gorąco,“ zauważał podoficer Smalewski. Ostatnia szyba pękła od ognia stodół, futryny zaczynają się palić. Dym duszący słania się obłokami po izbie, pociski przerzynające go, warczą, gwiżdżą, syczą; tynk odlatuje od murów... kule się odbijają. Upadł drugi powstaniec... zabity. Kilku jest kontuzjowanych. Bój dokoła huczy także coraz groźniej.

— Patrzcie! ściągają tyraljerów... zostajemy sami! —

Dragoni i kozacy w szalonym pędzie przejeżdżają ku Staszowu nie wiedzieć zaczem. Moskiewskie kule raz po raz wpadają do izby.

— Trzymajcie się — nakazuje adjutant, idę po rozkazy. — Zbliżył się do okna bocznego.

— Kolego, nabojów może braknąć, kto wie, co dalej wypadnie.

— Czego?
— Nabojów, ładunków... adjutancie!
— Dwóch szeregowców za mną! — Wszyscy trzej wyskoczyli oknem i zniknęli za domem.
— Moskale zacietrzewili się do nas, zauważył młody porucznik — czy z dymników obejmie ich okna?
— Jedźmy — ozwało się kilkunastu powstańców.
— Tylko bez hałasu; skoro nas na cel brać będą, palić w nich z góry.

Rozkaz został wykonany; wykonanie spowodowało pewną równowagę. Częstowano się wzajemnie: skoro Moskale mierzą do okien, zasypują ich kule z góry; gdy cel biorą na dymniki, z okien biją śmiertelne przeszkody. Kiedy tak kwestja życia i śmierci została uregulowaną, powstańcy do lepszego przyszli humoru. — Kula moskiewska porwała jednak jeszcze jedną ofiarę. Powstaniec upadł — żył jednak jeszcze Mieszczanin usunął go na bok. Dwaj koledzy na bandaże oddali ręczniki.

— Dostałem w piersi... — szepnął raniony.

— On miał przeczucie, że zginie, — opowiadał cichaczem jeden z towarzyszów, dziś rano pisał list do matki żegnając się z nią. Musi go mieć przy sobie... poszukamy później i damy znać do domu. Biedny Karol!

Był to rodzaj mowy pogrzebowej.

Po godzinie wrócił adjutant.

— Cóż major powiada? — zapytano.

— Nie widziałem się z nim. Poszedłem na rynek po naboje i spotkałem jenerała.*) Rozkaz jest: (tu podniósł głos): Stać do upadłego!

— Niech żyje Polska! — krzyknęła wiara. Przyniesione ładunki rozebrane.

— Cóż tam więcej słychać? — siedzimy tu jak na wyspie.

— Nie rozpaczaj, zaraz będzie wezbranie ... popłyniemy za prądem. Moskwa dobijała się manowcami do Staszowa — nie udało się. Ściskają ją rucha-

---

*) Powstańcy uprzedzili tytułem jeneralstwo. Langiewicz nominację otrzymał dopiero po bitwie Staszowskiej.

mi flankowemi na tę ulicę. Burki mają odbyć defiladę pod naszemi strzałami. Która godzina?

— Po pierwszej. — Kilka razy wymieniono jeszcze strzały. Od Staszówka rozległa się moskiewska trąbka sygnałowa.

— Hamerski, na co trąbią? — (Hamerski służył był w wojsku moskiewskiem, ale na głos Ojczyzny pospieszył do powstania).

— Zaraz... posłucham, ciszej tam!

Przeciągły głos sygnału powtórzył się.

— Na odwrót — jej Bohu ... na odwrót.

Zręby stodół dopalają się, w domu naprzeciw stojącym ucichło i pożar wybuchnął; Moskale uchodząc podpalili go. Kilku zabitych a nagich m u ż y k ó w w izbie zostało. — Zawierucha bojowa z akompaniamentem grzechotu karabinowego i odgłosami „hurra“ nadciągała. Serca żywiej bić zaczęły; lufy strzelb rozgrzane ale nabite. Po chwili wytężonej uwagi rzekł ktoś z obecnych:

— Bokiem nacierają — trzebaby wyjrzeć.

— Słuchajcie! ziemia dudni ... baczność! —

Ze strychu wpadają powstańcy do izby z okrzykiem:

— Nasi jadą!

Rzeczywiście kawalerja polska w pościgu za rejterującą Moskwą pędziła drogą ku wsi Sielce. Kilka oddziałów kosynierskich zbiera się na ulicy. Moskale straciwszy 312 żołnierzy, z tych 105 zabitych, przeszli przez rzeczkę wymijając mostek. Działo się to w ostatnim dniu karnawału 1863 roku.

— Nasz bataljon się formuje ... do szeregu!

— Wiara zabiera się z izby; raniony żołnierz jęknął tak żałośnym głosem, aż mieszczanin zapłakał i przy nim ukląkł.

— Karolu! przyjdziemy po ciebie ... nasza wygrana! A może pójść możesz? nie? ... nieboraku — zaraz sprowadzimy doktora.

— Bracia ... niech was Bóg prowadzi. — Kilku odchodzących ścisnęło mu rękę.

Muzyka polska zabrzmiała w powietrzu i wpada przez otwarte okna.

Ranny wsparł się na łokciu; zbladł ... ciężko oddychał. Mieszczanin, który przy nim został, zapytał:

— Może pójść po księdza?

— Spowiadałem się dzisiaj z rana — słabo mi... — Mówiący rozciągnął się na podłodze i odpoczął. W izbie prócz połamanej ławki nie było żadnych sprzętów. Mieszkańcy powynosili wszystko.

Mieszczanin wyszedł po wodę.

Dźwięki muzyki słychać przez okno coraz słabiej. Bladość pogorzeli nadawała dziennemu światłu jakąś nieokreśloną barwę. — Powrócił mieszczanin, powstaniec napił się wody.

— Idę po ludzi, aby pana przenieść; koledzy tu nadejdą. Po domach spisują zabitych; doktor i felczerzy rannych opatrują. — Powstaniec skinął głową — mieszczanin wyszedł.

Cisza dokoła, aż słychać bryzgające iskry pogorzeli. Ogień palącego się naprzeciwko domu zwiększył się w łunę czerwoną i oblał dwa trupy w izbie różowym odblaskiem, siność śmiertelna ustąpiła im z twarzy. Umarli — zdawało się — robią piersiami: migocący płomień złudnie wracał im życie. Krew na podłodze rozdeptali żołnierze.

Karol patrzył przez chwilę na młode oblicza poległych. Matki z płaczem błogosławiąc synów, przeczuwały może, że błogosławią ich na śmierć. Ranny podniósł się z wysileniem na kolana, oparł się przy murze — i modlił się w głos:

„Ojczyzno ty moja! Polsko uwielbiona... męczennico święta! Tchnienia ostatnie wysyłam w modlitwie za tobą. — Duszę moją kładę w prośbę, przyjmij ją. Ojcze w niebiesiech! — Okaż miłosierdzie nad ludem ci wiernym — odwróć mękę od serca naszych matek! Niech wróg nie morduje ich szczęścia... niechaj ich nadziei nie pochłania grób wczesny!.. Słabym daj siłę i upamiętanie... nie skazuj braci na upodlenie! Nie karaj ich Panie, by gniazdo rodzinne kalali... nie potępiaj, by pokarmy ssali z wrzodów przeszłości. Krew nasza niech stanie żywą przed nimi, niech ich uświęci nasza miłość! — Cierpienia narodu niechaj obejmą ich stopy, gdy ku hańbie zechcą krok zrobić, — łaskę wolności niechaj odczują, gdy zechcą podle zgiąć karki przed wrogiem... łzami sierot, co pomordowanych płaczą ojców, niechaj wzrok ich rozjaśnieje,

odgłos sybirskich kopalni niechaj zapuka w ich serca i ocknie sumienia. — Gdy zwątpieni usta roztworzą do złej rady, bluźnierstwa ich zamień w słowa boleści bezmiernej, w której naród ofiarował się tobie... Nicości ich... niechaj nie straszą... święte groby"... — Modlący usunął się zwolna na podłogę.

Pomocnicy sprowadzeni przez mieszczanina znaleźli w izbie... trzy trupy. Plwajmy na nie za robotę bezrozumną i marną: nas zbawi... serwilizm!

---

## II.

... dzieci zawstydziły zwątpienie ojców."

*Kaz. Brodziński.*

Miechów... ach, Miechów! widmem czarnem wieść klęski puka do dworów. Ręce ma krwawe...

Staszów! poseł zwycięztwa z skrzydłami chwały; lśni mu nad czołem promień nadziei...

Odgłosy z pola walki jedną mkną drogą jak rosa przez powietrze: padają na serca i czoła: wzruszą radością lub bruzdami wrzynają się w skroń. Świecą lub brudzą. — Zrosiwszy kwiaty, kropla przedświtu o wschodzie zdaje się perłą i iskrą, — na bryle lodu zaskrzepnie, zlodowacieje.

Miechów! i wybuch narzekań wypada z ust, co odwagą zwały: skomleć przed katem. Synowie bohaterstwa zaś śnią o odwecie.

Staszów!... ej, gdybyż więcej tej grzmotni! mówią waleczni — ej, gdybyż zaraz!... Tchórze załamują dłonie z przestrachu i złorzeczą odwadze, zwąc ją zuchwalstwem, buntem przeciw prawowitemu carowi. —

Po ziemi, jak dymy kopcące z ognisk, słaniają się duchy nijakich, jak liściem jesiennem pomiatają nimi wichry pędzące z gorących pobojowisk; obrońcy Ojczyzny chwytają w płuca aromat bojów, pierś im nabrzmiewa pragnieniem ofiarniczem.

Przedpokój w pałacu...

Pode drzwiami włodarz; długoletniego posłuchu i służby obraz wyraża pokorną postawą.

Postać wysoka hrabiego nie z hrabiów, nabrzękła tuszą, stoi przed nim i tupie nogą imponująco. Twarz bez włosa, powleczona niby szkliwem bronzowej maści, oczy rozwarte a z spojrzeniem karjatydy, wierzchnia warga wydęta, głos wyrwany z krtani nie z piersi.

— Więc co się stało? Zaraz mi gadaj!

— Poszli już po pisarza, proszę Jasnego Pana.

— Hm. — Hrabia przechadza się tam i napowrót paląc fajkę.

Włodarz milczy, choć przyszedł z raportem niezwykłym. Krzyk pański odejmuje mu mowę. Po chwili spokoju odzyskał ją; głos ludzki mu wraca na usta:

— Proszę Jasnego Pana...

— No cóż? — Fizyczne niepodobieństwo jasności paru krokami z furją staje przed mówiącym. Włodarz usuwa się pod szaragi.

— Miałem rzec, że wyjrzę sam za pisarzem.

— Niech mi zaraz przychodzi! — nakazuje hrabia. Włodarz wyszedł.

Bunty, nic więcej... — tak zawyrokowali ślepi o podniosłym akcie ruchu. Wiekopomny dramat dziejów nie był im znany ani z opowieści ani z tytułu, osądzili go z góry według ciasnej miary swoich umysłów.

Hrabia patrzy w lustro nad stolikiem. Tak w dwójnasób upewniony przekonywa samego siebie: „Wiemy, święci się także coś u nas, ale zbadamy to rychło."

Po tych słowach oddala się ku drzwiom salonu. Do przedpokoju wszedł młodzieniec siedmnastoletni.

— Aha! jesteś?... chodź za mną.

Przechodzą salon urządzony z wytworną elegancją. Przegląda się hrabia w lustrach o rzeźbionych a złoconych ramach, w przechodzie konstatując energiczny, imponujący wyraz swej fizjognomii. Przy palisandrowej konsoli staje, spogląda na zegar. Młodzieńca zajęły kwiaty pokojowe przed oknami. Lokaj zbiera gustowne dywany z pod stolików.

— Janie! czemu zegar nie idzie?

— Bo stanął, proszę Jasnego Pana.

— Aha! — Jasny Pan widocznie czem innem zajęty. Poszedł dalej, za nim młodzieniec.

Pokój kancelaryjny...

Przed biurkiem i obok niego krzesła. Przybyli nie siadają. Starszy kilka razy przechodzi pokój, paląc fajkę. W milczeniu szuka stosownego wstępu.

Wypełniam pauzę objaśnieniem stosunku osób będących na scenie....

Hrabia i Zygmunt (tak zwał się młodzieniec), to bracia stryjeczni. Ojciec hrabiego i dziadek Zygmunta byli braćmi rodzonymi. Jeden pozostał przy szlacheckim klejnocie, drugi w czasach urodzajnych na tytuły, zeszedł choć nieposiany jako hrabia.

Losowi męczenników Polski uległ ojciec Zygmunta. Osadzony w cytadeli przed wybuchem powstania, po kilku miesiącach skazany na Sybir, umarł w drodze. Majątek zagrabiła władza. Wdowa wraz z córką poszły na łaskawy chleb do brata mężowskiego. Starszy syn Karol pełnił obowiązki pisarza w dobrach chrabiowanego krewniaka; młodszy Zygmunt był w szkołach.

Wybuch powstania powołał Karola do obozu. Zastępcą jego został Zygmunt. Hrabia — stryj nie przeciwił się, gdy służba krewniakom jego dawała nazwę pisarzy. Ostatni zresztą nie liczyli sobie za zasługę, być krewnymi hrabiego; nie zwierzali się z tem nigdy. Stryjaszek pozwalał się tytułować „panem hrabią.“

Karol w obec chlebodawcy wystrzegał się wszelkiej poufałości, mniej taktownym był Zygmunt, niewdrożony do służby i form, tytułowi jednak nie uchybił nigdy.

Hrabia znalazł wstęp stosowny, by rozpocząć badanie. Staje i poufale powiada:

— Nie róbcież głupstwa... no! jeżeli coś będzie, to i ja pójdę i ja się zdam na coś...

— Chyba na tambor-majora, panie hrabio.

Są słowa silniej potrącające niż kułaki Jowialna odpowiedź tak dotknęła hrabiego. Usiadł nagle przed biurkiem, fajkę z ust wyjął i odstawia w kąt. Miał wybuchnąć łajaniem, myśl nowa powstrzymuje go: indagacja dobrze się zaczęła, winny nie przeczy. Według mniemania hrabiego powinien był przeczyć z bojaźni. Własnym zdolnościom dyplomatycznym hrabia przypisuje zaszłą zmianę; przekonanie to podchlebia mu; czuje od razu swoją wyższość.

— Więc szalejecie na prawdę?... nie słuchacie moich rozkazów! Czego się zapierasz? Zaraz mi gadaj!

— Ależ przyszedłem w tym celu; nie umiano zapewnie rzeczy przedstawić we właściwem świetle.

— A nie, nie; nie umiano. Jakże to było? — Hrabia przysuwa się do młodzieńca, ten mówi:

Ewangeliczną nowinę głoszę: Alleluja Polska! Lud poczuł wolność...

— Poszaleli wszyscy...

— Z Zaborza ośmiu parobczaków poszło do powstania; Langiewicz trzepie Moskali!

— Langiewicz powiadasz? hm! —

— Langiewicz i Czachowski...

— A w Warszawie przejść nie można przez ulice, ustępować trzeba oficerom, za nic mają człowieka.

— Zuchwałymi są zawsze dla tych, których lekceważą. Tym, którzy ich biją, ustępują.

— Aha!

— Uciekają nawet przed nimi.

Miernota umysłowa miewa właściwy swój sposób do wymijania niemiłych sytuacyj. Nie zapuszcza się w kategoryczny rozbiór tezy, ale przeczy skutecznie, przechodząc do innego przedmiotu. Hrabia zrobił uwagę: „Więc uciekają“, potem dodaje:

— A, to wiesz co, zwołasz gajowych, niech się zejdą ze strzelbami, trzeba im je odebrać. Rząd to nakazał, przyrzekłem pułkownikowi odesłać broń do Sandomierza. Dzisiaj tego dopilnuj. — Odwraca się do biurka, dawszy głową znak, że audjencja skończona. Młodzieniec nie ustąpił, ale rzekł:

— Słowa nie będzie można dotrzymać.

Hrabia się zrywa z krzesła. „Dla czego? krnąbrność i zuchwalstwo! dla czego?"

— Żadnego gajowego nie ma — ależ widzę, że karbowy nic nie powiedział. — Leśniczy z całą służbą leśną tej nocy udał się do obozu. Dwóch polowych, którzy mieli strzelby, także zabrał.

Było zwyczajem hrabiego unosić się, gdy sądził, że hałasem trzeba wymódz posłuch lub wyznanie. Afektacją wprowadzał w błąd profanów, udanym gniewem zastraszał. Złość była obliczoną i teatralną; irytacji zadawała fałsz dobra tusza.

— Poszaleli — powiada i flegmatycznie sięga po fajkę. Po co oni poszli?

— Bić Moskali, albo z sławą umrzeć.

Hrabia nagle uczuł pod czaszką odruchy pamięci, wstaje, pyknął z pospiechem kilka razy z fajki, potem deklamuje: „A cóż z tej śmierci pokoleniom męczenników i niewolników, które się snują na mogile poległych?...“

— Hańba! że są niewolnikami i nimi chcą pozostać.

— Poszaleli, co im się w głowach roi.

— Pamięć wolności — a w sercu miłość Ojczyzny.

— Warjaty! To to oni tylko wiedzą, co jest miłość Ojczyzny.

— Cały naród ujmuje się za krzywdy. .

— Co to cały naród? .. jakto cały naród?

— Nie inaczej! W powstaniu są chłopi, mieszczanie, uczeni, księża, szlachta, studenci.

— Ale jestże choć jeden ... rozumny człowiek?

— Rozumni są wszyscy, obowiązek rozumieją. Dzisiaj najwyższym rozumem, to patrjotyzm pod bronią.

— Te te te te! do nich się uciekł patrjotyzm ze strzelbą. — Hrabia przechadza się znowu szerokiemi krokami. „Do nich się uciekł patrjotyzm — oni są pełni ducha mądrości“...

— Świadczą o tem czyny, godnie wypowiadające ducha...

— Same fanaberje, mrzonki, utopje — nic więcej! Mądrość, rozum, patrjotyzm wasz doprowadziły do tego, że człowiek ruszyć się nie może z miejsca!

Hrabia podnosi głos stosownie do swojej metody. Za słaby, by podziałać na oponenta moralnie, posiłkuje się środkiem fizycznym. Zamiast dowodów używa hałasu. Nie mogąc przekonać, stara się przekrzyczyć:

— Człowiek ruszyć się nie może! Siedzi jak w kryminale, a ich nic nie powstrzyma od warjactwa! hę? co? czemu nie odpowiadasz? — Zbliża się z furją do młodzieńca, patrzy mu w oczy wzrokiem karjatydy. Młody zna jasnego pana i nie mięsza się bynajmniej.

Hrabia powtarza: „Czemuż nie odpowiadasz? Człowiek ruszyć się nie może, siedzi jak w kryminale!“

— Panie hrabio, mam odpis listu... — Zygmunt wydobywa z kieszeni papier.

— Czyjego listu?

— Hrabianki Matyldy Czapskiej, narzeczonej księcia Mikołaja Radziwiłła, oto co pisze do swojego narzeczonego: „Ty ciągle się włóczysz po świecie a nie piszesz co robisz... Powiedzże raz, czem jesteś zajęty? Jeżeli tem, że młodzież wstrzymujesz, aby nie poszła tam, dokąd powinność woła, to cię zaklinam: uchodź z tych stron i nie plam twego imienia...“

— Hm... hm. —

„Nie wstępuj w ślady magnatów Wielkopolskich, zbaczających z dróg, któremi szli przodkowie — i zezwalają na to, że mieszczanin i lud górę bierze nad nimi. Wstąp w szeregi walczących braci i walcz za świętą ojczyznę...“ —Zygmunt czyta powoli, kładąc nacisk na każde słowo.

— Od kogoż to masz ten piękny list?

— Od powstańca z Poznańskiego.

— Aha! — Przeszedł się hrabia tam i napowrót zamyślony, potem rzecze:

— Pamiętajże sobie: jeżeli i tobie się w głowie przewróci tak, jak twojemu bratu, natedy nic o was więcej słyszeć nie chcę. — Stanął, obejrzał się na młodzieńca i jeszcze raz powtórzył: „nic o was wszystkich więcej słyszeć nie chcę, pamiętajże to sobie.“

Hrabia postawił fajkę i wyszedł; Zygmunt także.

„Wstąp w szeregi walczących
braci i walcz za świętą Ojczyznę.
*Z listu**) *Matyldy Czapskiej.*

Zygmunt wyszedł. Z korytarza skręcił na taras i pobiegł do ogrodu. Czapkę niósł w ręku. Brodzi po śniegu, potykając się na grządkach; zdąża do alei lipami wysadzonej. Oparty o drzewo powstał, rękę przyłożywszy do czoła. Przeciąg rannego powietrza poruszył konary, z drzew strząśnięty śnieg padał mu

---

*) List ten był umieszczony w aktach procesu, który został wytoczony w r. 1864 przez Prusaków hrabiemu Janowi Kościelec Działyńskiemu i towarzyszom o zdradę stanu, za usiłowanie dążące do przywrócenia Polski w granicach, jakie miała przed rokiem 1772.

na twarz. Słońce, jak niebiosów myśl jasna walczyło z chmurami, zalegającemi widnokrąg.

Zygmunt podjął garść śniegu i przyłożył go do skroni. Okłady te powtórzył kilka razy.

— Egoizm stłumił w nim wszelkie inne uczucia. Moskale z hrabstwem włożyli mu na szyję obrożę. — Zygmunt rzucił te wyrazy, machnął ręką i poszedł dalej.

Za ogrodem stał dom, z fiziognomią ubiegłego wieku. Stary to dwór. Dzisiejszy właściciel nie czuł się godnym w nim mieszkać. Wybudował sobie pałac.

Dwa pokoiki starego dworu zajmował Zygmunt z matką i siostrą. Kiedy się zbliżał do domu, zobaczył zeń wychodzącego obcego człowieka. Mało jednak zwracał na niego uwagi, szedł powoli, niby zamyślony, niby niechętny. Bezwiednie ulegał dwoistym a tajemnym jakimś potęgom Jedna go parła do domu, druga odpychała. Nareszcie sprzeczności zrównoważyły się na linii wspólnych oddziaływań i zobojętniały. Zygmunt stanął i przyłożywszy rękę do piersi rzekł: „Ciszej!... ciszej serce, ty musisz milczyć. Przewrotności, bądź mi ku pomocy! Nie zburzę świata ideałów moich, nie utracę siły budzącej głęboką wiarę i miłość... Ojczyzno, tyś mi świętą — ale bądź cierpliwą dla wiernego syna, kiedyś cierpliwą jest pod nożami wrogów.“ Postąpił kilka kroków naprzód widocznie wzburzony, aż wybuchnął: „Przewrotności! wejdź mi do duszy z całym zasobem fałszu i udawania. Jestestwo moje oddaję ci na mieszkanie. Weź mój wzrok, ustami mojemi szczekaj, kłamstwa niechaj około mnie igrają jak węże... Straszne czasy, okropna dola, gdy obłuda staje się cnotą!“

Otarł pot z czoła i wszedł do izby. Słońce odrzuciło na chwilę obłoki i zasypało promieniami okna.

Na progu przywitała młodzieńca siostra: „Gdzieżeś był Zygmuncie?“ Szafirowe żałośne spojrzenie świecące łzami utkwiło mu w oczach. Liliowa twarzyczka różami rozkwitająca, złote pukle włosów spadające bujnemi potokami na biały ranny kaftanik, koralowe usta na pół rozchylone, niby gotowe wypić słoneczne blaski dla rozjaśnienia głębin sercowych,

podobną czyniły dziewicę do zjawiska czyściejszego świata.

Zygmunt zdjął czapkę i rzucił ją na stolik. Siostra położyła mu białą drobną rączkę na ramieniu i budząc go z zamyślenia rzekła: „Zygmuncie!“

— Ksiądz był? — zapytał Zygmunt.

— Był; mama się spowiadała — lecz coraz jej gorzej...

— Lekarstwo jest jeszcze?

— Jest, ale mama nie zażywa żadnych lekarstw, nie chce żadnych zażyć, płacze... bo... — Powstrzymała się mówiąca ściskając rączętami serce. Zygmunt usiadł i uważniej przypatrzył się siostrze. Przyszło mu na myśl, że idąc do domu, widział obcego jakiegoś człowieka w ubraniu, jakie noszą mieszczanie w Staszowie.

— Cóż ty ukrywasz przedemną? — zapytał.

— Był posłaniec, który nam przyniósł wiadomość o Karolu...

— Wiadomość jaką?

— Że pod Staszowem zginął. — Ostatnie słowa zdruzgotały stałość dziewczęcia: zapłakała, nie lamentując przecież. Wzgląd na słabą matkę odjął głębokiej boleści głos.

Zygmunt się zerwał z siedzenia, chodził po pokoju, rozmawiając sam z sobą: „Coraz świetniejsza dola.. car jest Bogiem nienasyconym: zadusił ojca, rodzinę zadławi nędza, brat zabity na ofiarę, matka kona w boleści — — — naród musiał powstać i upomnieć się o prawa ludzkie, we dworze hrabia...“ — Przerwał mowę. Siostra słyszała ostatnie słowa; otarła łzy a proszące spojrzenie niebieskich ocząt uderzyło Zygmunta.

— Cóż we dworze? mój drogi! — Zatrzymuje brata i rączki składa jak do modlitwy. Zygmunt stanął i patrzył zasępiony na okna. Siostra powtórzyła:

— Cóż we dworze — mój drogi?

— Hrabia oszalał! — Niedowierzanie i wątpliwość odbiły się na zakłopotanej twarzy dziewczęcia. Brat opowiadał dalej:

— Rzeczywiście, hrabia oszalał. Wyprawia mnie do powstania, powiada, że sam także pójdzie.

— Cóżeś mu odpowiedział?

— Odpowiedziałem mu, że się przydać może na tambor-majora, że sam nie myślę wcale głowy nałożyć za niepewną sprawę, że najlepiej się zaoszczędzić na przyszłe czasy, że człowiek może karjerę świetną zrobić po ubytku tylu inteligentnych głów..,

— Tyś mu to powiedział?

— Toż nie inaczej. Dowiodłem mu jeszcze jak na dłoni, że życie każdego poddanego należy do monarchów, że oni tylko mają prawo kazać się ludziom wzajemnie mordować, bo żołnierzom dają żołd, mundur i broń.

— I tyś mu to powiedział? ty? Zygmuncie!

— Czy wątpisz?

— Nie, — nie wierzę temu.

— Zkądże ta niewiara?

— Musiałbyś mu bowiem jeszcze powiedzieć, że uznajesz za dobre zdradę sprawy świętej.

— O tem nie mówiłem, ale mógł się sam domyśleć.

— Musiałbyś mu dalej powiedzieć, że nie czujesz hańby, choć moskiewskiego cara stopa niewolniczy kark twój depce, że z tchórzostwa chcesz przyjąć i całować kajdany, żeś nędznik bojący się broni!

Miarę moralnego bolu Zygmunta znajdziemy chyba w obrazach fizycznej męki. — Cierpienia jego duszy równały się cierpieniom uczutym przez człowieka, któremu mowę odjęto i żywcem drą pasy. Heroicznie znosił obelgi, próba nie była skończoną. Lękliwa, zakłopotana dziewczyna nie poprzestała na zadaniu rany, ale na nią sypała żar.

— Idź, powiedz hrabiemu, aby ciebie lepiej ocenił. Idź, a przez drogę wsłuchaj się w głosy braci, co biorąc groby ojców na świadectwo, przysięgają wspólnie zginąć dla wolności ojczyzny, — wysłuchaj, co ci rzekną te matki, które swe dzieci poświęciły, co ta krew szemrze, która strugą płynie z narodu, idź! nad tobą cała Polska pomsty woła, idź, ocalonyś. Wróg się wyzwierza i pastwi nad nami, pośród pogorzelisk i powodzi krwi ty się ocalisz. Ty zostaniesz nietknięty, aby pochwalać podłe targi cierpieniami ojczyzny, aby widzieć jak Wielcy zohydzać będą blizny narodu. Idź wyrodku — potępiony!

— Brońciu! — rozległ się głos przenikający do głębi serca jak sztylet i modlitwa. — Zygmunt przyskoczył do siostry, objął ją w ramiona i pocałował w głowę. Brońcia stała obok podnóżka, niebawem wstąpiła na niego a wywyższona dosięga oczu braterskich, które całuje. Rezolutnie obejmuje szyję brata. Pieszczoty przerywa sobie pytaniami, więcej podobnemi raczej do twierdzeń.

— Prawda mój drogi, tyś nie wyrodny, tyś kochał ojca i brata — ty mamie nie zechcesz zatruć ostatnich chwil życia, — ty i mnie kochasz trochę, a widzisz, ja się modlę, ja poszczę, aby wam pan Bóg poszczęścił na wojnie, mój drogi, mój kochany! — i znowu całowała bratu oczy i skronie. Nareszcie wydobyła papier z kieszonki i podając go rzekła:

— List od Karola jest u mamy, w ten oto papier był zawinięty; któryś z kolegów Karola dał go posłańcowi — czytaj!

Była to odezwa Langiewicza datowana: „Staszów, 18. lutego 1863.'' Zygmuntowi utkwiły słowa w pamięci, opisujące postępowanie Moskali: *„... przed rozpoczęciem boju zapalili miasto, ażeby tysiące rodzin po polach i lasach zmarniały od głodu i mrozu.*

*Towarzysze broni! wasza dzielność ocaliła miasto i zmusiła wroga do haniebnej ucieczki. Kraj, który ma takich żołnierzy, musi być wolnym i potężnym. Ojczyzna i historja was nie zapomną.“*

Nie pozostał Zygmunt wiernym obłudzie, bo zapytał jakby siebie samego: „Cóż się stanie, gdzież przytułek, zkąd utrzymanie jeżeli ja pójdę do powstania? Hrabia zaręczył, że żadnej nie da opieki, gdy mnie nie będzie tutaj.“

— I dla tego to — oj, ja szalona ... ja mogłam posądzać ... Boże mój jedyny ... mój śliczny Zygmuntku ... mój złoty bracie, — ja nierozumna dziewczyna ... ja ciebie tak ... o mój Boże!

Rozpłakała się Brońcia jak mówią: na dobre, ściskała i całowała brata, zatrzymując go przy podnóżku, na którym stała. Po niejakim czasie ochłonęła z silnego wzruszenia i mówiła dalej:

— Hrabia nam grozi, ale ty nie zważaj na to; ja znajdę utrzymanie dla siebie i dla mamy. Wyprowa-

dzimy się ztąd do miasta. Będę brała robotę, będę szyć, haftować i zarobię. I wam będę przysyłać do obozu, co będę mogła: bieliznę, zimowe rękawice... — idź Zygmuncie, nie troszcz się o nas Idź! Karol chce tego, — on pisał, abyś ty ostatni nie został niewieściuchem; chodź do mamy. —

Brońcia zeszła ze stołeczka, ujęła brata za rękę, otworzyła drzwi do przyległego pokoiku, w którym leżała schorowana matka.

Chora w rękach wychudłych trzymała list odebrany od starszego syna. Jest coś przejmującego w tej pewności, że z nami listownie rozmawia nieboszczyk.

Boleść głęboko tragiczna, gwałtownie wstrząsająca sercem matczynem wiadomością o śmierci syna, nie zabiła w niej bezmiernej miłości dla kraju.

Zygmunt wszedłszy, ukląkł przy łóżku.

Chora odłożyła list, a gdy jej usiąść pomogła córka, podniosła ręce błogosławiąc dzieci:

— Modliłam się za was sieroty a żegnam się z wami w uroczystej chwili. Synu mój! weź błogosławieństwo umierającej matki. Błogosławię ciebie i poświęcam ojczyźnie. Cierpienia bierzesz w dziedzictwo po ojcu i bracie; umęczona dusza moja pragnie spokoju, lecz nie znajdzie go dopóty, dopóki się godnym nie okażesz męczenników, cierpiących za Polskę. Idź walcz... umierając uzbrajam cię krzyżem w imię Ojca i Syna i Ducha świętego...

Przestała mówić, zalała się łzami i legła na poduszkach do snu wiecznego.

Pokoleniu takich matek dziś chcą się urągać błazny reakcji...

Cisza zapanowała w komnacie. Łzy przylegly do oblicza umarłej; zdawało się, że trup płacze. — Płacz umęczonych Polsce nie da zginąć!

* *
*

Ilekroc zasiadałem, aby skreślić dalsze przygody Zygmunta i jego siostry, zawsze pismo moje stawało się krwią pod piórem, wypadającem mi z ręki. Zygmunt bowiem, na nieszczęście swoje nie został zabity przez Moskali. Ograniczam się przeto na wskazanie cichego

a ogromnego udziału naszych matek i sióstr w żywej historji narodu, a przed oczy czytelników jeno postawiłem ducha poświęcenia, który mimo zawad Polskę aczkolwiek na chwilę wywiódł z więzienia i kajdany z niej zdjął. Ześmy doszli do tego, iż zohydzamy własne ofiary, nie jest winą tych, którzy cierpią a wierzą.

---

# KACHNA.

## BALADA.

Za borem cienistym,
Nad strugiem przejrzystym, —
Stał dworek, pochylon ku ziemi;
Ponad nim dąb stary
Rozpostarł konary,
Ogródek lśnił kwiaty pięknemi. —
W tym dworku — dziewczyna,
Jak róża malina,
Przy matce — staruszce mieszkała;
Do czarnych jéj oczy,
Do złotych warkoczy,
Młódź całych trzech wiosek wzdychała . .
Lecz Kachna jak ptaszę
Pod chatki poddasze
Ucieka od zdradnéj ich siatki.
Każdemu się w chwili
Uśmiechnie, przymili,
Lecz serce — ma tylko — dla matki.
Toć zawsze jéj z lica
Wesołość przyświeca,
A kwiecie z złocistych warkoczy;
I biała sukienka,

Na ustach piosenka,
Łza nigdy jéj oka nie mroczy. —
Aż Janko z za bora
Pewnego wieczora
W te strony zabłądził myśliwy;
I spokój zakłócił,
Serduszko ocucił,
I skradł je wybraniec szczęśliwy! —
I Kachny pieszczoty,
Piosenki, szczebioty,
Nie cieszą już matki w poranku;
Bo wszystko wraz dała,
I dusza jéj biała
Wraz z sercem została przy Janku!...
Więc codzień wieczorem
Się schodzą za borem
I kwiecie zrywają miłości,
Co czyste, nietknięte,
Niewinne i święte,
Zakwitło im w uczuć czystości. —
Jak słodko i mile
Pędzili tam chwile,
To z gwiazdek widzieli anieli;
Lecz gwiazdki milczały,
Choć dużo wiedziały,
A tylko mrugały weseléj. —
Tak ziemskim tym rajem,
Kochanków zwyczajem
Obojgu się życie już śmiało,
Iż ani myśleli,
Ni wierzyć umieli,
By kiedyś inaczéj być miało. —
Aż kwietne dąbrowy,
Głos trąby Marsowéj
Pewnego napełnił poranka,
I woła do sławy
Młodzieży rój żwawy,
Od Kachny — odrywa kochanka! —
Gdy w chwili rozstania
Od żalu się słania
Z snów rajskich zbudzona dziewczyna,
On ścisnął jéj dłoni,

Spoglądnął po błoni
I rzecze: „Posłuchaj jedyna! —
„Gdzie krzyż na kurhanie —
„Ty w każde zaranie
„Nieś kwiaty i modły za Janka.
„Co chociaż daleki —
„Twój będzie na wieki,
„Lecz szczęścia proś, — sławy kochanka!
„I będziem jak w niebie,
„Gdy wrócę do ciebie,
„Gdy przyjmie Bóg modły i kwiaty.“
Dziewczyna przyrzekła,
Łza z oka ociekła,
A on — w dal popędził za światy. —
Rok drugi już minął,
Jak Janko zaginął
Dla Kachny, wśród boju i sławy. —
Pobladły jéj lica
Jak tarcza księżyca, —
Bo żywot jéj tęskny i łzawy!...
Ni blask jéj lśni z oczu,
Ni kwiaty w warkoczu,
Ni z ust jéj piosenka uleci, —
Co wieczór, co ranek,
Za bór, na kurhanek
Przybiega, śle modły, krzyż kwieci. —
Och! gdybyś ją bracie,
W śnieżystéj téj szacie
Tam widział — wśród wiosny poranka,
Jak kwiaty przynosi,
Krzyż wieńczy i prosi —
O szczęście, o sławę kochanka;
To rzekłbyś z zachwytu,
Że anioł z błękitu —
Na ziemskim przyklęknął tu grobie;
Lecz we wsi mówiono,
Że z boju coś pono —
Rycerze wracali w téj dobie. —
Więc z sioła młodzieży
I starców rój bieży,
By swoich w powrocie powitać,
I Kachna wybiegła,

Drużynę spostrzegła,
Lecz nie śmie — ni patrzyć, ni pytać. —
Gwar słychać uciechy,
Łzy — tłumią uśmiechy,
Gdy w tem — ktoś z przybyłych zagada:
„Nam wiodła się sprawa,
„Lecz szczęście i sława
„Największa na Janka przypada!
„Łby przed nim padały,
„A kule mijały,
„Chociażby pułk cały weń godził. —
„Toć taką zasługą
„Uzyskał nie długo,
„Iż całym oddziałem dowodził. —
„A gdyśmy strudzeni
„Wśród mroźnej jesieni —
„Obozem stanęli u księcia,
„To córka szlachcica,
„Jak anioł dziewica
„Rzuciła się w jego objęcia! —
„Więc rzucił drużynę,
„Poślubił Halinę,
„A książę — wesele wyprawił. —
„Dziś Janko szlachcicem
„I wioski dziedzicem;
„Tak szczęścia się dobił i wsławił!“ . .
Tu z piersi niewieściej
Jęk dzikiej boleści
Się wydarł, zatrwożył drużynę.
I wkrótce pobladłą
I martwą, upadłą
Na ziemi ujrzeli dziewczynę. —
To Kachna! — o dziwo! —
Więc spieszno i żywo
Tłum spieszy z ratunkiem, z pomocą
Zaczyna oddychać!
I serce już słychać, —
Do matki ją zawieść przed nocą! . , .
Lecz ona powstała
I dziko spojrzała,
Wydarła im swoje ramiona, —
Śmiech straszny i pusty

Wykrzywił jéj usty —
I pędzi przez błonie — szalona!
Do śnieżnéj swéj szaty
Rwie zieleń i kwiaty —
I biegnie krzyż wieńczyć kurhanka,
I błędny wzrok wznosi,
I błaga, i prosi —
O szczęście, o sławę dla Janka! —
W najbliższą niedzielę
We wiejskim kościele
Na marach jéj matka spoczęła,
Lecz Kachna się śmiała,
Choć straszny wzrok miała,
Bez łezki przy trumnie stanęła. —
Rok w grobie już matka,
Rok pustką już chatka, —
A Kachna się śmieje — i żyje;
Choć dziecko z daleka
Przed wiedźmą ucieka,
I każdy się żegna i kryje!..
Co wieczór, co ranek
W kwiat wieńczy kurhanek,
Śląc modły za swego kochanka —
Lecz na cóż się zdało?
Wszak niebo już dało
I szczęście i sławę dla Janka!

Zakliczyn, dnia 20. maja 1880.

*Kamila Strzałkowska.*

# ODRODZENIE,

fragmenta liryczne

*przez*

Zofią Strzałkowską.

---

## I. SKARGA.

Czemuż tak tęskno jest mi dziś i nudno?
Jakież uczucie sercem zawładnęło?
Samotna jestem, — choć koło mnie — ludno;
Smutna — choć ludzi wesele objęło . . .
    Jakimż to ogniem goreje ma dusza,
    Co żarem bolu serce mi rozrywa?
    Każdą łzę ulgi — w źrenicy osusza
    A umysł — smutku całunem zakrywa.
Czyliż tak silnie we mnie dziś zagrało
Potężne bratniéj miłości uczucie?
I hymn boleści nucić mi kazało
W zgasłéj nadziei pogrzebowéj nucie?!
    Lecz zkąd ta nagła bierze się potęga?!
    Zkąd żal co życie — goryczą napawa?
    I ta tęsknota, co do niebios sięga,
    I żar niszczący — jak wulkanu lawa
Przyszłe owoce wiosennego trudu,
Błyszczące kwiaty — zapału — młodości,
I palmy cierpień, żyźne troską ludu,
I skromne ziarnko pracy dla ludzkości!
    I łzawę rosę co po dzionku skwarnym
    Zbawienną mocą kwiaty te rz  wiła,
    Bo niosąc modłę w kielichu ofiarnym
    Za dobro chrześcian, — z niemi się łączyła,

A z modłą — wiarę, miłość i nadzieję!...
Dziś — straszna lawa wszystko to zalała,
I tylko — miłość sama jeszcze tleje, —
Zgasła nadzieja — wiara się złamała.
O! teraz... teraz ja to już pojmuję,
Jakiem uczuciem pierś ma dziś zagrała,
Kiedy powtórzę, co myśl życia truje:
„Zgasła nadzieja — wiara się złamała!“
Dawniéj — o! dawniéj — jam nie upadała,
Choć czarna chmura troski mię okryła
I mgłą cierpienia w koło mię oblała, —
Bo jasnem światłem przedemną świeciła
Lampa, gorącym błyszcząca zapałem,
Silną otuchą w moc czynu zbawienną,
Którego — życie chciało być udziałem
Żywione wiary — nadzieją promienną.
Dzisiaj — ta lampa już gorzeć przestała.
Bo w silnych kleszczach ciężkiego zawodu
Ściśniona silnie — rozprysnąć musiała,
A zgliszcze — rozwiał szyderczy prąd chłodu.
Dziś — we mnie wiara zawodem złamana,
Zapał do pracy na wieki zmrożony,
Zimnem szyderstwem nadzieja rozwiana,
A znój cierpienia w boleść zamieniony.
Teraz — uczucie ja moje pojmuję,
Bo mi głęboko głoski nazwy swojéj
Żarzącym rylcem w umyśle rysuje,
Lecz go wyśpiewać dziś nie w mocy mojéj ....
Bo siła jego piersi mi rozrywa!
A ciężar jego — struny lutni targa —
I tylko głuchym jękiem się odzywa
Zerwana struna, brzęcząc dziko: „skarga!“ —

## II. ZWĄTPIENIE.

Duszno w około i straszne pragnienie
Rodzi się w sercu, co bolem się żarzy,
I tłumi w piersi rwące się westchnienie,
I skuwa wolność, o jakiej duch marzy.
Ha! pragnie serce, goreje i boli,
Cięży westchnienie, co w piersi się tłumi,

I ciasno myśli, co pętem niewoli
Skutemi skrzydły — podnieść się nie umie!

Skądże więc ulgi? Zkąd czerpać wzmocnienia?
Czyliż mieć mogę, co dać mi ją w stanie?
O nie! bo zgasić żar mego pragnienia
Nie mogą nawet zimnych mórz otchłanie.
A tego bolu, co mą pierś rozrywa —
Ukoić nawet modlitwa nie zdoła!
A téj tęsknoty, co mi pierś zalewa,
Nie zetrze nawet zstąpienie anioła!
A pęt, co jarzmią swobodę méj duszy
I wolność młodéj méj myśli skuwają,
Nawet szatańska moc piekła nie skruszy!..
I czary niebios ich nie rozplątają!.....

Z takiem uczuciem ciężko żyć, o Boże!
Jednak — nie pragnę jego ugaszenia;
Ono stłumionem we mnie być nie może,
Bo ono — władzą dziś mego istnienia!...

Ha! całe życie wolnością karmiona,
Z wolności czerpiąc do czynu natchnienia —
Dziś — do niewoli wyciągam ramiona,
Gnąc się pod straszną siłą jej ciężenia;
Jam — niewolnica, dziś czuciem zwalczona —
Dumną skroń chylę pod serca kajdany,
Ostry cierń bolu przyciągam do łona,
By nim otwierać coraz głębsze rany....

Błogo — choć strasznie tak cierpieć, o Panie!
Bo serce tęskni za tym ideałem,
Co w niem rozświecił pragnienia otchłanie,
Pragnie — by stał się tych pragnień udziałem,
By był pęt duszę wiążących ujęciem;
Pragnie — by w części choć stał się żywiołem
Ognia, co wzniecił sławy swéj zaklęciem,
Potęgą — rozgrzał, by w nim gorzał społem!...
Po taki żywioł sięgnęłabym — w piekło,
I duszy węzły potargała święte!
Byleby ono dać mi go przyrzekło! —
Czarów bym gusła zbudziła zaklęte!....

Lecz czyliż w piekle szukać tej potęgi,
Co zdała więzić duszę, serce, myśli?
Nie! bo szatanom nie złożył przysięgi
Genjusz — i sławy swéj w piekłach nie kréśli!
Nie tutaj mego ideał marzenia,
Piekieł nie znało młodości zaranie,
I tylko siła strasznego cierpienia
Wtrąciła ducha w szatańskie otchłanie!
Piekło go nie zna, bo on — nie szatanem!
Wyżéj na ziemi szukać go potrzeba,
Na ziemi tylko, bo w ciało ubranym
Duchem — nie może podnieść się do nieba!...

Tu więc — na ziemi jest jego mieszkanie,
Ziemia ukoić pragnienia mi może, —
Jéj więc otworzę cierpień mych otchłanie,
Otworzę myśli! i serce otworzę....
Powiem jéj synom, że ból pierś mą ścisnął,
Że zgniata ducha i myśli zakuwa,
A strasznem żądłem u serca zawisnął,
I jadem jego życie mi zatruwa!...

Patrzajcie ludzie! jak cierpi ma dusza,
Jaki żar pali serce moje młode....
O! taka boleść — to straszna katusza...
Gdyby łza jedna choć na jéj osłodę!...
Łzę jedną dajcie! łzę — żalu cichego,
Jedno szczerego współczucia spojrzenie —
A to — wystarczy dla serca mojego,
By boleść w ciche zamienić cierpienie. —

Ale do kogoż duch o wsparcie woła?
Czyż — czego nie czuł — ktoś we mnie odczuje?
Czyż oceany iskra stopić zdoła,
A głaz, czyż siłę uczucia pojmuje?....

Głazem świat cały, z lodu jego syny,
W boleść — nie wierzą, uczucia — nie znają;
Cynizmem depcą serc swoich ruiny,
Świętości czarem słowa nastrajają!
A kiedy słów tych potęgą straszliwą

Wkradną się w serca młode z młodą wiarą,
I w nich rozsiędą; — a duszę wrażliwą
Napoją jadem swym — zatrutą czarą,
A myśli wolne młodzieńczą swobodą —
Kiedy na wieki do siebie przykują
I z prawéj drogi w manowce odwiodą,
A wiarę — cieniem zwątpienia zasnują:
Wtenczas — z cierpienia naśmieją się twego,
Mówiąc, że serce, że czucie jest marą,
Śmiać ci się każą z bolu cię rwącego,
Śmiać się wraz z niemi z szyderczą niewiarą.
Bo oni wtenczas uwierzyć są zdolni,
Jeźli by mogli w łonie twém zatonąć;
Sile mamony są oni powolni —
Blask jéj — i wiarę może ich owionąć!

Ja złota nie mam, a więc — śmiać się muszę.
Śmiechem zagłuszę serce bolem drżące,
Zagłuszę myśli! i życie zagłuszę....
Śmiechem nastroję usta konające!

Ha! jam już od łez, od narzekań wolna,
Ból i cierpienie do śmiechu mię wzywa,
Gdy drudzy płaczą — jam — śmiać się z nich zdolna!
Życie prześmieję!... Czyżem nie szczęśliwa?!.,

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

## III. SEN.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Ciężą powieki —
Światła mi gasną,
Sen przyjdzie lekki —
W nim — bole zasną.
Sen — wszystko skryje,
Tylko duch czuwa
I serce bije,
Myśl się zasnuwa...

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Coś się tak marzy
W sercu i w myśli,
Senne obrazy —
Wizje mi kreśli.
W duszy — mogiła,
W sercu — młodzieniec,
Myśl się stroiła
W cierniowy wieniec.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Nademną w bieli
Zwisła dziewica:
Uśmiech anieli,
Śnieżne jej lica,
Błękit w jej oku,
W ustach — korale,
Włos — to potoku
Górskiego fale.

. . . . . . . . . . . . . . . . . .

Młodzieniec gady
Wyrwał z mej duszy
I żądeł jady
Ręką swą kruszy,
A gniew ich srogi
W mogiłę złożył,
I znów czas błogi
W duszy mej ożył.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

A nad mogiłą —
Gwiazda jaśniała,
Co blasku siłą
Wiarę mi wlała,
W me szczęście wiarę —
I słodkom śniła,
Bo cierpień marę
Mogiła kryła.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

W wdzięczną źrenicę
Jego patrzyłam,

Barwne me lice,
Bo szczęsną byłam.
Z wzrokiem mym spoił
Wzrok swój młodzieniec,
A skroń mą stroił
W różany wieniec.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Szczęściem jaśniały
Dnie nasze razem,
Bo świat był cały
Szczęścia obrazem,
Aż się dziewica
Do nas zbliżyła,
Piękna krynica
Z twarzy jéj biła,
I rzekła: „amen!“

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Leć, mój duchu, coraz wyżéj, . . .
Aż z ócz pierzchnie ciemna mgła,
Wiara niech ci siły da,
Wierząc — będziesz światła bliżéj.

Niechaj z myśli — zniknie rdza,
Zostaw skargi, jęki niżéj,
W kraj pokoju uleć chyżéj,
Bo twą łzą — dziś szczęścia łza.
Wzlatasz, duchu, lotem strzał!
Bo on — skrzydła swe ci dał,
Świecisz, bo spadł z ciebie kał!
Z wiary — mocy w tobie zdrój:
Mocą duch się z duchem zlał,
I ty jego.... i on — twój!...

## IV. MODLITWA.

Tu — wpośród dzikiéj tylko przyrody,
Kędy natury sztuka nie zgłusza,
Gdzie nic — prócz biegu niesłyszysz wody
I szumu wichrów, co bory wzrusza,

Modlić się wyszłam — Panie! do Ciebie!
Ty — z wieków wieczny — Jehowo wschodu!
Ty jeden, wielki Ojcze na niebie,
Bóstwo całego ludzkiego rodu!

W Ciebie jednego wiara jest we mnie,
I dziś — w pacierzu moim Ci złożę
Na szumie wichrów i nocy ciemnie,
Żę wierzę w Ciebie — Dzięki Ci Boże!
Jam harda w obec całego świata,
Przed Tobą czoło chylę w pokorze,
Wszechmoc Twa z prochem nędznym mię brata,
Więc, żeś tak wielki — Dzięki Ci, Boże!
Jam tutaj żyła zimną i samą,
Lecz Tyś — miłości wlał we mnie morze,
Boś rzekł, że ona — do Cię jest bramą,
Więc, że dziś kocham! — Dzięki Ci, Boże!
Kwoli Twej, Panie! kocham mych braci,
Lecz Tyś im cierpień zgotował łoże, —
Więc dla nich duch mój swobodę traci...
Taka Twa wola... Dzięki Ci Boże!
Ty w swych wyrokach wyrzekłeś, Panie!
Że krzyż nam szczęście tylko dać może,
Bo kto go niesie — wielkim się stanie, —
Więc, że dziś cierpię.... Dzięki Ci Boże!
Jam Ciebie w modłach moich prosiła
Tylko o siłę, gdy ból mię zmoże,
Bom los mój — w cierniu krzyża złożyła, —
Tyś dał mi szczęście .... Dzięki Ci, Boże!
Dałeś mi szczęście, serce Cię chwali, —
Żal jednak bieli lice me hoże,
I łza tęsknoty — oko kryształi —
Za tę łzę ulgi.... Dzięki Ci, Boże!
Wszystko, co zeszle Twe przeznaczenie
Do chwały tylko Twej mi pomoże,
Bo czy dasz radość, ból, czy cierpienie—
Za wszystko rzeknę: Dzięki Ci, Boże!
Gdzie tylko poszlę myśl, czy źrenicę —
Czy to w bór ciemny, czy złote zboże,
Wszędzie twej mocy widzę krynicę.
Żeś się tak wcielił,... Dzięki Ci, Boże!

Wyszłam dziś w modle Ci się ukorzyć,
Nim jeszcze ptactwo zbudzi się w borze —
Pierwsza — mój pacierz u stóp Twych złożyć,
Żeś mię tu przysłał .... Dzięki Ci Boże!
Teraz czas pracy — niech się tak stanie,
Lecz, że tak ranną krasisz mi zorzę, —
Nim zacznę pracę w dzionka zaranie,
Jeszcze raz Wielki! Dzięki Ci Boże! —

## V. TRZY POSTACI.

Gdyś tu utrudzon wysiłkiem daremnym,
Szukając w świecie, co prawdziwie boże,
Patrzysz w świat fałszem spowity nikczemnym,
A oko znaleźć spoczynku nie może;
Idź, kędy jasne w staréj lipie cieniu
Bieli się skromnie ubogie poddasze,
Kiedy w najrańszém wiosny życia tchnieniu
Przy matce Polce wzrasta dziewczę lasze!
Tam ujrzysz prawdę w przejrzystéj sukience,
Jak zaszczepioną jest tu ręką Pana,
Jak z mlekiem ssały usta niemowlęce,
Tak w młodéj Laszce życie nieskalane.
Każdy czyn, myśl jéj, każde nawet słowo
Z krynicy prawdy wieczystéj czerpnięte,
Prawda jest życia całego osnową —
Z niéj kocha — Ojców, Lachy, Bogi święte;
Kocha i w każdéj z niemi ranie boli,
Każdą łzę z niemi, każdą gorycz pije —
I sama za nich ich krzyże nieść woli,
Pan dał jéj serce — a więc sercem żyje.
Czuje — i braciom składa uczuć kwiecie,
Bratniem jéj każde serca uderzenie;
Żyje nie sobie — ale innym w świecie,
By żywić w sobie myśli bożéj tchnienie, —
Bo tak myśl Pana stwarzając pisała
Wyroki w księdze przeznaczeń kobiecie,
By szła po cierniach a kwiaty zbierała
I siała ziarno — tylko innym w świecie.
Tak więc tu Laszka żyje z woli Pana
I z ducha prawdy czuje, myśli, działa,

Prawdą jéj serce, dusza nieskalana,
Prawdą jéj życie — prawdą — ona cała!

* *
*

Ujrzałeś prawdę w latorośli hożéj,
Co strzechę ojców w wiośnie uaniela,
Chceszże w rozkwicie ten twór widzieć boży,
Gdy się treść prawdy w formę piękna wciela?
Pójdź za dziewczyną, patrz na młode kwiecie,
Wkradł się raz pierwszy pod listek macierzy
Promień z błękitów, co lśni w skwarném lecie
I olśnił kwiatek, bo z nim słońce bieży.
Coraz nad chatką swą z listków ucieka,
Coraz z tęskniejszem zasypia wejrzeniem
I niecierpliwiéj coraz ranka czeka,
By się z słonecznym połączyć promieniem. —
A coraz nowym wdziękiem się odzywa
I więcéj strojne wkłada na się szaty,
Bo kiedy z dzionkiem promień doń przybywa —
Lice niebiosom odkrada szkarłaty,
I ktoby patrząc — rzec chciał, w jakiéj porze
Kwiat w potężniejsze bogaty uroki,
Czy kiedy ranne witają go zorze,
Gdy szle z uśmiechem łzę nocną w obłoki,
Czy gdy w uścisku słonecznym spłoniony
Sto w postać wdzięków, tysiąc ponęt wciela,
Sercem rozwiera skarbów milijony,
Darzony szczęściem — wonią świat obdziela;
Czy gdy już nocy przybiegają gońce
Pod łzą czarowną wieczoru skroń chyli,
Tęskno żegnając uchodzące słońce,
Lice uśmiechem przybrać jeszcze sili.
Czy, gdy samotny w nocy rozłączenia,
Szle z wonią modły — łezkę rosy razem —
W mroku tęsknoty — w przedświcie marzenia,
Śniąc o ofierze — piękna jest obrazem.
Czy rzec kto zdolen? Mnie serce pomoże,
Bo łatwiéj sercu jest, co z serca, sądzić
I wątek piękna w ducha Laszki włożę.
Masz serce? odczuj! słowem — łatwo zbłądzić.

* *
*

Już ziarno prawdy sercem kształtujące
Rozkwitło światu pod piękną postacią.
Pora to właśnie, by kwiaty woniące
Wydały owoc ofiary swym braciom.
I znowu chatka taka sama biała,
I ten sam Chrystus święci chatę biały,
I bieléj jeszcze, bo i Trójca cała
I białe duchy chatę zamieszkały,
I święci boscy, — a tu obok krzyża
Jakiś cień postać kobiety odtwarza:
W ustach jéj — słodycz, co z cierpien kielicha,
Gdy go kto spełni — w ducha mu się wsączy,
A duch nią biednym i szczęsnym oddycha,
Sam cierpiąc, z bolem — moc pokoju łączy;
Na jasnem czole — myśl gwiazdą jaśnieje,
Co, chociaż jedna, jak gwiazd lśni miljony,
I chociaż cały grom burz pierś odzieje —
Promień pogodny, blask jéj — niezmącony.
Rzekłbyś, że anioł z niebiańskich sklepieni,
Zstąpił tu do nas i raj sobie stworzył
I zgwieździł kątek wpośród ziemskich cieni
I tchnieniem swojem — wszystko w koło zbożył
Patrzaj – spojrzała! spojrzenie zawisło
U stóp zranionych ukrzyżowanego
I jakieś ciężkie westchnienie pierś ścisło
I w oku błysła łza bolu cichego. —
Patrzy w Chrystusa, a w łzawém spojrzeniu,
Jak on — cierpiąca, jak on — umęczona,
Postać dziewicy wyrasta w uśpieniu —
Pod kirem — z trzema żmijami u łona ....
To snać się modła w tem jedném spojrzeniu
Z życiem jéj w białę wżyła anielicę,
Cała jej dusza — w tém jedném westchnieniu
Całe jéj serce — w łzie co rosi lice.
W westchnieniu brzmienie jakieś ciche wieje:
„Panie mój! spojrzyj na te zbójcze noże,
„Wszak z wiary — żywim miłość i nadzieję,
„Czas się dopełnił... Zbądź Ją z martwych, Boże!“
Koniec i znowu bieluchna siedziba
Słodkim spokojem przystraja się mile,
I znowu rzekłbyś, że to anioł chyba
Dobra i piękna wlał tu naraz tyle. —
Lecz jeźliś Lachem, nie zgadłżes kto ona?

Że to nie anioł — to tylko ziemianka.
To — Matka-Polka bolem uświęcona,
To — świętéj naszéj, cierpiącéj — kapłanka.
Patrzaj — spojrzenie od krzyża zerwane
W małe niemowlę u łona się wciela,
A tak znów jasne i wiarą wezbrane,
Że zda się — znowu patrzy — w Zbawiciela!
O! to nie anioł to z Lachów wyrosła,
Z poświęceń czarem niebianów brzemienna,
Miłością silna, cierpieniem podniosła,
Spokojem wielka i wiarą promienna!
Tylko kobieta, co w krwią żyznéj niwie
Jak Matka-Polka, z prawdy bożéj tworu
W osłonie piękna — dziełem dobra żywie,
Stwarzając sobą — obraz pierwowzoru! —

## VI. MOJE ZDANIE.

Kto do życia powołan od Pana,
Ducha i ciało otrzymał w dziedzictwo, —
Pamiętać winien, że ziemia dlań dana,
Że na niéj — spełnić ma swe posłannictwo.
Niech pojmie dobrze, czém tutaj istnieje,
Niech uzna ducha, by nie skarlał w świecie,
Niech w każdém tchnieniu on mu potężnieje,
Niech nigdy pęto zmysłów go nie gniecie!
Lecz ten — kto duchem odbiega z téj ziemi,
Choć przez nią urósł i z jéj źródeł pije;
Kto gdzieś tam błądzi z anioły białemi,
A czarnym chlebem codzień tutaj żyje;
Kto trwoni skarby, co jemu tu dane;
Ten — niedorosły i słaby, jak dziecię
Żywiąc ułudą myśli obłąkane,
Trutniem zostanie dla braci na świecie!
Bo duch tu po to wcielił się zesłany,
Żeby mu walka zakwitła zwycięztwem,
By żył i w sobie wzrósł niepokalany
I stał się wielkim zasługą i męztwem.
Niechaj więc każdy w pielgrzymce tej ziemi
Ścieżki dla siebie dośledzi oczyma,
Niechaj ją kroki podnosi swojemi,
A z niéj nie wzlata skrzydły, których nie ma!

Niech w tym pochodzie w duszy swojéj chowa
Znicz wiary Stwórcy, prawicą zadrzgnięty,
Niech go zwątpienia cieniem nie zasnowa,
I w czyny wcieli nietykalny — święty!
  Kto jest człowiekiem, niech ma w ludziach braci,
  Miłością ku nim niech pierś mu tli cała,
  Niech iskry z życia — co dla nich — nie straci,
  Niechaj nie mówi, lecz niech dla nich działa!
A jeźli mniejszych spotka tu od siebie,
Niechaj dla tego nie będzie sam hardy,
Niech ich podnosi, lub w litości grzebie,
Bo jeźli gardzi, mniejszym jest od wzgardy!
  Kiedy zaś ludzkość skalaną gdzie zoczy,
  Niechaj się zbliży i z czynem nie zwleka,
  Niech na jéj zmycie krew swoją wytoczy,
  Bo słaby trudem — kto zlęknion ucieka!
A kto miłością tak zapełnił życie,
Jéj światło — mając początkiem i końcem,
Ten żyć tu będzie, szczęśliw — jako dziecię,
I nie zćmi mu się — bo sam będzie słońcem! —
  Lecz na to słów samych mało —
  Tu trzeba jaśnieć czynami,
  By słowo — ciałem się stało
  I mieszkało między nami!

Rok 1881.

---

# CIEKAWY DOKUMENT
# z XVIII. stulecia,

tyczący się

## JURYSDYKCJI KOŚCIELNEJ W POLSCE,

udzielony redakcji roczników samborskich przez jednego z główniejszych współpracowników pisma.

---

Acta Advocatalia & Scabinalia Civitatis Antiquæ Sandecz ex anno 1759-1763 v. XXV. pag. 366-368.

Oblata Decreti certi Episcopalis pro parte totius Civitatis Antiquæ Sandecz serviens ex Authentico infra Originali de verbo ad verbum in hæcce Acta tenoris ejusmodi es igrossatt.

Kajetan Ignacy Sołtyk z Bożey y Stolicy Apostolskiey Łaski, Biskup Krakowski, Xiąże Siewierski.

Sławetnym Prezydentowi Radczom, Woytowi Ławnikom, oboydwom Magistratom Miasta Starego Sządcza zdrowie y Pastyrskie Błogosławieństwo. Klasztory Panieńskie w Pasterskim pieczołowaniu maiąc rosciągamy troskliwość naszą y do Dóbr ich ażeby w iak naylepszym stanie były. Czyniąc przeto w mieście Starym Sządczu wizytę naszą Generalną, szczegulniey zaś klasztoru panieńskiego, staraliśmy się wziąść pilnie wiadomości y o was iak się rządzicie y w iakiey Sytuacyi iesteście. Nic się prawda nie pokazało tak zdrożnego y z klub wypadłego, coby znaczney Reformy potrzebowało z tym wszystkim chcąc uprzątnąć wszystkie okazye obciążenie miastu sprawuiące, Niniceyszy Nasz Mandat do zachowania w następuiących punktach wydaiemy. Ponieważ przez Legata i Summ Lokacye Miasto się ubożyć zwykło, zakazuiemy ażeby

odtąd zaden Mieszczanin żadney Summy kościelney lub też Szlacheckiey, na Kamienicy, Domostwie, polach y gruntach swoich lokować nie mógł, Czego Magistrat ma przestrzygać y takowych lokacyi nie dopuszczać pod przyzwoitemi karami żadnemu odtąd Mieszczaninowi nie wolno będzie takowego Legatum czynić, żeby Domostwo lub pole albo gront iaki kościołowi lub Duchownym legował, ieżeli gotowych pieniędzy nie maiąc przez Zapis Duszy swey ratunek uczynić chce, tedy krewni sukcessyą ponim brać maiący, Summę zapisaną Kościołowi lub Duchownym wyliczyć maią, albo Sam Magistrat, iezeli leguiący żadnych Sukcessorów mieć nie będzie, żeby rzecz legowana nigdy w Possessyą Kościoła lub Duchownych nie poszła ale tylka Sama Summa zapisana żeby była oddana. Dowiedzieliśmy się, że w różnych zachodzących okolicznościach a naybardziey ukarania Delinkwentów przez wzgląd karteczek prywatnych od partykularnych Zakonic pisanych, Magistrat sprawiedliwości nie administrował, takowych karteczek pisanie iako Surowo iuż Zakonnicom Zakazane tak też Magistratowi mocno przykazuiemy, ażeby na wspomnione prywatne karteczki nigdy nie uważał a Sprawiedliwość należytą czynił, gdy zaś Sama Panna Xięni wolą swoię w iakoweyi okkurencyi Magistratowi intymować będzie, ile Prawo y Sumienie pozwoli, wypełniona bydź powinna. W tym niechwalebny nieporządek uznaliśmy, że Magistrat na instancyą czasem sekretnych od prywatnych Zakonnic instancyi, przyimuie do Mieyskiego Ludzi ze Wsiów Panieńskich od Klasztoru nielibertowanych, a czasem y ze wsi obcych także libertacyi nie maiących czego na potym mocno zabraniamy.

Jeżeli kto ze wsi Panieńskich do mieyskiego prawa garnie się, od całego Zgromadzenia pozwolenie mieć powinien, ieżeli zaś Z inney wsi cudzey, tedy od Pana własnego Libertacyą, ażeby miasto od Kłutni, Które z tąd często wynikaią wolne było. Niżey zaś wyrażone postanowienie nasze zabraniaiące Summ lokacyi ma się ściągać i do Samych Panień Zakonnych, że od nich także Summy na lokacyą przyięte bydź nie powinny y tak się ma ruzumieć, że ani prywatnemu Mieszczanowy ani całemu Magistratowi lokacyi

przyimować odtąd nie wolno iest. Summy zaś iakiekolwiek Duchownych y Zakonnic już actu lokowane ażeby podniesione y Lokacyom wypłacone bydź mogły pozwolenie daiemy. Ninieyszy zaś Mandat nasz ażeby punktualne miał zachowanie zalecamy to attendencyi IMci Xiędza Kommissarza klasztoru Panieńskiego od Nas lub Następców naszych postanowionego pro tempore będącego, oraz żeby ninieyszym y następuiącym w Magistracie Urzędnikom zawsze był wiadomy, w Akta mieyskie ingrossować go roskazuiemy. Datum w Starym Szańcu pod czas Wizyty naszey Generalney Dnia 13 Miesiąca Sierpnia Roku Pańskiego 1763.

Kajetan Biskup
X. że Siewierski
*mpp.*

Locus
Sigilli Episcopalis.

---

# Z podań legendy żydowskiej.

## II.

## KAPŁAN ELI.

(opracował wierszem G. Kohn.)

---

W kraju judejskim dzieją się bezprawia:
Tam samowola, nieład dziki rządzi,
Kapłana ręka zbrodnię ułaskawia
A kapłan Eli spory ludu sądzi.
  Nie prawa boskie, w kraju zatwierdzone
  Wszechtwórcy dłonią, owoc rodzą śliczny;
  Zepsucia ziarna wszędzie zaszczepione,
  A zakon boski — jest to śmiech uliczny.

Daremnie karą grozi głos proroków,
Daremnie naród sroży się pogański:
Ey wyswobodzić lud z niewoli oków,
Oczyścić trzeba wprzód przybytek Pański.
A w tym przybytku, Bogu poświęconym,
Gdzie wszechmoc Twórcy sławić mają usta
Kapłanów śpiewem pięknym i uczonym,
Tam rządzi zbrodnia dzika i rozpusta.
Pinkas i Chofni, synowie kapłana,
Dzierżą w swem ręku władzy znak najwyższy;
Ale ta władza już sponiewierana,
Gdyż gwałt, gdyż zbrodnia władzy towarzyszy.
Wydarte wdowie jej ostatnie mienie
Przemocą srogą, najtłuściejszy z byków,
Ma spłonąć Bogu na całopalenie,
Natomiast zdobi ucztę rozpustników.
Z cór Izraela najpiękniejsza dziewa,
Wydarta z łona rodziny zdradziecko,
Nad swem nieszczęściem darmo ubolewa,
Niewinność traci tu niewinne dziecko.
To usłyszawszy karci swoje syny
Sędziwy Eli, i głosem łagodnym:
„O dzieci! rzecze, naród z waszej winy
„Upada, Boga staje się niegodnym.
„O! pamiętajcie czasów dawnych przecie,
„Gdy bogobojność, skromność lud zdobiła,
„Gdy z pobożności słynął w całym świecie,
„Połowa świata Izraela czciła.
„Dziś lud upada, cześć jego upada.
„Przez czyje winy? przez mych synów winy.
„Kto odstępuje Boga, temu biada!
„Czas się nawrócić, czas już wam, o syny!“
Lecz oni z przestróg tych się naśmiewają:
„Zdziecinniał stary; piątej brak mu klepki,
„Podobne bajki chyba nianki bają,
„Gdy niedorostki kładą do kolebki.
„Dopóki młodym jeszcze służy zdrowie,
„Dopóty jeszcze świat się im uśmiecha,
„Niech ciemny starzec modli się Jehowie,
„A my z rozkoszy krzepmy się kielicha!“
Tak mówi jeden do drugiego hardo
I dalej brodzą w grzechach swych bez miary,

Przestrogi ojca odpychając z wzgardą;
Lecz Bóg się pomści znieważonej wiary.
    Czerń filistyńska uległa przed laty
    Samsona sile, mocy Gedeona,
    Do boju znowu zastęp szlę bogaty,
    By Izraela podbić nim plemiona.
A naród judzki, którym wstrząsa trwoga,
Do swych kapłanów odprawia posłańce;
,,Ratujcie naród od przemocy wroga,
,,Co już ostatnie wnet zdobędzie szańce!
    ,,By nas ocalić, na to trzeba cudu:
    ,,Więc w pomoc spieszcie nam z arką przymierza!"
    Kapłani spieszą na wezwanie ludu
    I zastęp zbrojnych na pogan uderza.
Lecz czyż się o tych Bóg nie troszczy więcej,
Dla których cuda zdziałał tak obfite?
Arka przymierza wpada w wroga ręce,
A Izraela wojska w puch rozbite.
    Na placu boju polegli synowie,
    Co się z staruszka naśmiali modlitwy,
    A ciemny starzec modli się Jehowie:
    Bo jeszcze nie wie o wyniku bitwy.
W tem spieszy drogą rozbitek zbłąkany.
A stary Eli wstrzyma go pytaniem:
„Mów! kto zwyciężył? synu ukochany!
„Czy Bóg zastępów? czy sprośny poganin?
    „Gdzie me synowie w tej nieszczęsnej dobie?"
    W tem na kolana rozbitek upada
    I z krzykiem szaty rozdziera na sobie
    I woła trzykroć: „Biada! biada! biada!
„Arka przymierza wpadła w ręce wroga,
„Wszystek nasz poległ lud na polu sławy,
„Syny twe sądu czekają już Boga,
„Ja jeden z bitwy ocaliłem krwawej.
    „Już dokonane dzieło spustoszenia,
    „W ślad za mną groźna spieszy zawierucha!" —
    Słyszał to kapłan i wstrząsł się z wzruszenia,
    Wstrząsł się, padł na znak i wyzionął ducha

Sambor, 24. Grudnia 1879.

---

# AFORYZMY

przez

**Narbrzana Bętkowskiego.**

---

Książka jedna, dla wszystkich jednako otwarta
Jednych wiedzie do Boga, a drugich do czarta.

*

Miéwa jad i zgniliznę, z wiérzchu złota księga;
Zgniłe serce jedwabie: złote zaś siermięga.

*

Miłość własna zagrzéwa, a dla drugich studzi;
Jeśliś dobry dla siebie, złyś dla drugich ludzi.

*

Stwórca zasiał w twém sercu dobre ziarno cnoty,
Aleć, by się plon udał, skazał do roboty.

*

Łatwo dawać rozkazy, lecz nie trudno błądzić,
Łatwiéj słuchać poczciwie, niż poczciwie rządzić.

*

Kto maleńkich uchybień nie unika wszędy,
Ten powoli nakoniec wpada w grube błędy.

*

Tyle tylko postąpisz w dobrém wszelką dobą,
Ile siłą zwycięską wygrasz walk nad sobą.

*

Do miłości bliźniego wiedzie wielka droga,
Lecz ja, tylko tych kocham, co kochają Boga.

*

Chcesz być światłym i wolnym od ślepoty serca,
Idźże śladem Chrystusa nie tak, jak niewierca.

*

Ten co chodzi w ciemności, nie idzie za Bogiem,
Boga światłość otacza, a téj, ciemność progiem.

*

Na co zda się, że głowa w wzniosłych rzeczach płuży,
Jeśli serce i nogi brodzą po kałuży.

*

Czyja cudzą zasługą szczyci się ochota,
Ten chce, będąc ołowiem, lśnić się blaskiem złota.

*

Za obronę ojczyzny król szlachectwem płacił,
Kto jéj upaść dozwolił, ten szlachectwo stracił.

*

Szkoda pereł tam sypać, gdzie stosunek taki,
Iż pierwszeństwo pogniłe zajmą wprost ziemniaki.

*

Znać zasady mądrości, toćto jeszcze gorzéj,
Bez miłości bliźniego, bez miłości bożéj.

*

Gardź tém wszystkiem co cnocie czystéj szkodzić może,
Czego z sobą nie weźmiesz przed oblicze boże,

*

Na co zda się i całym światem się wzbogacić,
Jeśli przyjdzie swéj duszy wieczne szczęście stracić.

*

Kto się dobrze sam pozna, małym się zobaczy,
Wié, że chwała pochlebna ludzka nic nie znaczy.

*

Gdy się dopniesz do szczytu, to się wtenczas zdumiész,
Widząc z tamtąd dopiéro jakto mało umiész.

*

Póki mało co umiész, sądzisz iż to wiele,
Z góry u stóp dopiéro się płaszczyzna ściele.

---

# DWIE MYŚLI.

I.

W koło przy mnie — kał i krew,
Pod stopami głaz i cierń,
W uszach wiecznéj skargi śpiew,
Ponad skronią łzawa czerń! — . . .

W piersi krwawy płonie żar,
Serce mrozem ścięte drga,
W myśli — dymy błędnych mar,
W oczach wielka, mętna łza.

Ludzkich źrenic ślepy sąd
Skowa mię w kajdany swe, —
Egoizmu wstrętny prąd
Cięźéj jeszcze jarzmi mię! —

I jak nędzny pełzam gad,
Wam i sobie saméj klnę;
Bo was i mnie truje jad,
Którym łono moje tchnie! — . . .

2.

Ot! i wszystko co mam z was;
Lecz mój z Pana biały duch —
Wam i sobie szczęsny wraz,
Bo on wasz — i Boży druch!

Bo on światłem kruszy cień,
Świętym ogniem łamie lód,
I w noc fałszu — wzbudza dzień, —
Zmartwychwstania prawdy cud! —

Precz kajdany z rąk mych, precz!
I z serc waszych plamy te,
— On w miłości zbrojny miecz —
I w miłości świętą łzę! — ...

On wam czynów niesie plon,
A mnie skrzydła z rajskich piór!
Waszym bolom, — błędom skon,
— A mnie wieniec bożych cór! —

Więc jak goniec bożych rąk —
Wzlatam świetlna ponad łzy,
Ulgę niosąc wam wśród mąk. —
Jam szczęśliwa, szczęśni wy!

Pan mię łaską wskrzesił tak,
Wydziewiczył z jarzm i win.
— Doń ślę ducha w dzięki znak,
W znak miłości — wam mój czyn! — ..

Tarnów, dnia 12. Grudnia 1880.

*Kamila Strzałkowska.*

# Święta walka

z Zedlitza. *)

---

Druhowie! coście spieszyli
W bój, odnieść zwycięztwo szczytne!
Patrzcie, jak śmierć przerzedziła
Nasze szeregi tak bitne!
    Jak liczne wojsko najezdców,
    Że go nic złamać nie zdoła!
    Jak nas żelaznym pierścieniem
    Wróg już obsaczył dokoła!
A rany nasze się jątrzą,
Strumieniem krew nasza ciecze —
Lecz tęgie są miecze nasze
I ostro broń nasza siecze!
    A sztandar wolności prawy
    Powiewa dumnie i hardo;
    Choć wroga przemoc nam grozi,
    Jednak trzymamy się twardo!
Nie łup i sława nas nęcą
I uzbrajają dłoń naszą,
Bój z wrogiem staczamy święty
„Za wolność naszą i waszą!“
    A choćby z boju jedynie
    Chorąży i ja pozostał,
    Przekleństwo wieczne tchórzowi,
    Który się w walce nie ostał!

Sambor, 19. Lutego 1881.

*G. Kohn.*

---

*) Jest to drugi z kolei utwor ulubionego w Niemczech poety, w którym tenże przemawia na cześć walczącej Polski. W intencyi rozpowszechniania utworów poetyckich autorów sympatyzujących z Polską przetłumaczyłem na język polski i ten wiersz jak poprzednio „śmierć polskiego żołnierza“, a uradowałoby mię niezmiernie, gdyby także inni wzięli się do tłumaczenia Zedlitza, który już jako Szlązak a zatem pobratymiec naszego narodu pod każdym względem na ten zaszczyt zasługuje. (Uwaga wydawcy.)

# BLADE CHWILE.

Minęła wiosna i lato zbiegło,
Promień słoneczny przez mgły majaczy —
Już uschłe liście po ziemi legło,
A w duszy tęskno, dziwnie — inaczej...
    Znikł już motylek o pstrych skrzydełkach,
    I kwiatków barwnych uśmiech przecudny —
    Nie skrzy się promień w rannych kropelkach
    I gaik stoi smętny, bezludny...
Cicho w przyrodzie, kwiat już bez woni...
Smętna jak posąg Laokoona
W cichą posępność ziemia się słoni,
Z wdzięków wiosennych ogołocona.
    Czemuż, o serce! w akord żałobny
    Piosnkę twą zlewasz drżąco, cichutko?
    Czemuż on rzewny a tak podobny
    Do pęcza kwiatka, co usnął w smutku?!
O! bo ty serce dzieckiem natury!
Ona cię pieści jak dziecię swoje;
Więc gdy jej błękit zaciągną chmury,
Smuć się jej smutkiem — jej żale... twoje!

Sambor 1880.

*Marceli S. ze Śniatyna.*

# Myśl ludzka,

Sonet.

    Głęboko ryba na dnie morza płynie,
Wysoko wznosi się skrzydło sokoła,
Lecz nic to! — Dalej posunąć się zdoła
Myśl ludzka, kiedy swą siłę rozwinie!

Pół świata słońce oświeca dokoła,
Pół świata słyszy, gdy w niebios wyżynie
Grom zacznie huczeć. — Lecz z ludzkiego czoła
Gdy myśl zabłyśnie...słońce, piorun ginie! —

Boże! patrzałem na cuda przyrody,
I przed wielkością twą giąłem kolana. —
W tem mi nauka rzekła: „Patrz w dowody! —

Sam z siebie powstał świat! — to rzecz zbadana!“
Wtedym zapytał: — Zkąd myśl?! — — Nad przyrody
Cuda — o Tobie świadczy myśl mi dana! —

1876. *R.*

---

# Burza,

## Sonet.

---

Huczą wichry, grzmią chmury, i pioruny biją;
W ciemnościach błyskawice tylko czasem świecą.
Z trzaskiem walą się drzewa, z gór potoki lecą,
I biorą wszystko z sobą, i dno ziemi ryją. —

Silna burza! — nie zadrży przed mocą niczyją;
Jej deszcze leją wody, gromy ogień niecą,
Jej wiatry wszystko złamią, rozbiją, rozmiecą,
Trzęsą największym dębem, jak słabą liliją!

Lecz od żywiołów burzy — namiętności burza
Stokroć silniejszym gromem w pierś człeka uderza,
I szaleniej potoki jego uczuć wzburza. —

Lecz człowiek — kiedy siły swe z jej siłą zmierza,
Niechaj jej się nie lęka, niech oczów nie zmruża, —
Bo on silny nad wszystko — gdy chce, — grom roz-
derza! —

R.

# MODLITWA.

Niegodna łaski, — a łaski żebrząca —
Przychodzę do Cię się modlić, o Boże!
Serce me słabe, — lecz dusza gorąca, —
Gdy Ty odepchniesz, — któż biedną wspomoże?!..
  — Żem łask Twych mnogich niepomna, o Panie —
  Biegła za innem szczęściem — serca prądem,
  Żem głuchą była na Twoje wołanie,
  Jam winna Boże — ukarz mię Twym sądem!
Żem siły ducha, nie dla mnie mi dane
Stargała w płonnych walkach i ofiarach,
Żem najpłodniejsze me lata wiośniane
Marnie w tęczowych utopiła marach, —
  Ukarz mię Panie! — Żem duszę dziewiczą
  Wyzuła z białéj sukienki pokory, —
  Wznosząc ją dumą nad przepaść zwodniczą,
  Ukarz mię Panie! w miłosierdziu skory...
Że serce — duch mój, — co od Ciebie dane —
Ku szczęściu memu i szczęściu mych braci,
Ręką mą strute, — zmrożone, — złamane,
Niech dłoń Twa karą mi srogą wypłaci! —
  Żem krzyża swego nieść tu nie umiała
  Za twym przykładem jak córa wyrodna,
  Żem Jego — więcéj Ciebie ukochała, —
  Ukarz mię Panie! jam łaski niegodna! —...
Lecz że on ranne zamroził mi serce,
Zaciemnił rozum, struł duszę niewinną
I wydarł siły, — wolę, — w walk rozterce,
Nie karz go Panie! bom ja tylko winną! —...
  On w złote siatki nie uwiódł dziewicy,
  Ni w raj miłości nie uniósł błądzącéj,
  Ni blask cieplejszy mu świecił w źrenicy,
  Zimny był zawsze i jak grób milczący! —...

Lecz jam szalona ten grób ukochała,
Zimny głaz tuląc do łona jak dziecię,
Ażem zamarła — i trupem się stała;
Bo mnie nikt nigdy nie kochał na świecie!.— ...
Ha! w grób złożyłam wszystko, — wszystko swoje,
I dziś nic nie mam, bo wszystko zmarło, —
Tylko ja żyję, — żyją winy moje!
Nad nami wieko grobu się nie zawarło....
Więc karz mię Panie! dokądem tu żywa,
— A jeżli wolno o łaskę mi prosić,
To daj mu szczęście! — a będę szczęśliwa —
— I będę mężnie krzyż pokuty znosić! — ...

Tarnów, dnia 5. lutego 1881.

*Kamila Strzałkowska.*

---

# PRZEDŚWIT.

## EPILOG

do odczytu mojego o „Przedświcie“

*Zygmunta Krasińskiego.*

Ach, któż z nas nie znał tych marzeń przedświtu
Co wieńcem wiary otaczały skronie?
Co kwiaty z ziemi a gwiazdy z błękitu
Wiązały razem w rozmarzonem łonie?...

Ojczyzna — luba — Wolność i kochanie —
Wszystkich nas niosły aż do niebios szczytu!
Gdzież dzisiaj duszy nieśmiertelne granie?
Gdzież te marzenia przedświtu?

Ach, uleciały!... Lecz jak duchy święte,
Jak gwiazdy, one nad cmentarzem świecą!. : .
Iskry Wolności, wśród bolów poczęte,
W słońce się wielkie Wolności roznięcą,...

Lata niewoli znikną jak podanie —
Jak głuchy oddźwięk odwiecznego mytu...
Naród jak Chrystus Swobody powstanie,
Spełnić się muszą marzenia przedświtu!

Drezno, 6. Kwietnia 1864.

*Henryk Merzbach.*

---

# Aforyzmy i myśli różne.

Ziemia torów swych nie zmieni
I ruszać się nie przestanie,
Chociaż z nas na jej przestrzeni
Już i śladu nie zostanie.
Jak jej nic nie brakowało,
Nimśmy na niej żyć poczęli,
Tak i po nas będzie całą,
Gdy nas śmierć już z nią rozdzieli.

*

Czyto w synagodze, w kościele, w meczecie,
Grożą piekłem, albo niebo przyrzekają;
Lecz źli ludzie, których nie mało na świecie,
O niebo i piekło wcale dziś nie dbają.

*

Jeżliś biedny, nie licz na to,
Że rodzinę masz bogatą;
Lepiej obcym wodę nosić,
Niżeli ją o co prosić.

*

Żebrak, którego z niczem się odprawia,
Niesmak nam jakiś po sobie zostawia.

*

Dwojacy są dziś kapłani —
Jedni powołani;
Drudzy tylko dla rachuby
Poczynili śluby.
To też pierwsi są kapłani,
Drudzy samoluby.

*

Lepiej pisać prozą, niż wiersz kuć z mozołem,
Co się tak rymuje, jak czworobok z kołem.

*Mikołaj Bołoz Antoniewicz.*

---

# CHARAKTERYSTYKA

## XIX. WIEKU.

---

Wieku bez jutra, wieku bez przyszłości!
Co nad przepaścią stanąłeś ponury.
Nauczycielu zgrozy i nicości,
Coś wziął ludzkiego ducha na tortury.
Wieku zwątpienia i wieku niewiary!
Jakże ty strasznym jesteś dla cierpiących!
Sfinksową piersią patrzysz na ofiary,
Szyderstwem żegnasz w męczarni ginących,
Szląc im do grobu te słowa najkrwawsze:
Wszystko skończone!.. giniecie na zawsze!

Na co się, mistrzu, przyda twa nauka,
Na co się przyda dla błądzącéj rzeszy?
Gdzież masz pociechę, któréj ona szuka?
Gdzież ma tę miłość, która ją rozgrzeszy?...
Dałeś jéj ziemi obszary jałowe,
I dożywotnie dałeś jéj dziedzictwo,
Ale zabrałeś najlepszą połowę —

Idealnego świata uczestnictwo:
Choć jasne źródła stoją jéj otworem,
Ona z nich przecie rozkoszy nie czerpie,
I woła sercem upadając chórem:
„Po co ja żyję? umieram i cierpię!“ —

Oto obraz wieku naszego nakreślony przez poetę dni naszych A. Asnyka, piszącego pod znakiem El . ., y. Obraz ten zgadza się z obrazem wieku XIX. nakreślonym przez W. Pola w jednym ustępie „Obrazów z podróży i życia“ napisanym na motto:

„Śmierć z trwogą nadchodzi,
W boleściach świat rodzi.“

Wiek XIX. scharakteryzował najdokładniéj Z. Krasinski w „Dniu Dzisiejszym,“ w „Śnie Cezary,“ w „Legendzie,“ w „Ostatnim,“ w „Przedświcie,“ w dantejskim obrazie nakreślonym w ustępie V. „Niedokończonego Poematu,“ w „Nieboskiéj komedyi,“ w Psalmach Przyszłości,“ a wreszcie w „Resurrecturis,“ poemacie streszczającym wszystkie poemata tego wieszcza, „Oda do Młodości“ A. Mickiewicza uderza także w strunę dążeń XIX. wieku.

Nie masz wreszcie podobno w literaturze naszéj epoki narodowéj poety, któryby w utworach swoich czy to epicznych czy dramatycznych a szczególnie lirycznych nie sądził ducha bieżącego stulecia. A wszyscy poeci wydają o XIX. wieku prawie jednozgodne sądy. Sądy te są wyrokami potępienia. — Ze zgrozą w duszy, z boleścią w sercu, z żółcią w piersi, ze łzą w oku, skarżą się na ten wiek, zowiąc go „wiekiem obrzydzenia,“ „wiekiem oskarzenia,“ „wiekiem sromoty,“ „wiekiem niewiary,“ „nauczycielem zgrozy i nicości,“ „cmentarzem z łez, ze krwi i z błota,“ „dobą nikczemnych dziejów ludzkich,“ „wiekiem gwałtu i bezprawia,“ a wreszcie „wiekiem konania i rodzenia się.“

Czy mamy zawierzyć tym sądom? Zależy to od nas. Wolno nam bowiem wierzyć w sądy poetów lub nie wierzyć. Ale czy poeci mają prawo wydawać historyosoficzne sądy? Bez wątpienia mają to prawo. Jeżeli bowiem wierzymy orzeczeniom lekarzy, dla tego, że ci wydają takowe na mocy znajomości ciała naszego,

tajników jego życia i sił przyrody; jeżeli wierzymy przepowiedniom astronomów, dla tego, że ci umieją czytać na niebie: jakże możemy nie wierzyć sądom poetów, skoro ci umieją czytać na widnokręgu czasów, skoro ci znają tajniki duszy i prawa dziejowego rozwoju ludzkości, skoro ich nie bez przyczyny język wszech narodów wieszczami nazywa, skoro oni sami mają świadomość téj wieszczéj potęgi. Już starożytny Owidius oświadczył: „Jest bóg w nas, i mamy stosunki z niebem. Ze sfer niebieskich zstępuje duch natchnienia w naszę duszę!“ [1])

Wszak wyrzekł Schiller o wieszczu:

„On widział wszystko na ziemskim padole:
„I los przyszłości dla nas przeznaczony.
„On siedział w bogów wiecznych radném kole,
„I patrzał w posiew światów utajony.“ [2])

A Z. Krasiński powiada sam o sobie:

„I ujrzałem wszechświat cały,
Jak myśl jednę, która płonie
Skier milionem w jedném łonie.

. . . . . . . . . . . . .

I przez wszechświat ten do Boga
Szła narodów ziemskich droga.“ [3])

O potędze intuicyi wieszczów sam nawet H. T. Buckle, ów aż za nadto trzeźwy badacz dziejów ludzkich, był tak mocno przekonany, że nam pozwala polegać na sądach poetów, nazywając ich we wstępie do swéj „Historyi cywilizacyi w Anglii“ najdoskonalszymi znawcami ducha ludzkiego. —

Ułatwiłbym sobie tedy zadanie, a nawet wyczerpałbym zupełnie temat założony, odczytaniem pierwszego lepszego z cytowanych powyżéj poematów przedstawiających wiek XIX. Czyż bowiem mogę coś trafniejszego powiedzieć o XIX. wieku jak poeci? czy mogę to piękniejszém wypowiedzieć słowem? A jednak, ponieważ nam nie tylko chodzi o to, jakim jest wiek

---

[1]) Ar. am. III. 54 9 [2]) Die vier Weltalter. Tłóm. własne. [3]) Przedświt.

XIX; ale oraz dla czego jest takim, i jaką nam duch jego gotuje przyszłość, więc sądy poetów niech nam służą tylko za nić Aryadny w tym labiryncie zjawisk naszego wieku, abyśmy nie pobłądzili w myślach i dla serca znaleźli coś pokrzepiającego, jakąś dla duszy bussolę przyszłości! —

Nim poczniemy zastanawiać się nad zjawiskami i duchem XIX. wieku, musimy wprzód uznać za prawdziwe te dwie zasady: a) Dziejami ludzkości rządzi Opatrzność historyczna, b) Pomiędzy wiekami, a raczéj ich dziejami istnieje taki związek jak między skutkiem a przyczyną. Pierwszéj z tych zasad nie uznaje H. T. Buckle, ale z tego jeszcze nie wynika, żeby ona nie miała być prawdziwą. Że dziejami ludzkiemi rządzi opatrzna istota, powiedział już Sokrates w „Pamiętnikach Ksenofonta“ (roz. 17): „Wypada tedy przypuszczać, że rozum panujący we wszechświecie urządza wszystko według swego upodobania" Wolno Sokratesowi nazwać istotę rządzącą dziejami ludzkiemi rozumem; Heglowi wolno ją nazwać absolutem, my nazwiemy ją ze św. Augustynem Bogiem, a rządy jéj z Cieszkowskim i Krasińskim Opatrznością historyczną:

„Ojcem ojczyzn ojciec w niebie,
Królem dziejów jeden On." [4])

Według Getego „On musi być jak ojciec w swych tworów łańcuchu
„I w łonie światów swoich bytując ruch stwarzać.“

W czém mu przyświadcza Krasinski: „Tyś jest w każdéj z tych gwiazd wypłaskorzeźbion na niebie, Ty coś w każdym dziejów powiewie szumiący na ziemi!“ [5]) A wtóruje im ze św. Pawłem A. Cieszkowski: „A wszystko spółżyje w idei — w organizmie Boga, bo Bóg jest duchem tego świata światów.“ [6])

Ta wiara w Opatrzność historyczną, źle mówię, ten pewnik filozoficzny, że idea boża iści się w dziejach ludzkich, natchnie otuchą serce nasze, usunie zeń rozpacz na widok panowania złego w świecie. Wszak

---

[4]) Kras. Dz. Dz. [5]) Nied. Poem. [6]) Oj. Nasz.

kiedy Bóg rządzi dziejami, skoro się Jego Imię w historyi święci, to musi ród ludzki iść naprzód, nie wstecz, musi iść ku ideałom swoim. Że tak jest poświadczają to nawet filozofowie ze szkoły monistów. A skoro tak jest, więc ten dzisiejszy zamęt pojęć, ten szał boleści, ten jęk mordowanéj prawdy, ten ryk szatanów przemocy, ta cicha boleść rodząca zwątpienie u myśliciela, to tylko chwila burzy czyszczącéj powietrze, to tylko boleść rodzenia się nowego świata, to tylko „złe konieczne' mające dodać blasku tryumfowi dobra, piękna i prawdy.

O! jakże krzywdzą filozofowie ze szkoły Buckla ludzkość pozbawiając ją wiary w rządy Opatrzności historycznéj. Oni to stworzyli tę rozpaczliwą boleść serc naszych, ten skeptycyzm umysłów naszych, oni to zrobili wiek nasz „nauczycielem zgrozy i nicości, wiekiem zwątpienia i wiekiem niewiary."

Z tego pewnika wynika pewnik drugi, a mianowicie, że między wiekami istnieje ścisły kauzalny związek, tak pięknie przedstawiony przez Z. Krasińskiego:

„Każdy starzec, wiek strącony
Przez wiek drugi, co mu synem." [7])

W życiu ludzkości pracuje Przeszłość dla teraźniejszości, Teraźniejszość dla przyszłości, ojcowie dla synów, bo

„Jedną spójnią, w jednym duchu,
Jak ogniwa na łańcuchu,
Pan powiązał ojców z syny,
Ni ten łańcuch kiedy pęknie." [8])

A więc „przez męki Ojców wynosi Bóg przyszłe pokolenia," jak słusznie powiedziano w Irydyonie. Potwierdza zdanie wieszcza największy z historyosofów Europy, nasz Aug. hr. Cieszkowski: „Bo uzasadnieniem Przyszłości jest Przeszłość tak dalece, że gdyby owa Przyszłość nie miała swych zasad w Przeszłości, toby sama nie była rzeczywistą Przyszłością ale urojeniem." [9])
Dlatego też słusznie napomina Krasiński: „Wy co

---

[7]) Ps. żalu. [8]) Przedświt. [9]) Oj. Nasz.

chcecie przeczuwać, wspominajcie; wy co chcecie stawiać teraźniejszość i odkryć przyszłość z jéj szczytów, weźcie wprzód w głąb duszy wszystkie myśli zbiegłe przeszłości, bo dopiero tak z tych, co przeminęły, jak z tych, co przyjdą kiedyś, całość prawdy jest.“ [10])

A któż z nas nie buduje teraźniejszości? któż nie chce odkryć przyszłości z jéj szczytów? Chyba ten, komu są obojętne losy człowieczeństwa, kto zerwał związki pokrewieństwa z rodem ludzkim i stał się grzybem lub szatanem!

---

Przystępując do charakterystyki wieku XIX. oświadczam z góry, że nie pomnożę liczby jego bezwarunkowych potępicieli. Odkąd świat światem ustawicznie skarzą się ludzie na życie, a zatém na miejsce i czas i stan, w którym żyją. Nic w tém dziwnego. Człowiek znajduje szczęście w pokoju — a tymczasem dopóki żyje pokoju nie ma. Walka — to treść życia tak sybaryty jak trapisty, tak filozofa jak prostaka. A walka nuży i trudzi i wywołuje życzenie spoczynku i żale. Jest w tém iskra mądrości boskiéj, która nas stworzyła. Gdyby nam bowiem dobrze było na świecie, to byśmy się nie skarzyli, ale czémżeby wtedy była śmierć, jeżeli nie najstraszniejszą męczarnią, jeżeli nie przeznaczeniem demona? — Skargi tedy ludzi na życie są wieczne. Skarzył się był Salomon i Sofokles, skarzył się Krasiński i Mickiewicz, będą się skarzyli i po tysiącach lat poeci i wszyscy ludzie! A jednak i to prawda, że jak w życiu pojedyńczego człowieka znajdują się szczęśliwe i nieszczęśliwe chwile: tak i w życiu narodów, oraz ludzkości całéj są lepsze i gorsze czasy i wieki. Z góry powiedzieć można, że z każdym wiekiem coraz lepiéj na świecie, że ludzkość coraz to doskonalsza, bo

„Jawem życia, czy snem w grobie,
Z wiosny w wiosnę wciąż ku wiośnie,

---

[10]) Nied. Poemat.

Kwiat niebieski, duch nasz rośnie,
Wszyscy rośniem wciąż ku Tobie!“ [11])

Tego bowiem chce Opatrzność historyczna, tego wymaga idea postępu. A jeżeli w każdym wieku ludzkość szła naprzód ku swoim celom, to w wieku XIX. kroczy, źle mówię, pędzi z szybkością pary i iskry elektrycznéj ku swoim celom, ku ziszczeniu myśli bożéj złożonéj w tajemnice żywota rodu ludzkiego. I to szybkie tętno, ten szybki ruch postępowy życia — to pierwsze piętno XIX. wieku. Życie polega na obróceniu się myśli w słowo, słowa w czyn — bo to są drogi ducha. — I jeżeli n. p. za czasów Cezara słowo kilka lat potrzebowało do wcielenia się w czyn: dziś słowo wyrzeczone z mownicy paryskiéj w kilka godzin obleci Europę, a w kilku dniach wznieci rewolucyą w Moskwie. Są to dzieła pary i iskry elektrycznéj — i dla tego wiek XIX. słusznie wiekiem pary i telegrafu nazywać się może. Skutkiem tego szybkiego tętna życia jest człowiek dzisiejszy niecierpliwy, nerwowy, niespokojny, a nowiny, jak gwiazdy spadające, jak meteory, jak błyskawice, latają koło jego głowy, mącąc jego myśl, zatrważając serce. Ta szybkość błyskawiczna myśli powiększa zamęt panujący dziś w świecie myśli i wyobrażeń, które mówiąc słowy poety, lecą światem

„Jak psy bez panów, gwiazdy bez ogniska,
Jak śpiew bez związku, jako błędne dzieci,
Jak ciemne duchy wzdłuż pobojowiska.“ [12])

Skutkiem tego „życie przelało się w burzę“ [13]) i jakiś lęk opanował umysły, jak gdyby ludzie z wysokiéj wieży w przepaść lecieli.

Wpatrując się w oblicze naszego wieku widzimy w niém wysilenie i znużenie, zobojętnienie i rozpacz, apatyą i niewiarę. A skąd to pochodzi? Są to ślady walki, walki strasznéj, walki demonicznéj, jaką duch dziejowego postępu stacza z demonem wsteczności, niebo z piekłem na ziemi. Walka tém straszniejsza, im na szerszéj arenie się toczy: w domu,

---

[11]) Psalm Mit. [12]) W. Pol. Obrazy z podróży i życia. [13]) J. I. Kraszewski Wiecz. Drezd.

na forum, w kościele, na katedrze profesorskiéj, w gospodzie, na placu bojowym; słowem i ręką, sercem i pięścią toczy się bój o śmierć lub życie.

Skąd ta walka? Kto ją stworzył? Duch postępu. Wiek XIX. jest takim, jakim mu być każe logika dziejowa, jakim go uczyniła łączność z wiekiem XVIII. i poprzednimi. Snuje on daléj ich pracę, prowadzi daléj ich walkę, niby dobry syn dzieło ojców swoich. I cześć mu za to! I choć go ludzie nie zdołający odgadnąć związku ranka z wieczorem, związku dnia dzisiejszego z dniem wczorajszym, w czambuł potępiają, to go oczyszczają i wielbią pietyzm jego synowski, z jakim z pożogi czasów niesie niestrudzony na barkach lary i penaty ojców swoich, podziwiają, mówię ten pietyzm badacze dziejów, co niby augurowie rzymscy z kapitolińskiéj wyżyny mądrości historycznéj na nieboskłonie czasów czytać umieją. Historyosofowie widzą w XIX. wieku chwilę konania starego świata a rodzenia się nowego I stąd ten ból i stąd ta sprzeczność panująca we wszystkich zjawiskach dzisiejszych czasów, będące najogólniejszą charakterystyką wieku XIX. Nie byłoby bolów, nie byłoby sprzeczności, gdyby przywódzcy ludów nie sprowadzili byli ludzkości z drogi jéj prawidłowego rozwoju, lub gdyby dziś ludy były małoletnie i nie wiedziały, co z nimi przywódzcy robią, jak niemowlęta kołysane w kolebce. Ludzkość urodziła się i rośnie jak człowiek — od ziemi do nieba, i duch ludzkości rośnie w coraz większą pełnię potęg swoich: od wyobrażeń przez zmysły podanych do samowiedzy, do poczucia się w jedności z niebieskim swoim ojcem. Stąd też, jak mówi Krasiński „choć odmienne dzieje i różnych zdarzeń moc, pomysł wiecznie jeden i prawda jedyna. Ona duszą, a świat piersią duszy, coraz szerszą, większą. I jako człowiek jeden wolno się rozbudza ze snu, tak ludzkość cała przed wieki. I jako budzący się rankiem coraz jawniéj się widzi i czuje siebie aż powie „to ja" — tak i téj ziemi duch." [14]) Prawdę — tę duszę dziejów — już dawno poznał duch ludzki. Przygotowali go na jéj poznanie starożytne Homery, Sokratesy

[14]) Nied. Poem.

i Platony, Mojżesze i Izaijasze, a obwieścił ją ludzkości Chrystus. I duch ludzkości obudził się i powiedział: oto jestem, ale potęgi wrogie zaprzeczyły mu téj prawdy. I stąd ta walka, te bole ta sprzeczność. Chrystyanizm zawierający pełnię prawdy dziejowéj nie może się zmieścić do mózgów i serc ludzkich. — I stąd te konania, i stąd te pragnienia życia. Dziś duch ten podważa wsie i miasta, lody sybirskie i pałace carskie, a — potęgi wrogie mówią mu: „Precz z marzeniami! lub: Siła przed prawem!" I cóż się stanie? Z pewnością

„...ludzkość pójdzie swoim torem,
„Nikt jéj nie zdepce, nikt nią nie śmie rządzić,
„Człek może zgrzeszyć wojną lub pokojem,
„Lecz duch ludzkości nie może pobłądzić." [15])

Wiek tedy nasz — to olbrzym postępu pasujący się z potęgami zastoju; z feodalizmem na polu politycznem i społecznem, ze scholastycyzmem na polu naukowém, z dogmatyzmem na polu wiary, z biurokratyzmem i siłą pięści na forum publicznego życia. W zapasach tych wysila się i wpada w szał i zapamiętałość, bo człowiekowi trudno prowadzić walkę o prawa życia według arytmetycznego tempa filozofa lub ze spokojem Chrystusa, boga — człowieka. Możeby mi kto zarzucił, że nie ma już tych chimer wieków średnich w naszym wieku, bo je rewolucya francuzka ze świata spłoszyła. Odpowiem mu że są, że przesądy wieków średnich chodzą dziś jak błędne mary po świecie, że się czepiają głów i serc ludzkich i prowadzą walkę z duchem postępu. Któż nie czuje od lat kilku potęgującéj się reakcyi tych potęg w całéj cywilizowanéj Europie i chwilowego osłabienia akcyi ducha postępu? Feodalizmu nie masz dzisiaj? A czyż cię pycha rodzona, uzurpująca sobie prawem zniesione przywileje stanowe, nie poniża na każdym kroku? Czy ród podał szczerze dłoń pracy na wieczny bratni sojusz? Czyż się pewien zastęp ludzi należących do pewnéj klasy nie skupia u nas w falangę reakcyjną, zdobywając sobie „per fas et nefas" krzesła

---

[15]) W. Pol. l. c.

poselskie w sejmach i w radach państwa? czyż nie zabiera wpływowych stanowisk w rządzie? czyż nie zakłada kuźni zasad sprzyjających swym kastowym interesom w czasopismach i instytucyach naukowych i ekonomicznych? Czy się chętnie łączy krwią i mieniem z ludźmi nie mającymi rodowego znaku? Czy ich nawet w towarzyskich stosunkach nie usiłuje poniżyć? — Czyż warstwa ta społeczna nie stara się na niwie naukowéj przywrócić scholastycyzmu stwarzając zasady policzkujące prawdę historyczną i urągając geniuszowi historyi, stawiając w miejsce Arystotelesa i Tomasza z Akwinu powagi na prędce pasowane na rycerzy ducha i proklamowane na królów opinii publicznéj w zaułku pałacowym? Czyż trucizn sporządzonych na tajnych posiedzeniach zapamiętałéj kliki nie rozwożą prelegenci po świecie, jako wody z Lourdes uzdrawiającéj ducha? A biurokratyzm czyż nie kuje dziś łańcucha na swobodę obywatelską, czyż nie wnosi prawa kagańcowego zamykającego usta przedstawicielom ludu? Czyż nie przygotowuje coup d'état na republikę stworzoną przez Sedan?

Ta reakcya jest strasznym wrogiem postępu, jest okropną zbrodnią przeciw geniuszowi historyi. Czy prawdę mówię, niech wykaże hasło rewolucyi francuskiéj, hasło podniesione przez wybranych magnatów francuskich, co zrozumieli ducha odwiecznego postępu, hasło wypowiedziane dn. 4. sierpnia 1789. na Zgromadzeniu Stanów Powszechnych we wersalskiej sali ustami książąt Noailles, d' Aiguillon, pp. Mortemart, Guiche, Beauharnais, La Roche foucauld, hasło, które brzmi:

„Góry ojczyste! wy granice dla wzroku naszego, „lecz nie dla myśli, bądźcie świadkami, że Francya „ta, któréj niepodołamy ramieniem przytulić do piersi, „w sercach naszych mieści się cała. Błogosławione po„la i wybrzeża, na których po raz pierwszy wzniosły „się nasze ołtarze! Wody świętych naszych rzék roz„szemrane dziś za powiewem ducha, zwiastujcie wszy„stkim morzom, wszystkim ludom, że nie zapomnieli„śmy o żadnym, łamiąc chléb na uroczystéj biesiadzie „swobody, że Francya duchem swym do własnych

„celów utowarzysza „całą bez wyjątku ludzką ro-
„dzinę.“ [16])

Gdyby to hasło magnatów, co się uroczyście przed całym narodem zrzekli przywilejów stanowych i uznali swą równość z robotnikiem w obliczu prawa, gdyby to hasło tchnące duchem miłości chrześcijańskiéj, powtórzyli byli wszyscy magnaci, wszystka szlachta francuska, nie byłoby przyszło do stracenia króla, do rządów terrorystycznych, do wandalizmu niszczącego naukę, sztukę kościół, religią — słowem wszystko, co święte i prawdziwe i zbawienne. Wielka i święta była idea téj rewolucyi, ale ją splamiła niewczesna chuć gwałtownego przewrotu. I stało się, co mówi Z. Krasiński:

„I w téj walce bywa snadnie,
„Że gdy ludzkie rysy
„Idea pokładnie,
„Wnet i w Bogu ta poczęta
„Oszaleje,
„I jéj dzieje
„Na téj ziemi
„Szkaradnemi.“ [17])

Te szkaradne dzieje wspaniałéj idei ciągną się przez cały wiek XIX., który żyje puścizną wieku XVIII. Idea rewolucyi francuskiéj dotąd nie ziszczona. Rewolucya trwa daléj, tylko scena jéj dramatu zmieniona, bo areną jéj dziś nie Francya sama, ale Europa cała — a Żyrondą Carat moskiewski.

„Potok krwi czerwony
Przez wszystkie ojczyzny
Gwałty i wścieklizny,
Upadki i zgony.“ [18])

Rewolucya tedy trwa daléj. Reakcya wywołuje coraz nowe, coraz to potworniejsze sekty polityczne, coraz to straszniejsze doktryny socyalistów, komunistów, nihilistów — wszystko dzieci internacyonału.

---

[16]) Patryotyzm. E. Chojecki. — Paryż 18̄0. [17]) Ps. Żalu.
[18]) Tamże.

Gdzie broń skuteczna na te doktryny? W więzieniach, kajdanach, Sybirze, Spilbergu, wygnaniach, szubienicy? Nie. Wyrywaj chwast ręką — on zawsze rósł będzie. Broń na te doktryny skuteczna tu w sumieniu, w sercu!

„A czy wy wiecie, wy na podłość chorzy,
„Lub na bezrozum, gdzie ten piorun boży?
„On w sercach naszych nazywa się miłość,
„I on rozcina tu losów zawiłość.“ [19])

Gdyby nie były zaślepione rozumy reakcyonistów, gdyby w sercach ich biła miłość bliźniego, toby znikły te wszystkie mary straszące dziś bardziéj ludzkość Europy niż dżuma astrachańska. Inaczéj. — Bóg wie, co za dzieje przyniesie nam dzień jutrzejszy „Discite historiam exemplo moniti!“

Rewolucya francuska i rozbiór Polski, są to dwa światodziejowe wypadki, które otwierają podwoje XIX. wieku. Wniknąwszy w myśl tych wypadków, można z góry, a priori, wiedzieć jakie będą dzieje, jakie będą idee XIX. wieku. Równość prawnopolityczna, wolność osobista, wolność sumienia, wolność słowa, wolność handlu i przemysłu, poszanowanie pracy i zasługi — oto zdobycze rewolucyi francuskiej okupione krwią i łzami. Idee te są posiewem tego bujnego życia XIX. wieku we wszystkich kierunkach. Dziś wszyscy żyją, bo wszyscy myślą, czują, sądzą, radzą, pracują. — Wzrost oświaty, rozgałęzienie handlu, udoskonalenie przemysłu, ułatwienie komunikacyi, rządy konstytucyjne, rady państwa, sejmy, rady powiatowe i gminne, sądy przysięgłych — oto owoce tych idei, oto objawy tego życia powszechnego. — W ślad za tą wolnością, któréj geniusz i orły Napoleońskie w całéj Europie szacunek i uznanie zjednały, idzie poczucie się ludów do braterstwa, idzie konfederacya narodów i państw, idzie uznanie narodowości za prawną podstawę państwa. Dziś człowiek zbiorowy dojrzał i bierze się do czynu. I jak dawniéj na turniejach popisywali się rycerze siłą i zręcznością ramienia, odwagą i honorem: tak dziś

[19]) Dzień Dzis.

na wystawach powszechnych popisują się ludy pracą, wytrwałością, rozumem i wartością moralną. Dziś człowiek rodzi się z przeznaczeniem i prawem do człowieczeństwa: jasne i szerokie drogi otwierają się przed nim do celów wzniosłych, bliźni od bliźniego o tyle lepszy o ile lepiéj i skuteczniéj umie pracować. Dziś narody odczuwają w sobie ideę ludzkości i żądają jéj urzeczywistnienia w polityce. A nad tą pracą jednostek i narodów, nad temi drogami do świętych celów czuwa opinia publiczna, królowa dzisiejsza spraw ludzkich, rezydująca w dziennikach.—

Chłop przestał być maszyną roboczą, mieszczanin przestał być szatnym szlachcica — wszyscy są dziś ludźmi, a ręce poddańcze zastąpiła machina, ten demiurg sturęczny. Rękami i głową pracuje dziś każdy dla siebie i ogółu. Chcąc owoce pracy swéj ochronić przed potęgą niszczącego trafu, przed ogniem, gradem i wodą zabezpiecza się człowiek w instytucyach asekuracyjnych. Gdzie siła rąk i głowy jego nie wystarcza do osiągnięcia celu, do zabezpieczenia sobie i rodzinie warunków spokojnego życia, tam się łączy z bliźnimi w stowarzyszenia, które są ziszczeniem owéj pierwotnéj idei chrześcijaństwa, założonéj w pierwszych gminach chrześcijańskich. Do tego pełnego życia, do objęcia tych wszystkich dróg wiodących do szczęścia, ma człowieka przygotować szkoła, która dziś jest instytucyą publiczną państwa, kraju i gminy. Światło idące ze szkół ma stanąć na straży wolności i swobody według zasady: „fiat lux, libertas erit.“ Niech się stanie światło, wolność będzie! —

Oto owoce błogosławione rewolucyi francuskiéj, które spadły niby manna żywota na glebę czasów dla pokoleń XIX. wieku. Owoce te są zaiste chlubą jego, któréj mu nikt nie zaprzeczy i owszem przyznać musi, że dziś lepiéj na świecie niż było dawniéj, że wiek XIX. jest iście wiekiem postępowym. Więc człowiek i narody powinny być szczęśliwe! A jednak ani człowiek, ani narody nie czują się szczęśliwymi, ale owszem cierpią a cierpią bardzo, i miotają bluźnierstwa i przekleństwa na straszne czasy, wołając do Boga „Z dymem pożarów . . . !“ Czy te przekleństwa podsłuchane, odczute i wypowiedziane przez poetów

są słuszne? Cóż może człowieka i narody tak unieszczęśliwiać dzisiaj?

Oto kwestya, nad którą się bliżéj zastanowić wypada. Guizot w swém dziele o społeczeństwie chrześcijańskiem odmalował dobrze stan choroby i nieszczęść dzisiejszego pokolenia, ale dawszy trafną dyagnozę, nie podał lekarstwa na chorobę — bolał tylko nad niedolą ludzkości. J. I. Kraszewski w „Wieczorach Drezdeńskich“ wybornie scharakteryzował wiek dzisiejszy, przedstawił jego cierpienia, dał dyagnozę jego choroby, ale zarazem podał na nię lekarstwo. Posłużę się poniżéj niektóremi myślami tego wielkiego pisarza:

„Jak rewolucya francuska i rozbiór Polski otworzyły podwoje dziejów XIX. wieku: tak traktat berliński z 13. lipca 1878 r. i encyklika papieża Leona XIII. są najlepszymi tych dziejów pomnikami. Pierwszy jest pomnikiem upadku, druga pomnikiem ostrzeżenia bożego, pierwszy objawem choroby, druga wskazaniem lekarstwa.

Więc cóż sprowadziło chorobę XIX. wieku, jak się ona nazywa, i jakie na nię lekarstwo?

Ludzkość cierpi, bo zasłużyła, bo spożywa owoce z dozwolonego wprawdzie drzewa ale niedozwolonym zerwane sposobem. — Są w duchu ludzkim i to tak pojedyńczego człowieka jak w zbiorowym duchu ludzkości prawdy, których nigdy, nikomu, dla żadnych celów gwałcić nie wolno. Rewolucya francuska pogwałciła te prawa, bo szlachetne owoce nieszlachetną zerwała ręką, bo użyła sromotnéj broni, bo się odwołała do siły zwierzęcéj mas i siłą tą obaliła w szale zwycięztwa razem z państwową budową podwaliny społecznéj budowy. A przecież porządek społeczny opiera się nie na doktrynach Dantona i Robespierra, ale na odwiecznych prawdach streszczonych w synajskim dekalogu. Rewolucya bezprawia bezprawiami zabiła. Straszne te środki zadały kłam owym wielkim prawdom, które w życie wprowadzić chciały. Prawda nie potrzebuje się posługiwać teroryzmem i krwią, bo sama w sobie jest niezłomnie zwycięzką. Gwałt zadany społeczeństwu pod pozorem zreformowania go, uniósł z sobą najnietykalniejsze zasady żywotne jego bytu:

wolność sumienia, bezpieczeństwo osób i własności, ideę rodziny, świętość jéj węzłów, wszystko aż do tego braterstwa, które zapisane wielkiemi głoskami na chorągwi istniało tylko pod gilotyną. Rewolucya ostrzyła i przygotowała broń dla przyszłych despotyzmów wszelkiego rodzaju, ustalała ten zgubny axiomat dziś jeszcze na gruzach jéj podejmowany, że w obronie państwa, dla idei i mrzonek politycznych wszystko jest dozwoloném, że teroryzm jest środkiem koniecznym i prawowitym, że wolno zawiesić wszelkie prawo i wszystkie prawdy pogwałcić dla ladajakiéj utopii lub wymarzonego systemu. Cała rewolucya jest apologią tego teroryzmu, apoteozą siły zwierzęcéj mas...

Widzimy zresztą dziś najlepiéj, że z zasadami rewolucyj i z jéj środkami despotyzm jak najłatwiéj się godzi, że w imię demokracyi i równości bezwzględnéj wybornie robi swoje interesa, a dogadza mu to wielce, iż bronią rewolucyi i jéj urokiem posługiwać się może.“ [20])

Czego rewolucya ludu dokonała na zachodzie, tego dokonała rewolucya monarchów na wschodzie — w Polsce, tylko że tam zabił naród króla, tu królowie zabili naród. Jedno i drugie bezprawie popełnione w imię dobra powszechnego. Exempla trahunt. Czy takie pogwałcenie praw i majestatu narodu, taka brutalna przemoc nad narodem, co stał przez wieki na straży cywilizacyi, mogła pozostać bez zgubnych skutków dla przyszłych pokoleń?.... Gwałt został uświęcony na kongresie wiedeńskim. Gwałt wywołuje gwałt. Grzéch rodzi grzéch. I od tych dwóch zbrodni Europa nie ma pokoju. I oto wiek XIX. patrzy na ciągłe rewolucye, na ciągłe spiski, na doktryny socyalistów, nihilistów i komunistów, patrzy na ciągłe zamachy stanu, na ciągłe zamachy na koronowane głowy; nad Dnieprem i Newą padają głowy narzędzi despotyzmu. Rewolucya francuska nie dokonała zamierzonego dzieła, bo „znużona zamknęła się fatalnie dyktaturą i despotyzmem jednego tém właśnie, przeciw czemu w zasadzie walczyła,“ [21]) ale środki jéj i sy-

---

[20]) Wieczory drezd. 268. 270. 274. [21]) Wieczory drezd. tamże.

stem jéj „pozostały w łonie społeczeństw, jako następstwa dziedzicznéj choroby.“ Idee jéj także nie zginęły. Więc rewolucya trwa daléj. I odtąd walczy w całéj Europie idea prawa i siła brutalna, któremi się posługują naprzemian rządy i narody, trwa bój władzy duchownéj ze świecką, powtarzają się zamachy ku odbudowaniu średniowiecznego feodalizmu, powtarzają się wybryki mas. Bronią w téj walce jest obłuda, uświęcona kongresami i traktatami, pieniądz ten wróg sumienia, bezczelność, ten wróg cnoty. „Dziś — woła poseł Niegolewski w parlamencie niemieckim dn. 9. listopada 1876. „torquere leges, ut leges torqueant homines.“ Te słowa Bakona Werulamskiego znaczą: „Przekręcają ustawy, aby ustawy przekręcały ludzi!“

Prawo międzynarodowe, jak niedawno w odczycie mianym w kollegium francuskiem wykazał Frank. jest dzisiaj bezprawiem opartém na przemocy. „Siła przed prawem,“ — „Jeżeli chcesz pokoju, gotuj wojnę“ — oto frazesa streszczające to prawo. Traktaty uświęcają zbrodnie. Dowodem kongres berliński z r. 1878. Rozdarł on traktat paryski z r. 1856, przekreślił uchwały kongresu wiedeńskiego z r. 1815, ujmuje się bowiem za prawami żydów a pomija prawa Polaków, uświęca prawa narodowe dla Bułgarów a prawa narodowe Polaków pod przemoc pięści oddaje. Takiéj obłudy nie znał nawet świat pogański. W imię braterstwa religijnego wyzwalają chrześcijan z niewoli tureckiéj ci sami, co chrześcijan na Podlasiu tępią ogniem i mieczem. Obłuda i przemoc zabiły sumienie.

A przecież duch ludzki jest tchnieniem Boga i nigdy zupełnie szatanowi zepsuć się nie da. W głębiach jego utajone są prawdy moralne silniejsze od kul armatnich i ostrza mieczy. I dopóki duch duchem, — dopóty walczyć z bezprawiem nie poprzestanie, dopóty trwać będą wysilające walki w Europie. Odstąpienie polityków od odwiecznych zasad moralności zepchnęło narody i ludzkość całą z torów właściwych, z dróg prawdziwego postępu — ale duch prawdy tak długo będzie walczył z duchem fałszu i przemocy, dopóki zwycięztwa nie osiągnie. Zapowiada tę błogą erę w swéj encyklice, miłościwie naszym kościołom rządzący, ojciec

święty, Leon XIII., wytykający ścieżki żywota tak monarchom jak ludom. —

Przejdźmy teraz ze sfery politycznéj do sfery religijnéj, społecznéj, sztuki i literatury. Wszystkie te sfery najściśléj są ze sobą połączone, wszystkie bowiem są odmiennemi formami, objawiania się jednego ducha. Życie jednostki od życia ogółu odłączyć się nie da, jak się drzewo nie da odłączyć od żywiącéj je matki — ziemi. Dusza jednostki odbija tedy obrazy świata, w którém żyje, jak mówi poeta:

„Świat odbija moja dusza
Jak zielony brzeg krynica."

Społeczeństwo jest ojcem naszym, a nie urodzi sowa sokoła. Szukajmy tedy znamion wieku w tych sferach.

Zaczynamy od sfery religijnéj. Społeczność europejska jest dzieckiem kościoła chrześcijańskiego. Papieże wykołysali narody, duchowieństwo dało im kwiat cywilizacyi klasyczno-chrześcijańskiéj, dało im porządek społeczny, dało człowiekowi ideał życia. Stąd słusznie kościół mianuje się matką naszą. — Przez wieki były mu dzieci posłuszne. Ale kościół uzurpował sobie władzę nawet w sferze politycznéj. O tę władzę pierwsze powstały zatargi między kościołem a monarchami. [22]) Powagą jego duchowną zachwiał Luter w XVI. wieku. I odtąd Europa nie ma pokoju. Przesadna gorliwość pewnego zakonu odstręczyła od kościoła wiele i to bardzo genialnych umysłów. Dojrzewająca ludzkość poczęła rozumem (co jest cechą dojrzałości) badać wszystko co w ducha przyjmowała. Racyonalizm, ten konieczny wynik scholastycyzmu, ostudził a nareszcie zabił wiarę. Jest to krzywda dla ludzkości. Wiara ślepa bez rozumu jest zgubną — świadczy o tém św. inkwizycya; rozum bez wiary jest jeszcze zgubniéjszy — świadczą o tém dzieła racyonalizmu, które gruzami zasypały Europę. Encyklopedyści rozumem wyśmiali wiarę, ostudzili

---

[22]) Czytaj o tém nieocenione dzieło „Teorye polityczne XVI wieku poprzedzone przeglądem sporów politycznych w wiekach średnich, skreślił Dr. W. M. Olendzki. Poznań, nakł. J. K. Żupańskiego 1875."

zapał, wyszydzili natchnienie, dali sztylet rewolucyi francuskiéj, która zbezcześciła kościół, poniżyła duchowieństwo. Racyonalizm i rewolucya zabiwszy króla, zburzywszy lub zbezcześciwszy kościoły, poniżyła święty majestat władzy i powagę kościoła. Upadek powagi kościoła opłakane sprowadził klęski na społeczeństwo. I oto dziś nie masz w świecie niejakiéj powagi, nie ma pozytywnéj prawdy, nie ma sumienia, nie ma zasad moralności. Szkół dużo, oświata olbrzymia, ale ta oświata nie ogarnia całéj istoty człowieka. Bezprawia wychowujące człowieka już w kołysce zabijają w nim wiarę i sumienie. Upadek powagi sprowadził ten zamęt i to zachwianie się wszystkich posad, na których stoi porządek społeczny. Jest to charakterystyczną cechą dzisiejszego pokolenia nie robić sobie nic z niczego, śmiać się ze wszystkiego. Szyderstwo i cynizm — oto owoce dzisiejszéj oświaty pozbawionéj ziarna gorczycznego wiary. — „Podły i szyderczy cynizm jest geniuszem pospolitości; jest to szatan kujący ciągle potwarze na rodzaj ludzki, aby go pociągnąć do śmiania się z cnoty i deptania jéj nogami. On zbiera wszystkie fakta, które osławiają ołtarz, a zamilczając fakta przeciwne woła: „Co to jest Bóg? Co to jest dobroczynny wpływ kościoła i nauki religii? Chimery fanatyków! On zbiera wszystkie fakta, które osławiają politykę i woła: Co to są prawa? Co porządek społeczny? Co patryotyzm? Wszystko to jest tylko walką filutów i możnych u tych, co radzą, a głupotą u tych, co są posłuszni. On zbiera wszystkie fakta, które osławiają bezżenność, małżeństwo, ojcowstwo, macierzyństwo, synowstwo, rodzeństwo, przyjaźń i woła z niegodziwą radością: Odkryłem, że wszystko to jest tylko egoizmem, zmyśleniem, szałem zmysłów, wzajemną nienawiścią i pogardą. — Owocami téj piekielnéj, fałszywéj mądrości są właśnie egoizm, zmyślenie, szał zmysłów, wzajemna nienawiść i pogarda.“ [23]) Rozum nieokiełznany wiarą czyni człowieka demonem. Porządek społeczny i szczęście człowieka oparte są na

[23]) O obowiązkach człowieka p. Silvio Pellico, z włosk. przełożył K. Forster. Berlin 1863.

prawach ducha jego. — A w duchu naszym (jak to pięknie wykazał Dr. T. Żuliński w rozprawie p. t.: „O trzech sferach życia ludzkiego“) oprócz sfery myśli i sfery uczuć jest sfera pragnień i dążeń, które można nazwać dążeniami religijnemi. Bez tych dążeń człowiek nie jest człowiekiem. — Mądrość ludzka opiera się tedy i opierać się musi na rozumie i wierze — wszak bez wiary i wiedzy nie ma! Usiłowaniem tedy geniusza postępu być powinno wprowadzić religią w sferę polityki, gdyż zadaniem chrześcijaństwa jest uchrześcijanić nie tylko jednostki, ale i narody, nie tylko czyny człowieka, ale i czyny polityki. Gdy się religia i sumienie przedrze do téj sfery, ustaną bole i boje dzisiejszéj epoki. —

Skutki upadku powagi kościoła widzimy i w sferze życia społecznego. W nauce bowiem kościoła chrześcijańskiego zawarte są zasady uszczęśliwiające człowieka i społeczeństwo. Wszak ewangelia Chrystusa łączy węzłem miłości bliźniego, wszystek ród ludzki w jednę rodzinę, któréj ojcem — Bóg, do którego wołamy: „Ojcze nasz!“ Życie społeczne czerpie swe pierwiastki z życia politycznego, jak rzeka ze źródła swe zdroje. Na falach życia społecznego odbijają się tedy niby w źwierciedle wszystkie męty życia politycznego i zasad religijnych. Zabójstwo prawdy i sumienia w polityce, wygnanie Boga ze sfer politycznych, poniżenie religii i kościoła, musi się fatalnie odbijać w życiu społeczném dzisiejszego pokolenia. „Jad wszedł w krew naszę, przeżarł więzy spajające rodzinę i społeczność, strawił rdzą najdroższe skarby nasze.“ [24]) Upadek moralności i tu widoczny. „Moralność jest dziś rzeczą względną, obowiązki o tyle człowieka obowiązują, o ile mu są wygodne... główną maksymą „prima charitas ab ego.“ Czego sobie pozwalają możni sternicy ludów w polityce, to sobie za dozwolone uważa jednostka w życiu prywatném i publiczném. Politycy naciągają sprawy świata do materyalnych korzyści państwa, więc i jednostka naciąga interesa społeczeństwa, interesa bliźnich, do własnego interesu. Dziś prawie nikt nie podejmuje sprawy pu-

---

[24]) Wieczory Drezd. str. 273, 171.

blicznéj, ogólnéj, bez własnéj, osobistéj korzyści. Prywata we wszystkiém. A jeżeli się znajdzie człowiek, co się w czynnościach ogólne dobro mających na względzie wznosi nad korzyść własną — a na szczęście są jeszcze i tacy — to mu ludzie nie przyznają bezinteresowności, ale wmówią w niego nieraz najniższe interesa własne. Pokolenie dzisiejsze wytworzyło sobie odrębny katechizm moralności, którego treścią jest wygoda i pożytek własny. Ludzi nie wyznających tego katechizmu uważają za odstępców od powszechnéj wiary, jako potwarców bogów publicznych, i stawiają ich, jak Sokratesów, przed sąd srogiéj opinii publicznéj. Przykłady tego zjawiska znajdziecie tak w Paryżu jak w Tarnowie. Sumienność bowiem nie zawsze się zgadza z wygodą i korzyścią własną. Wygodzie i korzyści własnéj staje prawie zawsze na zawadzie korzyść bliźniego. — Więc spryt każe usunąć ten niebezpieczny szkopuł. Czém? Oszczerstwem, potwarzą, plotką, intrygą. Bóstwa te, dawniéj podziemne, dziś olimpijskie, mające swe ołtarze na ulicach, w kawiarniach, w salonach, w warsztatach, w handlach, najczęściej w gazetach a czasem nawet — o! zgrozo — w kościołach. Dawniéj kapłankami tych bóstw były podobno kobiety, (przepraszam za wyrażenie) dziś w czasie wyzwolenia się czyli emancypowania kobiety, mężczyźni łacniéj tę służbę flaminów kłamstwa pełnią. Ileż to razy napisano o kimś w gazecie, że taką a taką zbrodnię popełnił, że to a to głupstwo powiedział; — gdy tymczasem jest to człowiek pełen zacności, a każde słowo, co z ust jego wyjdzie, jest mądrości echem! Wygoda i korzyść własna czyni ludzi obłudnymi i przewrotnymi. Przewrotność zaś i obłuda — to dzieci egoizmu. Egoizm gnieździ się tylko w jałowych duszach, nieuznających wyższéj nadanéj moralności, któréj treścią jest: „Kochaj bliźniego jak siebie samego.“ Egoista uznaje za prawdę tylko drugą połowę tego przykazania Chrystusowego. — Egoizm tedy ruguje chrystyanizm ze stosunków społecznych, jak go politycy ze sfer politycznych wyrzucili. Egoista jest rozumny dla siebie; a ponieważ rozum jest darem ducha ogólnym, więc nie jednostkę tylko i jéj interesa ogarnia, rozum tedy egoisty nie jest rozumem, ale sprytem.

Cóż to za moc dziś sprytnych ludzi na świecie! Rzuć kamieniem na ulicy, a trafisz sprytnego. Dziś każdy już się prawie rodzi ze sprytem Jankla lub Rodina! Rozumny człowiek częstokroć nie jest sprytnym, i stądto pochodzi, że dziś nieraz głupiec mądrego wywiedzie w pole. — Egoista chce się zawsze dobrze wydać przed światem. Więc wszystkie kroki swoje, wszystkie czynności, wszystkie myśli, pokrywa szlachetnem słowem — obłudza świat. A gdy mu się noga poślizgnie, to wyszukuje rozmaitych płaszczyków na pokrycie własnego błędu, i staje się przewrotnym. Egoizm to bękart równości, téj świętéj zasady społecznéj. Egoista téż nie przyzna nikomu wyższości; koliber chowa się pod skrzydła orła i wylatuje z nim w powietrze. A że dziś orłów brak, bo je przemoc brutalnéj siły wytępiła, więc same prawie kolibry gniazdka swe na ziemi zakładają. Wielkość ludzka w duchu ofiary. A duch ofiary wznosi się poza zagrodę własnych interesów i znajduje swe kresy w sferze pożytku narodu lub ludzkości. Dziś nie masz ducha ofiary w człowieku. To téż słusznie woła poeta:

— „Dziś wiek jest wielki, a nie jeden człowiek,
A jednak czasem łza płynie do powiek
I z głębi serca modlitwa do nieba:
„Przywróć nam Panie! staroświeckich ludzi
Z krzemienną piersią i duszą stalową!
Niechaj ich z trumny Twój rozkaz obudzi;
Niech w oczy spojrzą, niech przemówią słowo, —
Abyśmy mogli choć raz, choć z daleka,
Zobaczyć w życiu wielkiego człowieka!“ [25])

Tuby mi może kto zarzucił nieprawdę lub przesadę i wskazał na Cavoura lub Bismarka. Odpowiem, że trzeba wprzód mieć jasne i należyte pojęcie wielkości ludzkiéj, aby uznać wielkość. Wiek XIX. widział tylko jednego wielkiego człowieka, a tym był Napoleon I. Ale ten jest dzieckiem wieku XVIII., on tylko zagaił dzieje XIX. wieku. — Sprzeniewierzył się atoli swéj gwiaździe przeznaczeń — i upadł. Ci zaś mężowie pełni talentu i żelaznéj woli, którą wielkich zaiste czy-

---

[25]) W. Syrokomla.

nów dokonali, wyższość swoję od współczesnych zawdzięczają sprytowi większemu, którym przeciwników pokonali Zresztą są to potęgi negacyjne, a więc jednostronne. Wszak Bismark uosabia negacyą wolności sumienia, negacyą odwiecznych prawd Chrystusa, negacyą wolności przekonania, negacyą prawd narodowych, — czém stanął na poprzek duchowi postępu. Wielkim zaś jest ten, kto działa w służbie ducha postępu, co dodatnie prawdy głosi światu — za nie wiedzie bój i umiera. Wielki człowiek odczuwa, odgaduje tętno czasu swego, on zbiera w pierś swoję pragnienia pokoleń — słowem „on wyraża czas swój, ale obliczem zwrócony jest w przyszłość.“ [26]) Bismark ma rozum, ale „rozum choćby największy jest z natury swéj negacyjny, jest siłą ujemną, krytyczną, nie pcha on do czynu, ale raczéj wstrzymuje od niego, a wielki mąż musi być mężem wielkiego czynu.“ [27]) Czyn zaś polega na zrealizowaniu pragnień ideałów teraźniejszości. Wielki człowiek musi tedy nie obliczać rozumem przyszłości, ale mieć jéj jasnowidzenie, intuicyą, a ta prócz rozumu wielkiego wymaga jeszcze zapału wiary i płomieni uczucia. Wielkość jest syntezą potęg duchowych. Dziś zaś zanegowane jest uczucie, fantazya i wiara, i dla tego nie mamy wielkich ludzi, ale tylko znakomitych, co niby słupy podpierają od upadku gmachy, ale nie przodkują jak słupy ogniste idącym przez puszczę do ziemi obiecanéj narodom!

Gdzie nie ma wielkości, tam jest miernośé. Mierność też jest cechą społeczeństwa XIX. wieku. Jest to koniecznem następstwem zabójstwa ideału. Do wielkości wiedzie zapał, natchnienie, wzniosłość. Tymczasem dziś te zalety ducha są policyjnie zakazane. Człowiek pełen zapału i porywów idealnych razi nas, uważamy go za ekscentryka, a nawet z uśmiechem litości czy pogardy nań patrzymy. Wiek dzisiejszy „jest to mąż chłodny, rządny i mający to przekonanie, że wybacza wiele i historya i Bóg tym, co rachunki i kasę trzymali w porządku a nie chorowali na utopie i zachwyty ..... Poezyą jest u niego to, co się nie da obliczyć i odcyfrować i co nie daje

[26]) Wieczory drezd. 185. 187. [27]) Wieczory drezd. tamże.

procentu." [28]) Duch równości fałszywie pojętéj każe wszystko, co się wznosi ponad strychulec mierności, ścigać bluźnierstwem. To też cynizm, szyderstwo, wyśmiewanie uchodzi dziś za oznakę rozumu. Powiedz jakie wielkie słowo — a wyśmieją cię ludzie i powiedzą — żeś ich obraził. Karzeł pozuje na filozofa, którego zasadą jest „nil admirari" — niczego nie podziwiać. Mierność — to dziecię egoizmu, — ojca tylu moralnych tytanów, a między innymi pychy. Po co dziś wielkiego człowieka, kiedy dziś każdy jest wielkim. Dziś nikt niechce uznawać powagi nijakiéj. Naturalne następstwo zerwania skali moralnéj porządku społecznego. Skoro politycy nie uznają nad sobą Boga, jakże „przyszły mąż stanu ma uznawać nad sobą jaką powagę. Jest to według A. Mickiewicza cechą dzisiejszego egoizmu, że każdę ofiarę łatwiéj poniesie, niż ofiarę ambicyi. Przyznać się do winy, do niższości, a włożyć wieniec zasługi na skroń bliźniego rzadkie to dziś zjawisko — i wielka nawet zasługa nie bez szturmu ten tryumf sobie zdobywa. Czemu ty? czemu nie ja? Alboś ty co lepszego odemnie?! Stądto pochodzi, że do steru opinii publicznéj, do sądzenia drugich, porywają się dziś ludzie, którym opinia publiczna łaskę czyni, jeżeli o nich milczy, i na ich ubóstwo ducha płaszcz miłości chrześcijańskiéj zarzuca. I stądto pochodzi, że od krytyki zaczyna młokos swą karyerę literacką. Służąca młoda nie ustąpi miejsca w ławce kościelnéj matronie, która dwie takie panny ma do posług swoich w domu. Posługacz zepchnie z deptaku czcigodnego kapłana. Nieuszanowanie wszędzie, bo powaga znikła ze świata, Z wybujaniem pychy, z brakiem powagi idzie w parze brak zasad a zatém upadek charakterów. Każdy mądry, każdy ma swoje zdanie Quot capita, tot sensus. I ten zamęt pojęć, wyobrażeń, sądów, — zasad — to znamię najpewniejsze, najważniejsze XIX wieku. Jestto chaos podobny do chaosu świata przed stworzeniem. A to jest oznaką, że wiek ten jest wiekiem przejścia, wiekiem tworzenia się. Powaga czy to moralności, czy pisma św., czy mądrości starszyzny, redukuje przeko-

[28]) Wieczory drezd.

nania do wspólnego mianownika, a gdzie powagi nie ma, tam o jedności, o jakiemś kryteryum zasad mowy być nie może.

Zamęt ten z jednéj strony znoszą, z drugiéj powiększają gazety, te zbiorniki dzisiejszych wyobrażeń i zasad. I jeżeli dziennikarzami będą moralni ludzie, to nastanie z pewnością jakiś ład w pojęciach i zasadach, które dziś „latają światem, jak psy bez obroży, jak gwiazdy bez kolei.“ Ale

„Biada wiekowi, gdzie karły bez siły
„Biorą się z dumą do wielkiéj roboty;
„Gdzie duch niewolnik, nikczemny i zgniły,
„Chce kreślić dzieje i nastalać cnoty.
„Jałowy umysł nic w świecie nie stworzy!
„Ludzkości trzeba prawdy i natchnienia,
„Głębokiéj wiary, czystego sumienia,
„A na wszém jeszcze trzeba łaski bożéj!“ [29])

Egoizm i cała jego moralna rodzima czegoż dowodzą jak nie upadku ducha? Powiada J. I. Kraszewski, że wiek nasz gardzi i poniewiera wszystkiem co płynie z ducha. Jest to święta prawda. Ale myśli téj nie rozbieram, bo mi tu nie starczy czasu. Wskażę tylko na jeden dowód téj prawdy, a mianowicie na cześć i zapłatę, jaką za swą pracę pobierają pracownicy w fabryce ducha — nauczyciele ludowi! — Gdzie duch upada, tam górę bierze ciało, bo „dusza i ciało to dwa skrzydła“ naszego jestestwa, mówiąc słowy Z. Krasińskiego. Jeżeli tedy słabnie jedno skrzydło, to drugie siłę jego zastąpić musi. W naszéj epoce „zmartwychwstaje ciało,“ tak długo gnębione przez ducha. Dobrze, że ciało przyszło do praw swoich, bo tylko „mens sana in corpore sano,“ ale źle, że bierze górę nad duchem. Zmateryalizowanie dzisiejszego społeczeństwa objawia się we wszystkiém. Pieniądz służy ciału, jak wiedza duszy. Pieniądz — ta dźwignia w interesach politycznych, stał się złotym cielcem naszego wieku. Za pieniądze sprzedaje się dziś cnota, honor, zbawienie wieczne. Bo któż pyta o wieczność,

---

[29]) W. Pol. L. c.

o życie poza grobem, którego się nie zna? Z upadkiem téj wiary nabrały sprawy ciała znaczenia — pieniądz stał się bożkiem pokolenia. „Auri sacra fames" — chciwość złota, powiada J. I. Kraszewski, nie od dziś się poczęła i nie jutro się skończy. Była ona w ludziach zawsze, ale nigdy się do niéj nie przyznawało społeczeństwo całe, dziś ta jest różnica, że świat nie zapiera się bynajmniéj czci swéj dla złotego cielca, wyrozumował ją, usprawiedliwił ją chłodno i nie kryje się z nią wcale. Pieniądzowi przyznano siłę, znaczenie symboliczne, świętość mistyczną, oczyszczono go, obalono przesądy dawniejsze co do jego niegodziwości i podłości.... Ale obok pieniądza zmalało wszystko, duch cały wszedł w tę sztukę złota lub w kawałek papieru — indziéj go nie uznają i nie szukają. Dlaczego? Pieniądz dla ekonomistów reprezentuje pracę, dla ludzi wieku użycie. Dziś to użycie stanowi wszystko, poza życiem niepewność, poza grobem nicość i milczenie, więc tu potrzeba używać i mieć za co. Tajemnicą wieku nie tyle jest grosz, co idea, którą on reprezentuje ostatecznie — suma najwyższa przyjemności życia" [30]) Pod rządami mamony jakże poniżono zadanie wychowania publicznego! Od szkoły nie żądają, aby z dziecka „urobiła człowieka, ale od razu chcą, aby dała kowala, ślusarza, inżyniera, prawnika" i t. d. słowem „praktyczną jednostkę," aby patrzała w jedną stronę i szła statecznie drogą wiodącą do bogactwa. — „Bez szyderstwa, gdyby się dziś narodził posłannik boży, głosiciel nowéj prawdy, toby go zasłano na Sybir lub do Cajenne, jeśli nie gorzéj. Towarzystwo tak dalece lubi pokój, żeby go za żadną nieśmiertelną prawdę nie oddało. Jak pragniono we Francyi nowości przed niewielu laty, tak się jéj dziś boją: konserwatyzm na porządku dziennym. Formułą jego: każdy u siebie, każdy dla siebie — utopie zbrodniami. Zanadtośmy starzy, żebyśmy się w nie bawić mieli. Naturalnie wszystko karleje, maleje, urabia się do proporcyi téj potrzeby spoczynku.... niewolno robić hałasu.... świat spi — cicho! sza!" [31])

A życie towarzyskie? To nabiera coraz więcéj cech życia publicznego a traci ciepło i serdeczność

---

[30]) Wieczory Drezd. 173. [31]) Tamże 190.

życia familijnego. Dziś towarzyskie życie koncentruje się w kasynach, kawiarniach, ogrodach publicznych, teatrach, balach i t. p. Chłód, nieprzychylność, nieposzanowanie, obojętność — oto cechy dzisiejszego towarzyskiego życia. A dlaczego? Dużo do tego powodów. Inteligencya dokonywa w naszych czasach niwelacyi społecznéj, a tymczasem pewne warstwy nie pozbyły sie przesądów średniowiecznych — z hasłem postępu zgodzić się nie mogą. i w' zetknięciu się towarzyskiém z drugimi nie należącymi do ich warstwy, nie umią być grzecznymi. Egoizm i dziecko jego pycha nie pozwalają szanować drugich, a ponieważ szacunek dla bliźniego jest podstawą grzeczności, więc o grzeczności nie ma dziś mowy. Wraz z zapałem uleciała ona z ziemi. To téż o grzecznego człowieka tak dziś trudno jak o idealnego Są to białe kruki. Dobre wychowanie znajdziesz prędzéj u prostaczka, niż u oświeconego człowieka, bo oświata dzisiejsza rozbija społeczeństwo, a cechą rzekomo dobrego wychowania jest stronienie od ludzi.[32]) Idąc w towarzystwo musisz się o swą cześć tak obawiać — jak o swój grzbiet idąc w towarzystwo pijaków. — Grzeczności brakło nie tylko podstawy, ale i kapłanki, którą od wieków była kobieta. Emancypacya otworzyła przed kobietą wiele dróg wiodących do chleba i znaczenia publicznego, aie pozbawiła ją tego uroku, jaki jéj dawało kapłaństwo westalek domowego ogniska. — Siedząc między egoistami jesteś nacenzorowanym i bądź pewnym, że za kawałek chleba podanego ci w gościnie zapłacisz wielki haracz honoru. Dziś bowiem, choć egoizm panuje, ludzi interesują się ludźmi, — ale zawsze patrząc na nich przez szkła miłości własnéj upatrują w nich strony ujemnéj, słabéj — ich wad i ułomności a nie cnót i zalet. Czego kto szuka, to i znajdzie. Otwarły się tedy hotele i kawiarnie, teatra i kasyna: ale zamknął się dom rodzinny wraz z sercem i życzliwością; zamknęły się domy możnych dla niemożnych, domy naczelników dla podwładnych. Wieczory czwartkowe należą do historyi – patryarchalizm istnieje tylko w ideale poetów:

---

[32]) Tamże.

„ . . . . , A jak, gdy liść pada,
Jesienią z drzewa, dziś widno — lecz chłodno!
Chłodno i trzeźwo — wiek niby dościgły,
Jak obrażony owoc i wpół zgniły,
A człowiek mądry i jak wąż wystygły,
W słabości wroga szuka tylko siły.
Bo się z drugimi i z sobą obliczył:
Lecz ani może spłacić długu innym;
Nie poprzeć prawa, które odziedziczył
Szpieg niestrudzony i spraw cudzych świadek,

. . . . . . . . . . . . . . . . . . .

I tłum się w błędach coraz więcéj podli,
I choć ochrzczony żyje jak poganin;
I zbrodnia bluźni, obłuda się modli,
I jak śród pogan cierpi chrześcijanin!“ [33])

Charakterystykę sztuki i literatury podam tylko w krótkości. Wszak i tak może nadużyłem już cierpliwości słuchaczów, zwłaszcza stawiając im przed oczy same smutne obrazy wieku, którego jesteśmy dziećmi. Przepraszam, żem zapomniał prosić sposobem Tacyta, kreślącego dzieje swoich czasów, o przebaczenie rzetelności, z jaką kreśliłem obraz czasów naszych. Sztuka i literatura musiały upaść w wieku materyalizmu, zwątpienia i niewiary. Odbił się w nich bowiem charakter wieku. Idealizm wyparty — realizm wziął górę. W nauce przeważa pozytywizm. — Buckle przeniósł go na pole badań historycznych. Wszędzie mierność, trzeźwość, chłód. „Po Byronie i Walter Skocie w Anglii Dickensy i Thakereye, we Francyi śmielsze umysły na wygnaniu, Wiktor Hugo po Sedanie dopiero wrócił, Lamartine spowszedniałym żebrakiem; w ich miejscu About, Sardou, Assolant i t. p., w Niemczech po Hejnem i Boernem elegancki, rozsądny Freytag. Tak wszędzie. Rzemiosło pisarskie kwitnie, mężów wielkiego ducha i tu mało. Schiller i Goethe pojmują się w przeszłości, ale w teraźniejszym świecie skandalem byliby jak mó-

[33]) W. Pol. l. c.

wią Niemcy!“ [34]) I pewnie wraz z socyalistami poszliby na wygnanie. Geniusze bowiem „są z natury swéj niespokojne, nie ma dla nich miejsca w społeczeństwie. Nie rodzą się téż wcale, ........ Inteligencye przykroiły się do ducha i potrzeby wieków, nie wybiegają zbyt w górę, starają się utrzymać stopami na rzeczywistości (realizmie), choćby je skrzydła porywały ku niebiosom.“ [35]) Czy tak jest, niech poświadczy dzisiejsza poezya niemiecka piejąca peany na cześć bratniéj siły. Natchnienie muz zastąpiono szowinizmem.

Naturalnie skalą tą nie można mierzyć sztuki i literatury polskiéj, które właśnie w XIX. wieku zakwitły tak, że miary ich wielkości szukać trzeba w arcydziełach Homera, Danta, Rafaela i Bethovena. Stało się to sposobem naturalnym. Na gruzach państwa musiał się duch narodowy oderwać od rzeczywistości, która była piekłem jego, i ulecieć w sfery idealne, w sfery natchnienia i sztuki. Wielkości i czci naszéj literatury nie zdołam objąć w krótkie słowo. Tyle powiem, że jak w społeczeństwie polskiem najwięcéj dziś zdrowia moralnego, najwięcéj wiary i religii, tak w literaturze i sztuce polskiéj utajone są gorczyczne ziarna odrodzenia się nietylko narodu ale i ludzkości całéj. —

Ale i ten majestat sztuki i literatury poważają się sromocić. Na cudne oblicze Muzy polskiéj rzucają błotem zaślepieni i nikczemni. Pozytywizm i tu się przekrada do wspaniałéj świątyni sztuki i nauki polskiéj.

Tém bieży potok, że fale mijają,
Tém ogół stoi, że szczegóły płyną,
Tém ludzkość żyje, że narody giną,
I trwa tém Wszechświat, że światy konają.“[36])

Tę truciznę niemieckiego racyonalizmu lub angielskiego pozytywizmu, potępianą przez wieszcza Z. hr. Krasińskiego, rozwożą niby ambrozyą duchów po Polsce dwaj profesorowie wszechnicy Jagiellońskiéj, z których jeden powiedział niedawno w Poznaniu: „Wszystko ma swój koniec, mówią tak współcześni, człowiek umiera

---

[34]) Wieczory drezd. 191. 193. [35]) Tamże. [36]) Z. Krasiński Dz. Dzis.

i państwa, zbiorowisko jednostek, ulegają téż téj naturalnéj ludzkiéj kolei . . . . Z tego wynika, że sławna pieśń legionów: „Jeszcze Polska nie zginęła“ była fałszem, że to hasło życia do dziś rozbrzmiewające wyrażało uczucia nieistniejące, że śmierć narodu była zupełną!“ [37]) Możnaby na nich zawołać z Pawłem św.: „Nolite exstinguere spiritum,“ — ducha nie gaście, ale stosowniéj do nich przemówić jak u Krasickiego żaba do chłopców:

„Chłopcy! wy się źle bawicie,
„Dla was to jest igraszką,
„Nam idzie o życie!“

Literatura i sztuka stoją przez wiek cały na straży życia narodu. — Kiedy swywolne duchy zatrują literaturę, wtedy biada narodowi!

„Niczem Sybir, niczem knuty
„I cielesnych tortur król;
„Lecz narodu duch zatruty
„To dopiero bolów ból.“ [38])

Powiedział św. Augustyn, że gdyby kłamstwem można świat zbawić, nie godziłoby się kłamać; powiemy za nim, że gdyby można kłamstwem naród oswobodzić, nie godziłoby się go popełnić. Najwznioślejszy cel nie usprawiedliwia krzywych środków. A jakże można dla hasła swéj koteryi przekręcać prawdę historyczną?! Literatura za wielka pani, aby miała chodzić w liberyi politycznego stronnictwa, albo jednego profesora, choćby ten był i hrabią. — Sztuka bowiem i literatura pogodzą kiedyś kościół z wiedzą, magnata z inteligencyą, szlachtę z ludem: — piękno i prawda nie poniży wyższych ale podniesie niższych i złączy ich w jeden chór, jak w godne pienia aniołów! —

---

[37]) Gaz. Nar. nr. 75 z 1. kwietnia 1879. Odcinek p. t. „Pogadanki i krytyki literackie.“ — [38]) Z. Krasiński — Psalmy Miłości.

Wykazawszy wszystko, co ma dobre i złe wiek XIX. dałem, sądzę, wierną charakterystykę tegoż. Naturalnie, że go sądziłem ze zdarzeń w 78 latach. Co się stanie w pozostałych 22 leciech, o tém mówić nie możemy, ale z logiki dziejów możemy wnioskować co w nieodgadnionéj przyszłości z dziejów tych wyniknąć musi —

Widzieliśmy wyżéj, że mimo tylu zdobyczy postępowych, mimo tylu ziarn dobrego, tyle zacofania tyle chwastu złego w wieku naszym się mieści. Ogólną cechą jego — sprzeczność, chaos, zamęt, który historyosofowie nasi Z. Krasiński i Aug. Cieszkowski przyrównywują do zamętu, jaki panował w świecie za dni Cezara. Z tamtego zamętu wyrwał świat Chrystus, a któż ludzkość wyrwie z tego zamętu? Chrystus przyniósł na świat „ogień i miecz“— runął cały świat pogański, a na jego gruzach powstał nowy świat chrześcijański. Czyż i ten świat ma się rozpaść w gruzy i dostarczyć „tabulam rasam“ dla budowy nowego świata? — „Raz tak było, musiało być — powiada Krasiński — ale o! Boże, o! Panie, o! Wszechduchu duchów, wszak nigdy się już nie powtórzy tak zwierzęcy dzień?!“ [39]) Nie — nie powtórzy się, zapewnia wiedziony intuicyą Cieszkowski. Świat starożytny musiał ledz w gruzach, jak ciało w popioły się rozsypuje; świat wieków średnich nie może przepaść, boć on ożywiony Słowem Chrystusowém, bo ma iskrę żywota w sobie, choć przygłuszoną, przytłumioną popioły. Jednostajnych powrotów, jak wykazała pani Staël, historya nie cierpi. Dzieje ludzkości są obrazem dyalektyki bożéj utajonéj w jestestwie człowieka. Człowiek składa się z ciała i z duszy — w harmonii ich moc ducha. Świat starożytny rozwinął ciało, byt — ujarzmił duszę; Chrystus uwolnił duszę z pęt ciała — i dusza się oderwała od ciała, pogardziła niém. Dojrzewająca i na chlebie Chrystusa wychowana ludzkość ujęła się praw ciała, i na chwilę, oto dziś, ciało zdaje się przemagać nad duszą. Ale nie bójmy się, wszakto praca ducha dała ciału to berło, aby je podnieść do siebie, wyzwolić i zespolić się z niém świętym węzłem harmonii. „W tém

---

[39]) Nied. Poem.

to właśnie tkwi ogromna różnica między dawnem a nowem przesileniem. Przy pierwszem przesileniu zagłada starego świata była niezbędną, bo kierunek nowy miał być wyłączny, oddzielny, odwrotny. Dziś owszem o harmonią, o organizm, o włączne pojednanie, o udział tego, co było, z tem, co jest, co być powinno, idzie.“ [40]) A zatem nie rewolucya ale ewolucya jest progiem nowej epoki. Dziś nie wywrotu, ale nowej wielkiej budowy potrzeba. A do tej budowy zda się wszystko, nawet rumowisko, które pozostało na widowni dziejowej po rewolucyi Wiklefa, Hussa, Lutra. Woltera i Robespierra. Świadczy o tem ta duszność, to pragnienie serc naszych, ten konserwatyzm połączony z przeczuciem zmian przejmujący serca wszech ludów. „Świt nowej epoki na widnokręgu zdarzeń ukazywać się już począł w pierwszych zaraz chwilach bieżącego stulecia, przeczucia napełniały otuchą serca szlachetne, które odgadywać poczęły nawet rysy tych dni odrodzenia, w jakich rozbrat ten ziemi z niebem, rozumu z sercem, wiary z wiedzą ustać miał na zawsze. — „Poczekajcie — woła głos natchniony — [41]) przyrodzone pokrewieństwo religii z umiejętnością połączy je niebawem w umyśle męża geniuszem obdarzonego; zjawienie się tego męża dalekiem nie jest zapewne.... Człowiek ten głośnym będzie i zakończy wiek XVIII. dotąd ciągle trwający.“ [42]) Geniusz tego męża musi być syntezą, t. j. kojarznią przeciwieństw dzisiejsze bole rodzących, musi być rozumem, sercem, intuicyą i wolą w najwyższej łączni. — Potęgą jego musi być miłość.

„Wyjdzie z zamętu świat ducha,
„Miłość go pocznie w swem łonie,
„A przyjaźń w wieczne utwierdzi spojnie.“ [43])

Miłość tedy będzie budowniczym nowego świata. Przedstawiają to w historyosoficznym systemie Krasiński i Cieszkowski. Krasiński też nie przestaje, w swoich poematach gromić wandalizmu a natomiast zalecać miłości, jako jedynej bussoli zbawienia. To też bohatero-

---

[40]) Ojcze — Nasz. [41]) J. Maistres „Soires de St. Petersbourg.“ [42]) Dr. Tad. Żuliński „Wiara i Wiedza str. 9. [43]) A. Mickiewicz „Oda do młodości.“

wie nowéj ery, jak Mąż i Pankracy w Nieboskiéj komedyi giną, bo nie mieli miłości. —

Miłościwe skojarzenie się rodu ludzkiego w jednę rodzinę ludzkości, któréj dziećmi będą narody, będzie tedy owym nowym wybuchem chrześcijaństwa, o jakim Mickiewicz i Cieszkowski, idąc za de Maistre'm mówią, a który Krasiński w apokaliptycznych obrazach odsłania:

„I ty, ludzkości, będziesz przemienioną!
„Zostawisz w dole u stóp ciemnych wzgórzy
„Wszystko, co zwodzi, i wszystko, co boli;
„Zostawisz w dole szatańswo niedoli,
„Zostawisz w dole kłamstwa opętanie,
„Zostawisz w dole tajemnic zawiłość,
„A weźmiesz z sobą duchowe poznanie,
„I serca wieczną, nieskończoną miłość.
„I z temi dwoma świętemi potęgi,
„Jak Chrystus, w światła wzbijesz się okręgi.
„Z czoła się twego grzech wszelki twój zetrze,
„Jak pióra lekkie będą twe ramiona;
„Ręce pokładniesz na białe powietrze,
„I w niém się ważyć będziesz spowietrzniona.“ [44])

Tarnów, d. 5. Kwietnia 1879.

*Fr. Habura.*

---

[44]) Psalm wiary.

# ŚPIEW ŻEGLARZY.

Jak lawa wewnątrz wulkanu,
Warczy żywioł zwierciadlany,
Mimo burz, z ufnością w Panu
Przepływamy oceany;
Wszak Stwórca kropelki morza
Zliczył z gwiazdami na niebie,
Przez skały, morskie bezdroża
Wspiera żeglarzy w potrzebie.
Mocą cudownej busoli
Zgubne mielizny wyminie,
Strudzonym spocząć pozwoli,
Gdy statek w porcie zawinie —
Żagiel, w powietrzu kąpany
Nad nami płynie w przestworze,
Naokoło oceany,
Pod nami wspaniałe morze.
Wśród brylantowych powodzi,
Wśród bezdennych wód dokoła,
Życie bezpiecznie uchodzi
Pod skrzydłem stróża — Anioła.
Kędy ojczyste wybrzeże,
Choć huczą wzdęte bałwany,
W miłości, nadziei, wierze
Płyniemy przez oceany,
Odpocząć w drogiej ustroni,
Gdy za nią gnębi tęsknota,
Zerwać kwiat z rodzinnej błoni
Na dalsze drogi żywota,
Wziąć grudkę ziemi kochanej,
Gdy przeznaczenie z nią dzieli,
Z nią przepływać oceany,
Z nią spocząć w chłodnej topieli.

*Marya z Rusiłowa.*

# Zagadka życia

(z Merzrotha.)

Gdy o tem wspomnę — jak dawno wytknęła
Śmierć nie jednemu z przyjaciół już kres,
Jak nikt nie spieszy z współczuciem prawdziwem.
Zetrzeć mi z oka ślad smutku i łez;
Gdy o tem wspomnę, jak dawno, jak dawno
Sen mej młodości na zawsze, ach! znikł,
I jak już długo ma pieśń nie zadźwiękła,
Którąm do łez się rozczulać był zwykł;
Gdy o tem wspomnę, jak dawno już nęka
Duszę mą nieprzebłagany wróg — los,
Ile mi łez wycisnęła z ócz nędza,
Której zwycięzko ugadza w nas cios —
Tedy zaiste samemu się dziwię,
Żem nie zgarbiony, nie drżący co krok,
Z drzewem się równam co kwitnie zielenią,
Podczas gdy z jądra uchodzi już sok.

*N . . . . . l Kohn.*

# Bądź mi zdrowa!

Hej ma luba, bądź mi zdrowa!
Idę w krwawy bój.
Wnet ucieknie wróg z Grochowa,
Bo nas braci rój.
Oj moskalu! ostra kosa
Ścinać będzie łby,

Kiedy ranna wstanie rosa,
My zwyciężym — my!
Bądź mi zdrowa — żegnam chatkę
I rodzinny gród,
Żegnam siostry, żegnam matkę,
Chcę zgnieść wrogów ród.
Bądź więc zdrowa — żegnam droga!
Już ostatni raz.
Dalej, dalej, w imię Boga!
Spieszę w lot przez las.
Lecę chyżo jako strzała,
Że aż ziemia drży,
W piersi mojej ogień pała,
My zwyciężym — my!
Słowik cichą piosnkę śpiewa
I wywodzi żal,
I kochanka ubolewa,
Szczęka moja stal.
Smutno — pusto — głucho w koło,
Wzrok mój w dali tkwi,
A na ustach mych wesoło
Pieśń bojowa brzmi.
Dalej żwawo! koń mój rwie się
Przez zielony łan,
Tylko wietrzyk echo niesie,
W dali szumi San ....

*Alfred Stehlik.*

---

# SPOWIEDŹ CYGANKI.

## balada.

— Był dzień pogodny w tatrzańskiéj krainie,
Już gór kryształy odwieczne
Z morza błękitu, ku ziemskiéj dziedzinie
Groty ściągały słoneczne. —

I tak się wdzięczy zalotnie ziemica
W czarownéj wiosny koronie,
Że do niéj słońce pochyla wciąż lica,
Aż w jéj objęciach utonie.
Roi się życiem kraina Podhala,
Perlą srebrzyste potoki,
A tam piosenka śmiałego górala —
Zabrzmi z nadskalnéj opoki.
Dziś dzień niedzielny; — u sioła tam końca
Zewsząd się ludu tłum zbiera,
A twarz ciekawa niknącego słońca —
Z za gór nań chciwie spoziera.
Bo téż to dziwo: — gdzie skały urwisko —
Straszne widziadło — ... Niestety!
— Ze drżeniem dasz mu człowieka nazwisko,
Z ohydą — miano kobiety! — ...
Wśród szmat łachmanów zczerniałe jéj kości
Wiją się w drganiu straszliwem,
Oczy lśnią w ogniu piekielnéj wściekłości,
Życia ostatniém ogniwem,
A na spalonéj wychudłéj jéj twarzy,
Czarna brzydoty potęga
Może być chlubą szatańskich mocarzy —
Piekieł dna każden rys sięga!
Usta jéj wyschłe, zaś uśmiech tak dziki
Straszném szyderstwem wykrzywił,
Coby i węże i piekieł tajniki
Wszystkie swym jadem ożywił.
Z zielskiem splątany włos czarny, kudłaty
Strasznie się jeży na skroni,
Z zębów zgrzytaniem spróchniałéj zwój szmaty
Ciśnie w kościstéj wciąż dłoni.
I tak się wije wśród skalnéj opoki,
Jak gad posiekan na ćwierci;
Czarna to dusza z życiowéj powłoki
W poddaństwo idzie tak śmierci. —
Bo to tatrzańska znana czarownica,
Stara cyganka Oksana;
Rok nie widziała jéj ta okolica,
Dziś tak wśród groty zdybana!
Miota się gniewem na tłumy dokoła,
I wciąż przekleństwy im grozi,

Aż: — „Milczeć!“ — wściekle po trzykroć zawoła,
Głosem, co w żyłach krew mrozi. —
„Czegóż stoicie? czy tak wam ciekawy
Skon starej wiedźmy, cyganki?
Przeklęty tłumie — ha! chcecie zabawy?
Słuchajcie piekieł kochanki! —
„Wy — wierni słudzy słonecznego Boga!
Jakie z życiowéj pochodni
Plony dla Jego zbierałam ja wroga, —
Dla krwi, łez boga i zbrodni!
„Bacznie słuchajcie, młode Podhalanki,
Co tak kryjecie swe lica!
Przed lat półsetkiem z Oksany cyganki
Była Oksana dziewica.
„A choć wam wiosna dziś z twarzy przyświeca,
Krasa Oksany cyganki,
Jako blask słońca nad blaskiem księżyca,
Tak nad wdzięk lśni Podhalanki.
„A tu — gdzie sterczy ta sosna spróchniała,
Była rodzinna ma chata,
W niéj jak wy szczęsna, i duszą tak biała
Wiosny pędziłam me lata. —
„Ojca w niéj miałam, w niéj matkę mą drogą —
Zwała mię: drogie swe dziecię; —
O! i mnie kiedyś płynęły dnie błogo,
I mnie ktoś kochał na świecie!
„Jak wy stroiłam się w kwiaty wonięce,
Jak wy w złoconym kościele, —
Bogu białemu śląc modły gorące,
W każdą klęczałam niedzielę.
„Ha! ten co umiał na krzyżu umierać
Za swe się modląc morderce,
Wiecież jak umie niewinność popierać,
Czyste nagradzać jak serce?
„Ja wam opowiem! — Co? bledną wam lica?
Modła wam usta porusza? —
Bogu waszemu bluźni czarownica,
Nie pragnie modłów jéj dusza.
„Ale słuchajcie! — bo życie mię dławi,
Dzikie targają boleści;
A pierw mi z cielska czart duszy nie zbawi,
Aż wam dokończę powieści. —

„Ha! gdzież stanęłam? dopiero początek!
Patrzcie! na prawo od chaty,
Gdzie się w dal czerni ten ruin tam szczątek,
Stał wtedy zamek bogaty. —
„Dziś tam wśród nocy puszczyki i sowy
Dziko sprawują swe gody,
Wtedy wśród gości sproszonych na łowy
Ucztował w zamku — graf młody.
„Uczta skończona! brzask wiedzie ich w knieje,
Dnia tego wstałam zawczasu,
Ranny chłód mile w twarz senną mi wieje,
Po grzyby biegłam do lasu.
„Dziwnym mi czarem to lśniło zaranie,
Lecz nim dopełnię koszyka.
Głośny gwar trąbek, myśliwskich psów granie,
Trwogi mię dreszczem przenika.
„Chciałam uciekać — już było niewcześnie
Bo psów zażarta gromada.
Wnet mię obskoczy i rani boleśnie,
Szarpie i wściekle ujada.
„Myśl się ma mąci, odbiegła mię siła.
Padam. — ostatni jęk ginie. —
Nie wiem, co daléj, — lecz bogdajbym była
Śmierć w téj znalazła godzinie! — ...
„Bawi was baśń ma? — słuchacie ciekawi?
O! ja opowiem wam daléj!
Aż wam ma powieść dech w gardle zadławi,
Aż wam mózg we łbach przepali! —
„Jak dziś w zachodzie, — już słońce w szkarłacie
Ziemskie kąpało ogrody,
Gdy się w zamkowéj ocknęłam komnacie,
U nóg mych klęczał graf młody. —
„Żmijo ty wściekła! — po toś swém ramieniem
Z szponów zębatéj mię hordy
Wydarł, ażeby wieczystém cierpieniem
Wieczne zgotować mi mordy?! — ...
„Po toś tak wołał do życia dziewicę,
Już snem wieczności ujętą,
Aby swym jadem — białą anielicę
Zmienić na żmiję przeklętą? ...
„Pamiętam — wzrok ten! — Zanim myśl zbłąkana
Spokój i światło zdobyła,

Najsłodsza z pokus zabójczych szatana
W obłęd ją wieczny rzuciła!...
„Ha! jak patrzyłeś, — coś mówił mi wtedy —
Widzę cię mistrzu — morderco!—
Straszniéj to wspomnieć i myśleć, niż kiedy
Zbrodnie mi w duszy zawiercą. —
„Lecz nie w a m mówić! — wam z lodu kochanki,
Inaczéj w żyłach krew płynie, —
Nie w a m to poznać co miłość cyganki,
Co z nią i w piekle nie ginie!
„Wam też nikt nie dał tak słodkiéj trucizny,
Co tak rozkoszne ma pęta,
Co w pośród duszy i ciała zgnilizny —
Jeszcze tak pali — przeklęta! —
„Lecz precz z pamięci! — bo w wyschłém mi łonie
Straszna znów hydra powstała, —
Precz mi z litością, co w oczach wam płonie,
Bom ja litości nie miała!
„Mówił — że kocha, — powtarzał przysięgi —
Zamku graf młody, — bogaty;
Wszystkie mi duszy wraz wydarł potęgi,
I nie wróciłam do chaty. —
„Matki, rodziny niepomna Oksana,
W zamku króluje cyganka,
W perły i złoto bogato przybrana,
Szczęsna w objęciach kochanka! —
„A on ją uwiózł w ojczyznę gdzieś słońca,
W grody gdzieś dziwnie wspaniałe,
Wiosna bez końca i rozkosz bez końca
Życie chłonęła tam całe. —
„Zrazu — tam przy nim dzień każdy mi płynął,
Potem porzucał już co dnia;
Lecz jad mu z duszy ustami nie płynął,
Z oczu — nie ćmiła mu zbrodnia.
„Więc jam wierzyła, — a choć mi tęsknotą
Często się ćmiły źrenice,
Ogień weń nowy swą wlewał pieszczotą,
Całunkiem rumienił lice. —
„Aż dnia jednego — napróżnom czekała,
Wieczór jak zwykle nie wrócił,
A w mózg mi prawda okropna zajrzała,
Że graf cygankę porzucił! —...

„Z komnat złoconych wnet boleść mię sroga
Gnała — i tu znów zawiodła —,
I do białego w kościele tym Boga
Znowu zabrzmiała ma modła. —
„O! on się z krzyża — nie modlił tak rzewnie,
Jak dziś — na krzyżu — cyganka,
Zbawienia świata nie pragnął tak pewnie,
Jak ona — grafa, kochanka!
„Lecz tak spoglądał litośnie i łzawo,
Że ja mu głupia wierzyłam,
Iż wnet obmyję z ran duszę mą krwawą,
I ból nadzieją tłumiłam. —
„Pociech nie zwleka wasz władca udzielny,
I ja nie długo czekałam; —
Pieśni gwar słychać i orszak weselny
We drzwiach kościoła ujrzałam.
„Strojny był orszak, — a oblubienica
Z wszystkich piękniejsza cyganek;
Oczy jéj jasne, włos jasny i lica, —
Przy niéj szedł graf, mój kochanek!...
„Dalėj co było? — Ha! w zamku biesiady;
Z za szyb widziała cyganka,
Lecz tak nie patrzą ni żmije, ni gady,
Jak ja — na gody kochanka!
„Ha! — co? wzdychacie i wzrok się wam łzawi?
Precz! — łzy to głupia nagroda!
Tchnienie Oksany chuć zemsty już dławi,
Bóg czarny — rękę jéj poda! —
„Zemsty bóg — teraz kochanek cyganki;
O! słodkie jego potęgi!
Wiódł mię w komnaty, gdzie u nóg kochanki
Niegdyś graf składał przysięgi.
„Księżyc lśnił blady, już lampy nie płoną —
Wiodła mię zemsta mistrzyni,
Gdzie w białém łożu, za białą zasłoną
Biała leżała grafini. —
„A tak tam szczęściem jaśniała, jak święta,
Jako w obrazkach anieli...
Ha! lśni już księżyc .... precz! maro przeklęta!
Znowu w księżycu się bieli...
„I on spał także, lecz winem spojony,
Noża nie widział ni ręki,

Co go w młodziuchnéj wtłoczyła pierś żony,
Ni go wzbudziły jéj jęki. —
„Z wzroku Oksany już radość lśni dzika,
Szybko nóż z rany wyjęła,
I wnet grafini z zręcznością rzeźnika
Palec z pierścionkiem odjęła. —
„Ha! jak tu błyszczy — w tej szmacie patrzajcie!
Palec ten, wy na ofiarę
Bogu białemu po śmierci méj dajcie,
Popowi — cielsko me stare!
„Co?! — strach was mrozi — zgroza wami miota! —
Mnie gorsze szarpią boleści. —
Stójcie! — bo wprzódy nie skończę żywota,
Aż wam dokończę powieści. —
„Z zamku cyganka znikła niewidziana,
I tu, w téj grocie z wężami —
Długo karmiła się z łaski szatana —
Grafa rozpaczą i łzami. —
„Aż graf odjechał — cyganka została,
Wiedźma z pod groty wam znana —
We łzach się waszych i we krwi kąpała,
Żądzą wciąż zemsty szarpana. —
„I tak tu z wami przeżyłam wiek długi,
Aż wieść przyniosły mi kruki,
Że graf od dawna żonaty raz drugi,
Pieści szczęśliwy już wnuki. —
„I wnet go wierna znalazła Oksana;
Niesie do zamku jagody. —
Takiéj i dziadek i dziatwa zdyszana
Właśnie spragniona ochłody!
„Lecz nie tak uczta ta mile ich syci,
Jak widok uczty — Oksanę;
A czart doradca z nią zemstą się szczyci!
Jagody — z trucizną dane!
„Najpierw zakończył w okropnéj katuszy
Chłopczyk trzechletni, Stefanek.
Wszyscy w godzinie zbawieni już duszy;
W końcu padł graf —, mój kochanek. —
„A gdy już bole śmiertelne go piekły,
Jam mu zawisła u szyi, —
Dzikiéj rozkoszy — grał w łonie szał wściekły,
I uścisk dałam mu żmii! —

„Gdym go żegnała wyrazy czułymi,
Walka nim rwała śmiertelna;
Lecz graf mię poznał, — bo usty martwemi:
„Zemsta — wyjęknął — piekielna! —“
„Słodkie tak zemsty — gdym dzieła spełniła,
Na tom znów miejsce przybiegła;
Bym tu, gdzie matka mię do snu tuliła.
Śmierci na wieki snem legła,
„Ha! — więc już koniec! — do boga mściciela —
Spieszno — do grafa kochanka!
Niech z nim choć w piekle rozkosze podziela
Jego Oksana — cyganka! —
„Moja to spowiedź — a dla was w spuściźnie
Moje zostawiam przekleństwo! —...
Ha! — jak mię pali żar w cielska zgniliźnie.
I on miał takie męczeństwo!”—
Tu głos jéj zamarł, coś w piersi jęknęło;
Strasznie śmierć członki wypręża;
Wszystko co żyje od trupa pierzchnęło —
Prócz sowy tylko i węża! —
I noc urocza w tatrzańskiéj krainie,
Czarem stu cudów wezbrana,
Cicho i rzewnie jak anioł snu płynie,
W blasku księżyca skąpana!
Tylko z pod skały głos słychać grobowy,
Gdzie legł — trup wiedźmy piekielnéj,
O! bo tam czarci, puszczyki i sowy
Gwarzą wśród uczty weselnéj!....

W Skórzowie, d. 22. lipca 1880.

*Kamila Strzałkowska.*

# Miłość zwycięża.

POWIEŚĆ ORYGINALNA

przez

Waleryę z P. Sakiewiczową.

---

I.

KOZAK i HRABINA.

— Jasna Pani! jeszcze raz błagam na kolanach, pozwól, zmiłuj się nad nieszczęśliwym mężem, daruj tych kilka godzin!

— Mówiłam że nie, to nie! Skończona rzecz! Nie zmieniam rozkazów! Stefanie! nie nadużywaj mojej cierpliwości — odparła piękna hrabina, a małe jej usteczka zacięły się pod wpływem silnego postanowienia, aksamitnem, czarnem okiem zaś błysła w powietrzu, sypiąc iskry gniewu ku proszącemu kozakowi. Lecz on tego nie widział, jego myśl była tam skupiona, gdzie serce się rwało. Blada jak z marmuru wykuta twarz zdradzała wielką boleść, a wzrok ponury i drganie ust świadczyły o walce, jaką toczył z sobą, by nie wybuchnąć gniewem w obec swéj pani. Hrabina badawczo z uśmiechem na ustach patrzała w twarz kozaka, w której tak wyraźnie odbijały się męczarnie jego duszy. Jej te męczarnie sprawiały przyjemność, chwilową rozrywkę, doznawała jakiejś tajemnej rozkoszy, że mogła oczy swe poić widokiem boleści zrozpaczonego męża.

Stefan ukląkł przed nią; znać długo nie mógł się zdobyć na to, lecz myśl, że nieudaną tą pokorą zadowoli może próżność hrabiny i uzyska pozwolenie

jej, myśl ta przemogła jego wahanie. Drżącemi usty zawołał, podnosząc ręce ku niebu:

— Na rany Zbawiciela! Jasna Pani! daj się ubłagać! Pomnij, jak to okropnie umierać mojej żonie bez widzenia się ze mną! Ach Pani! rok już blisko jak ją widziałem, rok cały byłem na wasze usługi i rozkazy, pozwólcie choć dzisiaj mnie, widzieć ją. Bóg będzie Wam błogosławił przez całe życie, a ja będę się codziennie modlił za Wasze szczęście.

To rzekłszy ułożył ręce jak do modlitwy i podniósł oczy na hrabinę, oczy piękne, duże, siwe, pełne żalu i najwyższej rozpaczy. Hrabina wstrzęsła głową niecierpliwie, a twarz jej przybrała wyraz surowy. Z ócz kozaka łzy potoczyły się jak groch, spływając na zielone sznury u siwej burki.

— Patrz! Jasna Pani! Nigdy nie płakałem, nigdy jeszcze łzy nie zwilżyły mego oka. Twoja nielitościwość wycisnęła je. Czyż cię nie wzruszą? Tam Hanna chora umiera, czy słyszysz jak pyta za Stefanem? Ja jej przysiągłem, że przybędę na wezwanie, a dziś każda chwila taka dla mnie ciężka! dziś serce pęka z żalu, bom zaprzedany jak niewolnik, jak pies muszę stać na łańcuchu.

Powstał i zrobił ruch niecierpliwy, patrząc się na hrabinę z dzikim ogniem rozpaczy, lecz niebawem wzrok jego złagodniał. Hrabina była tak piękna, tak czarująca, oparta niedbale na aksamitnej, błękitnej otomance, przy której śliczna jej twarz wyglądała tak dobrotliwie a oczy przymknięte zdawały się z żalem patrzeć na kozaka, tak że nie mógł dłużej czuć do niej urazy i nowa w jego skołatane serce wstąpiła otucha.

— Przysięgam Ci, najłaskawsza Pani, rzekł uniesiony jej pięknością, że przez całe życie służyć Ci będę wiernie, w ogień i wodę skoczę za Tobą, tylko pozwól mi odwidzieć żonę, a jutro powrócę, klnę się na Boga, że powrócę!

Hrabina uśmiechnęła się dwuznacznie, dawno już nie bawiła się tak wybornie kosztem cudzej boleści, którą ukoić mogła jednem słówkiem: „jedź!“ Stefan wziął ten uśmiech za dobrą wróżbę, a na twarzy jego wystąpił rumieniec gorączkowy.

— O! wiem ja — szepnął ucieszony, że Jasna Pani najlepszą pod słońcem jest panią, i tylko ja, kozak prosty, nie umiałem prosić jak na mnie przystało, byłem zanadto zuchwały, zanadto natrętny. Lecz wybacz, bo rozpacz mówiła ze mnie. Niech Bóg Ci wynagrodzi, litościwa Pani, bo ja nie umiem Ci podziękować.

Hrabina podniosła się z kanapki, bystrem okiem zmierzyła dumnie kozaka i tupnęła małą nóżką gniewnie.

— Dość tej komedji — zawołała wyniośle, ty się na krok nie oddalisz ztąd, bo ja tak rozkazuję! Rozumiesz? Nie nudźże mnie dłużej, bo już i tak dość długo nasłuchałam się tej gadaniny, a teraz idź precz do swoich obowiązków!

O! ktoby był spojrzał na tego kozaka, co klęczał przed chwilą, nie poznałby go teraz z pewnością — wyprostowawszy się dumnie zda się że urósł i wypiękniał, lica okrył mu ciemny szkarłat, a z pięknych ócz tryskał gniew taki, że hrabinę ogarnęła trwoga. Podniósł rękę i wstrząsł nią:

— O kobieto bez serca! — zawołał, niech ci Bóg da tyle cierpień, ile ja teraz przez ciebie znoszę! Niechaj ludzie będą dla ciebie tak bez serca, jak ty dzisiaj dla mnie i niech się tobie odpłacą taką czarną niewdzięcznością za wszystkie twoje dla nich uczynki, z jaką ty się mnie odpłacasz! Do dnia dzisiejszego wszystko musiało być tak, jak Jasna Pani chciałaś, lecz teraz ja cię przekonam, że i bez twego rozkazu pojadę. Wiem co mnie za to nieposłuszeństwo czeka, ale ja muszę ją widzieć, gdyby mnie i zabili; och! bo strasznie ją kocham, a miłość nie zna zapory.

Skończył, usta drgały mu kurczowo, a na twarzy odbiło się silne postanowienie, powzięte w głębi duszy. Hrabina była blada jak chusta, a barwa jej przybierała kolejno te różne odcienia, jakiemi złość i namiętność piętnują oblicza występnych, otwierała kilka razy usta, lecz nadaremnie, gdyż gniew nie dał jej słowa wydobyć z piersi; spojrzała groźno na kozaka i ręką wskazała na drzwi, ale kozak wytrzymał jej wzrok, odwrócił się z pogardą i wyszedł dumny i gniewny.

Hrabina została sama, trzęsąca się od silnego wzruszenia — w tem nagle jakaś myśl złowroga błysła z jej oka a na ustach zaigrał szatański uśmiech tryumfu. Pociągnęła taśmę od dzwonka, a za chwilę stary siwy kozak stanął na progu.

Hrabina spojrzała nań groźno.

— Hrehory! Dziś masz pilnować, żeby bramy były pozasuwane, konie pozamykane, a warta noc całą na dziedzińcu. Klucze wszystkie weźcie do siebie, nad Stefanem zaś czuwajcie, by nie uszedł, trzymajcie go w izbie, choćby przemocą, bo inaczej biada wam! —

Stary kozak przyzwyczajony słuchać rozmaitych rozkazów kapryśnej hrabiny, skłonił się milcząco i odszedł.

Hrabina zadowolona uśmiechnęła się zwycięzko. Otóż nie ujdziesz mi, kochanku! bo ja tu panią, a ja tak chcę — rzekła sama do siebie, przerzucając niedbale welinowe kartki francuskiego romansu.

Dziesiąta godzina wybiła strasznie powoli na wieżowym zegarze, noc była ciemna, wicher w powietrzu wywodził pieśnie przeklętych duchów, śnieg sypał nieustannie, a na dziedzińcu psy wyły przeraźliwie. Ciemno było w pałacu, tylko okno hrabiny jak błędny ognik błyszczało światłem wśród ciemności. I izba kozaków w oficynach była oświetlona, a izba ta była wielka i ciepła, i woń tytoniu rozchodziła się po niej. W koło dębowego stołu siedziało dziewięciu kozaków w jednakowych strojach. To służba hrabiny. Dziesiąty kozak, młody i smukły gdyby topola, przechadzał się szerokiemi krokami już od godziny po izbie, a w oczach kręciły mu się jasne łzy. Hrehory, najstarszy z kozaków, smutnem okiem patrzał na młodego towarzysza i powtarzał od czasu do czasu:

— Stefanie! daj spokój dumie i łzom, wszak ci one nie pomogą.

Inni towarzysze bawili się wesoło przy pełnym dzbanku mocnej gorzałki, przyśpiewując przy tem rozmaite piosenki. Jeden z nich nalał świeżego napoju do szklanek.

— Niech żyje nasza Jasna Pani — zawołał wesoło, niech żyje za to, że kazała nam dać dobrego trunku, by weselej nam przeszła wieczorynka. Hej Stefanie!

chodźże do nas i utop swój smutek w największej szklance, u nas nikt nie płacze, a czy ty baba z pod kościoła, lub marudne dziecko jakieś? Ty kozak, chłopak zuch! Ty nasz druch najweselszy! toż otrzyj łzy i bądź wesół, albo kwita z naszej przyjaźni! Precz z smutkiem! niech się święci wesołe życie kozaka! W ręce twoje, Stefanie, a w gardło moje!

Wzniósł szklankę do góry i wychylił duszkiem.

— Niech żyje Stefan! — powtórzyło hałaśliwie ośm głosów naraz, a Stefan wstrząsł się.

— Niech raczej zginie nieszczęśliwy! — odparł ponuro, a zwróciwszy się do towarzyszów rzekł do nich:

— Bracia kozacy! widać że żaden z was w życiu swojem nie kochał kobiety, żaden z was nie wie, co to za bieda w sercu, kiedy żona umiera, a mąż nie może pospieszyć do niej przez grymas swojej pani, przez zemstę, którą ta pani chce wywrzeć na mojej Hannie. Czyż my nie ludzie? Czyż my psy? Czyż wiecznie tak tańczyć mamy, jak nam grają? Czy za to, że wiernie służymy zacząwszy od dziecka prawie, za to mają cierpieć nasze żony? Ojcze Hrehory! zawsze nazywałeś mię swoim synem, a dziś patrzysz na moją boleść suchem okiem, a wy towarzysze! bawicie się i śmiejecie, bo kazano wam, pilnować mnie, bym nie uciekł. O! pilnujcie dobrze, bym wam nie uszedł, a jutro oddacie hrabinie — skostniałego mego trupa.

To rzekłszy roześmiał się przeraźliwie, aż się wstrzęsły mury, wyjął nóż z za pasu i kierował nim ku piersiom swoim, lecz lotem błyskawicy dziewięć par silnych rąk wstrzymało mu ręce i nóż odebrano.

— Daj spokój, Stefanie! — wołali kozacy na szamocącego się z nimi nieszczęśliwego towarzysza . . . on uległ im . . . spokojnie stanął wpośrodku izby, blady jak ściana.

— Czemu nie daliście mi skonać? — rzekł drżącym głosem, wszak życia dla mnie nie ma, tylko męczarnie, w waszej mocy jest oswobodzić mię z nich, czemuż się wzdragacie? Ojcze Hrehory! bracia kozacy! jeżeli który z was ma na świecie żonę lub kochankę; jeżeli ją umiłował całem sercem, to niechaj powstanie.

O! bo tylko ten mię zrozumie, ten tylko odczuje moją dolę!

Kozacy powstali, nawet stary Hrehory. Wszyscy snać kochali, tylko jeden z nich z brzydką dziubatą twarzą nie ruszył się z miejsca.

— Seńko! — zawołał Stefan, a ty nie kochasz żadnej dziewczyny, żadna jeszcze nie zamąciła ci głowy?

— Et! co mi tam do takiego głupstwa, nie kocham dziewczyny, boby mnie pokinęła, skoroby się jej piękniejszy trafił — odparł Seńko z niechęcią.

— Nie każda dziewczyna płocha, są także i takie, co zawdy kochają jednego, choćby był i brzydki, odparł poważnie Hrehory.

— Jedna taka koza, jak i druga, nie mam wiary do nich.

— Nie kochasz więc nikogo na świecie? — pytał Stefan z naciskiem.

— Dajcie mi spokój, nie bajcie już więcej o tem kochaniu, ja go nie znam i znać go nie chcę — odparł gniewnie Seńko, oczami wodząc po podłodze.

Dziwny jakiś smutek odbijał się na twarzy Stefana a spojrzawszy badawczo na Seńka, odzywał się doń:

— Biedny ty jesteś, kiedy nie znasz co to za szczęście, upodobać sobie dziewuchę i widzieć, że ona tylko dla ciebie żyje, a zwróciwszy się do reszty kozaków, przemówił do nich:

— Zaklinam was na miłość waszych żon i kochanek! przysięgnijcie, że żaden z was mnie nie zdradzi! Pomnijcie, że i wy kiedyś możecie tak cierpieć jak ja dzisiaj, pomóżcie mi waszem dobrem sercem, waszą przyjaźnią do ocalenia mojej Hanny, bo tylko widok mój może jej wrócić życie. Przysięgnijcie, że żaden z was nie da znać hrabinie o mojej ucieczce. Hrehory da mi konia i otworzy bramę, a ja jutro powrócę i będę już do was należał całem sercem, waszym niewolnikiem będę przez całe życie moje.

Popatrzył dokoła.

Kozacy stali nieruchomi, a trwoga wielka malowała się na ich twarzach.

Stefan zrobił ruch rozpaczliwy, błędnem okiem powiodłszy po izbie. On dziś tyle znosił, tak prosił gorliwie a mimoto nie chciano go wysłuchać, aż się serce mu krajało a głowa pękała od bolu. Zdawało się, że zmysły tracił, taka dzika rozpacz malowała się na jego twarzy.

— Czyż i na was się zawiodłem? Czyż i wy nie macie serca? Nie zlitujecie się nademną? Tak więc kochacie wasze niewiasty? Wicher wyje tam na dworze i wstrząsa szybami. Czyż nie słyszycie w tym wichrze głosu mojej Hanny? Ona mnie woła: Przybywaj do mnie, Stefanie! a ja tu omal nie oszaleję. Noc straszna, Bóg sam się gniewa, że słuchacie głosu nieludzkiej hrabiny. Ja za was bym życie dał, a wy dla mnie nic nie uczynicie?

I sięgnąwszy ręką do kieszeni, wyjął kieskę, z której na stół potoczyły się same złote czerwieńcy.

— Patrzcie! — wołał zrozpaczony, to cały mój majątek, weźcie go sobie a puszczajcie mię i przysięgajcie, że milczeć będziecie jak groby.

Kozacy porwali się z ławek, jak gdyby piorunem rażeni.

— Precz z złotem! — wołali groźno, dla złota nie uczynimy nic, przekupywać się nie damy!

Stefan rozpłakał się jak dziecko.

— Więc nie ma dla mnie ratunku? Hanno! Hanno! oni nie mają serca! moja prośba niczem dla nich! Boże mój! rozmiękcz ich serca, daj im myśl dobrą, włóż w moje usta takie słowa, bym niemi przemówić mógł do ich duszy, lub zlituj się Panie! nademną i zeszlij mi śmierć!

Kozacy wzrokiem potoczyli po sobie, a w oczach ich błyszczały łzy.

Hrehory przemówił pierwszy:

— Raz bracia! umrzeć musimy wszyscy. Jeżeli nas śmierć spotka, to z czystem sumieniem oddajmy Bogu ducha. Choć to grzech sprzeniewierzyć się swojej pani, lecz dziś ona nic na tem nie straci, jeżeli Stefana przez noc jedną nie będzie w domu.

— Święte twoje słowa niech będą błogosławione! — wołał Stefan ściskając kolana starego kozaka.

— Przysięgajcie na wasze sumienie, że nie zdradzicie Stefana — wezwał Hrehory kozaków.

Kozacy jakby czekali tego hasła.

— Przysięgamy! — zawołali jednogłośnie, przysięgamy na Zbawiciela i na miłość naszych żon i kochanek!

— Wierzę wam! oh! wierzę! — szepnął rozczulony Stefan i ściskał każdego z osobna, niechaj pieszczoty i pocałunki waszych wiernych żon będą wam nagrodą za dobry wasz uczynek, a zwracając się do Seńka mówił do niego:

— Tobie to złoto daruję, bo ty nie masz nikogo, coby cię kochał. Choć wielki majątek stanowią te pieniądze, dla mnie jednak nie mają one wartości, a ty Seńko! pamiętaj, że największym majątkiem człowieka jest miłość bliźniego. Bądźcie zdrowi! O! spieszmy się, Hrehory! — rzekł gorączkowo, bo mnie bardzo pilno!

I wyszedł stary kozak, a za nim Stefan. Zgrzytnął klucz w zamku pańskiej stajni. Hrehory wyprowadził białego konia, potem bramy pałacowe ciężko zaskrzypiały, Stefan ucałował ręce i kolana Hrehoremu, ten go przeżegnał i puścił za mury pałacu. Ptak nocny w lesie zakrzyczał przeraźliwie, noc była ciemna, burza szalała, a stary kozak z smętnem obliczem wracał do pałacu odmawiając pacierze. Trwoga go ogarnęła, kiedy przekroczył próg izby w oficynach. Tam kozacy pili przy stole za pomyślną podróż Stefana. Hrehory powiódł okiem po ich twarzach, lecz oni o zdradzie nie myśleli, twarze ich były pogodne a oczy świeciły rozegrzane trunkiem. Hrehory przerachował ich bacznie i zachwiał się. Między nimi nie było Seńka, nie było i złota na stole. Stary kozak przeżegnał się i wiedziony ciężkiem przeczuciem nieszczęścia, usiadł w końcu izby zadumany, czekając na wezwanie hrabiny.

## II.

## ZDRADA.

Lampa stojąca na stoliku oświetlała cały salonik pięknej pani, a był tam zbytek i przepych, jakiego

sobie tylko kobieta majętna i próżna pozwolić może. Na aksamitnej otomance spoczywała hrabina, odziana zaś była w ponsowy szlafroczek z białemi koronkami, włosy krucze spadały w nieładzie na alabastrową szyję, ozdobioną perłami, świeża biała róża spoczywała w jej rączkach, a wszystko to razem tworzyło cudowną całość, którą podziwiała hrabina w źwierciedle naprzeciwko siebie wiszącem. Na kominku ogień zgasł już był dawno, panna służąca odeszła już, późno było; lecz piękna kobieta nie myślała o spoczynku, jaki ją czekał na jedwabnej pościeli. Ona była tak roztargnioną, że sen nie skleił jej powieki dzisiaj, a czarująca jej postać drażniła ją tylko, przywodząc na pamięć niemiłe wspomnienia.

— Jestem bardzo piękna — rzekła do siebie, dlaczego więc on nie mógłby być moim niewolnikiem? Miałam ich tyle, ilem sama chciała — dość było mi spojrzeć, żaden się nieoparł, tu u nóg moich każdy był na moje skinienie... tylko on jeden gardził mną, moją ręką, moją pięknością, moim majątkiem. O! to może przyprowadzić do ostateczności taką kobietę jak ja! I z jakiego to powodu zostałam opuszczoną? Dla biednej dziewczyny, dla nienawistnej mi Hanny. Słuszna też moja dzisiejsza zemsta — tak rzekła hrabina zgrzytając zębami, niech umiera bez pociechy, niech oczy jej nie ujrzą Stefana! I ja również cierpiałam, kiedy widzieć nie mogłam Artura a przecież kochałam go także.

Hrabina zastanowiła się nad tem słowem, ale jakże głęboko myliła się wypowiedziawszy je! Wszakże jej serce nie było nigdy zdolne do kochania, a w niem iskierka uczucia zmarła już oddawna. Czyż kobieta prawdziwie kochająca mścić się umie, choćby i zawiedziona w swojej miłości? O nie! ona nosząc w swem sercu uczucie prawdziwe, tem bardziej skłonną jest do przebaczenia, do litości, do niesienia pomocy, gdzie cierpienie odczuwa, bo wie sama, jak to ciężko boleć! Hrabina nie kochała więc, nią powodowała jedynie namiętność panowania, żądza uzyskania wielbicieli i to był jedyny cel jej życia od początku wiosennych lat zacząwszy.

Hrabina Aniela kochała siebie, swoje stroje i zabawy, umiała zajmować się z czułością swojemi pieskami, całować ulubione kotki i jednać sobie wielbicieli, ale ponadto nic więcej. Nie dziwcie się jej! Hrabina w dziecięcym jeszcze wieku straciła matkę, ojciec zachwycał się pięknością córeczki, czarem czarnych jej ócz, nauczycielki kształciły główkę i nagromadzały w niej wiele, bardzo wiele nawet materjału, tworzyły z Anieli osóbkę zachwycającą wszystkich płytko myślących, ale kto ze znawców zajrzał do głębi jej serca, ten odwrócił się ze wstrętem, bo w niem była próżnia. Serce to zostało oddane samo sobie, nikt nie nauczył go kochać prawdziwie, nikt przed niem nie roztoczył tego raju, który stworzyć sobie może kobieta kochająca. Jako panna myślała tylko o podobaniu się mężczyznom i o tem, że nie powinno jej nic nie stać na przeszkodzie w używaniu świata, a najmilszem jej zajęciem było, jednać sobie wielbicieli, odbijać ich swoim przyjaciółkom a potem tryumfować z ich łatwowierności. Gdy majątek ojcowski począł się wyczerpywać, wtedyto Aniela skrzętnie oglądnęła się za mężem, któryby najwięcej odpowiadał jej wymaganiom, a wybór jej padł na hrabiego Lola. Zostawszy hrabiną, roztoczyła dopiero na dobre władzę swoją nad wszystkimi. Ona to rządziła, ona dawała bale, wieczorki, obiady nie szczędząc kosztów, byle tylko błyszczyć i być podziwianą.

— O! co to za rozkosz — pomyślała sobie, mieć wszystko na swe usługi, błyszczyć i zawracać głowy najpiękniejszym paniczom! Dziś jeden, jutro drugi, pojutrze trzeci, zmieniać ich wszystkich codziennie jak rękawiczki, a gdy poczną robić mi wymówki, wtedy zaproszę wszystkich kibiców razem do siebie i jednakową obdzielę ich przyjaźnią.

Hrabina też wiecznie była otoczona złotą młodzieżą, „kibicami“, jak ich sama nazywała. Zawsze wesoła, ruchliwa, wielomowna, nie była jednak mile widzianą w kołach arystokratycznych kobiet.

— Nie dbam o to — mówiła do jednej z swych przyjaciółek, nie lubią mnie, bo mi zazdroszczą, nie mogę sobie jednak inaczej postąpić. Cóż winno światło, że do niego lgniemy? Zresztą, moja kochana! ko-

bieta młoda, osamotniona, lub znajdująca się zawsze tylko w towarzystwie swego męża, smutno wygląda; mężowi naprzykrza się i bywa w końcu opuszczoną, gdy przeciwnie kiedy mu da powód do zazdrości, wtedyto bywa przezeń kochaną prawdziwie i używa w pełnej swobodzie młodych lat swych.

Takie były zasady życia hrabiny, od których nie odstępowała, choć młode lata minęły i trzydzieście pięć było niedaleko. Ona ciągle bawiła się w rolę motylka, nie zatrzymało jej na drodze powinności nawet dziecię, dziewczynka śliczna jak aniołek, którą oddała na wychowanie do klasztoru. Biedna hrabina! ona sama nie wiedziała, że prawdziwe szczęście, że prawdziwą rozkosz odtrąca od siebie, by się poić trucizną fałszywych rozrywek, które ją już nudzić poczęły. Wielbiciele jej byli to sami młodzi ludzie, chcący zjednać sobie jej protekcję, albo spędzić nudne chwile w towarzystwie dowcipnej hrabiny. To też z całą uległością oddani byli na jej usługi, a ona śmiała się z nich serdecznie. Lecz ta jednostajność zaczęła ją nareszcie nudzić, niespokojny duch hrabiny pragnął wiecznej walki, nie uszło też jej uwagi, że w towarzystwach, w których bywała, młody kapitan Artur nie podzielał ogólnego dla niej zachwytu, lecz owszem starał się unikać jej, a wzrok jego chłodny spoczywał na niej jak gdyby ze wzgardą.

Hrabina postanowiła zmusić go do zmiany postępowania w obec niej; zbliżyła się więc jako pierwsza do niego na nowym balu i poczęła z nim rozmowę, roztaczając równocześnie przed nim cały powab swoich wdzięków. Uśmiechała się smutnie, narzekając na wesołe swoje usposobienie, za które ją ludzie źle sądzą, a przy pożegnaniu z lekkiem uściśnieniem ręki prosiła uprzejmie do swego pałacu. Artur nie odmówił. Powoli stał się przyjacielem hrabiego a jeszcze większym hrabiny, zdawało się nawet, że przekonanie swoje o niej zmienił, a ciągła wymiana listów za pomocą kozaka Stefana świadczyła o tem, że hrabina nie była mu obojętną, a on znaczył więcej u niej niż wszyscy inni. To pochlebiało Arturowi, zaczynał wierzyć w miłość hrabiny, choć w obec niej

miał się bardzo na baczności, by nie uchybić jej zbytnią śmiałością, zresztą jak każdy wojskowy lubiał zostawać w towarzystwie pięknej, wesołej kobiety, która mu się podobać starała. Hrabina zaś myślała:

— Wtedy gdy uklęknie u nóg mych, dość będzie tej zabawy!

W tem umarł hrabia, hrabina została wolną, szata żałobna dodawała jej nowego uroku, mogła rozporządzać swojem sercem i mieniem; czekała na Artura, on pierwszy powinien paść jej do nóg i wyjawić swą miłość. Niestety! kapitan teraz już wcale nie przychodził do pałacu. Ta zmiana zniecierpliwiła hrabinę.

— Muszę go ukarać za tę niewdzięczność — tak pomyślała sobie i pisała doń bilecik zapraszający go grzecznie do siebie. Postanowiła go w owym dniu zmusić do powiedzenia jej, „że ona najpiękniejsza“, a potem odtrącić go ze wzgardą jak zbyteczną zabawkę jakąś.

Hrabina tego wieczora ze swego pomysłu bardzo była zadowolona, zwierciadło kazało jej wierzyć, że zwycięży oziębłość Artura, czarna aksamitna suknia wdzięcznie ujmowała jej kształty, czarne koronki na głowie i u gorsu uzupełniały jej wdowi strój, przy którem oczy świeciły jak dwie gwiazdy a pulchne rączki i twarzyczka krągła mieniły się od białości przy czarnym aksamicie. Rzęsiście oświetlony salon przybrany w świeże kwiaty oczekiwał uroczyście na przybycie nowego gościa, a właścicielka salonu przechadzała się po nim niecierpliwie.

— Przyszedł nareszcie — szepnęła zadowolona, słysząc znajome kroki. Po chwili wszedł Artur: wybiegła naprzeciwko niego z uśmiechem słodkim na ustach, lecz przerażona cofnęła się. Kapitan był blady jak chusta, na jego czole osiadła czarna chmura, a brwi zmarszczone i zimny ukłon, z jakim powitał hrabinę, nie kazały wróżyć nic dobrego.

— Ach! przecież znów raz widzę pana — rzekła pierwsza hrabina z zalotnym uśmiechem, i wyciągała doń obie rączki. On nie widział tego.

— Tak — odrzekł poważnie. Widzisz mnie pani znów dzisiaj, by nie zobaczyć nigdy więcej, przyszedłem cię pożegnać. —

— Pan mnie przerażasz, nie tracę jednak nadziei, że dasz się uprosić i zostaniesz, zostaniesz dla mnie.

— O nie! nigdy już nawet nie powrócę tu, miejsce to dla mnie połączone z przykrem wspomnieniem.

— Wolno wiedzieć dla czego?

— Bo kocham a nie jestem kochany — odparł z westchnieniem Artur.

Hrabina zadrżała, czuła, że nadchodzi chwila upragniona, a w myśli już zwyciężała. On przez nią odjeżdża, lecz czemuż taki ponury? I czemu nie patrzy na nią? Czy nie śmie?

— Kapitanie! — rzekła miękkim głosem, mówmy otwarcie, może jesteś kochany, a nie wiesz o tem?

— Nie śmiem nawet mieć nadziei już na miłość odwzajemnioną — odparł Artur głucho.

— Właśnie twa skromność zostanie wynagrodzona — szepnęła hrabina.

— O nie! to być nie może, ona kocha innego — odparł zamyślony.

— Kto? — zapytała zdziwiona hrabina, o kim pan mówisz?

— O Hannie, córce tutejszego leśniczego — odparł Artur szczerze.

— Pan kochasz Hannę — zawołała hrabina gniewnie wpatrzywszy się w niego piorunowym wzrokiem, a blask tych czarnych ócz zdawał się chcieć przeniknąć na wskroś wszystkie myśli kapitana.

On spojrzał z kolei na nią zdziwiony i wybuchnął ironicznym śmiechem:

— Panie! — zawołała obrażona hrabina, pan mnie lekceważysz przez wspomnienie tej dziewczyny w obec przekonania, jakie miałam o panu, że mnie tylko jedną kochać możesz!...

— Przepraszam — przerwał Artur, panią mogłem tylko bałamucić z czystem sumieniem i z przekonaniem, że na co innego sobie nie zasługiwałaś, dzisiaj zaś ubliżyłbym mojej miłości, gdybym cię nadal zwodził. Pani! prawdziwa miłość zwycięża złe, żąda poprawy z tych uczynków brudnych, któremi się poplamiłaś, żąda szlachetności, tem bardziej jeżeli przedmiotem miłości, jest taki niewinny anioł jak Hanna. Otoż to chciałem ci powiedzieć i wahałem się, kazałaś być

otwartym, uczyniłem też z całą sumiennością woli twojej zadość. Hanna gardziła mną nie tając, że kocha Stefana. Hanna nauczyła mnie myśleć szlachetnie: w niej też widzę wzór, jakiemi powinne być wszystkie kobiety.

— Kapitanie! dość już tego kazania, wysłuchaj teraz mnie! Dziewczę, o którem wspominasz, może zostać dla ciebie li tylko wspomnieniem miłej sielanki...

— Wspomnieniem miłej sielanki! — przerwał oburzony Artur. Kobieto! ty nie umiesz kochać!

— Mylisz się — odrzekła żywo hrabina, a silny rumieniec wystąpił na blade jej lica. Wahała się jeszcze chwilę, czy ma wypowiedzieć co czuje, lecz myśl że zostanie wzgardzoną, odepchniętą przez Artura a dziewczę biedne zwycięży, myśl ta pobudziła ją do walki celem zdobycia jakimkolwiekbądź sposobem pięknego kapitana.

— Mówisz że nie umiem kochać — rzekła po chwili namysłu, o pewnie tysiąc razy namiętniej od Hanny umiem ja kochać, dla miłości umiem nawet ponieść ofiary, lecz milczeć nie umiem, i to co czuję w sercu, to i na ustach.

— To bardzo chwalebnie — odparł zimno kapitan.

— Pan mnie nie chcesz rozumieć — rzekła niecierpliwie, pan zmuszasz mnie do tego, że muszę nareszcie powiedzieć jasno i wyraźnie, że pragnę zastąpić Hannę w twem sercu.

Kapitan spojrzał na nią z politowaniem.

— Dziwne masz pani pojęcie! Ty a Hanna! co za porównanie niestosowne!

Długo żywiona obraza w sercu hrabiny wybuchła teraz gwałtownie.

— Nie myślę też wcale, równać się z nią! Jestem przecież o wiele piękniejsza i majętniejsza, wiem także kim jestem. Pan umyślnie mnie obrażasz. Chcąc ją zastąpić w sercu pana chciałam ratować ciebie, wyrzucając z pysznego kląbu dziką roślinę, by ją zastąpić kwiatem szlachetnym.

Hrabina podczas tej rozmowy była bardzo ożywiona, jej usteczka koralowe poruszające się szybko, okazywały szereg białych jak perełki ząbków, pierś falowała

wzburzona, a główka podniesiona dumnie czyniła ją wspaniale piękną. Kapitan patrzał na nią zamyślony.

— Tak — rzekł sam do siebie, Hanna o wiele piękniejsza.

Hrabina nie słyszała jego słów.

— Czy będzie zgoda między nami? — zapytała dorywczo.

— Sądzę że czas mnie już, panią pożegnać, a więc i spokój nastanie.

To mówiąc zaciągnął rękawiczki na ręce.

— Odjeżdżasz zatem? Namyśl się jeszcze, Arturze! ja będę twoją!

— To niepodobna! w mem sercu zostanie dzika roślina — odparł tenże stanowczo.

Uczucie zazdrości opanowało silnie hrabinę, odpowiedź ta była dla niej piorunującym ciosem.

— Cóż mi nieszczęśliwej zostanie w tem życiu! — zawołała rzucając się na kanapę i usiłując udaną rozpaczą pokonać kapitana. On się zatrzymał, znał bowiem kobietę tę na wylot i wiedział że to tylko komedja.

Przystąpił do kanapki.

— Pytasz co ci jeszcze zostanie w twojem życiu? Oto poprawa — rzekł z naciskiem. Ja nie mogę wierzyć w twoją miłość i nikt nie uwierzy, bo nie masz serca. Kobieta bez serca nie może kochać, tylko uwodzić, z nią także w podobny sposób postępują, bawią się przy niej, aby czas zabić.

— Pan mnie drażnisz! Jak możesz twierdzić, że nie mam serca? — przerwała żywo.

On się uśmiechnął złośliwie.

— Twoje serce, pani, przywiązane jest tylko do strojów i zabaw, do próżności i lekkomyślności, dla tego nie masz serca dla ludzi, nie możesz ich obdarzać miłością, bo cała jesteś oddana swoim kotkom i pieskom.

— Kapitanie! znoszę wszystkie twoje niegrzeczności, bo cię kocham. Nie dająż dowodu, że miłość w mem sercu istnieje?

— Łaskawa fantazja — odparł kapitan ze wzgardą, kobieta która własnego dziecka nie kocha, oddając je na cudzą opiekę i zmiłowanie Boskie, kobieta taka

nigdy nie może wzbudzić wiary, że potrafi kochać, nigdy też przez nikogo nie będzie cenioną i wielbioną, a kochaną to ani myśleć!

Hrabina roześmiała się serdecznie.

— O! to wcale do prawdy niepodobne! Nie potrafiłabym nawet zliczyć, ile się we mnie kochało, ile szalało za mną, dziś nawet mogę ci ich wskazać w liczbie kilkunastu.

Artur zmarszczył brwi surowo.

— Mylne masz pani pojęcie, wszyscy ci tylko bawili się z panią i bawią dziś jeszcze, a jeśli jaki młodzik zaślepił się w twojej piękności, to i cóż dziwnego, że dziecku podoba się piękna lalka, przyjdzie czas, że porzuci ją ze wstrętem. Staraj się raczej to złe naprawić, któreś wyrządziła, porzuć kokieterję, ona do niczego dobrego nie prowadzi i wiedz o tem, hrabino, że my mężczyźni chętnie się bawimy z kokietkami, lecz w głębi duszy gardzimy niemi. Staraj się, powtarzam raz jeszcze, zmienić sposób swego postępowania. Byłaś żoną, matką, obywatelką, kapłanką ogniska domowego, nie umiałaś jednak godnie wypełniać obowiązków swoich. Czas to odpokutować, niech dzika roślina, jak pani nazwałaś Hannę, będzie dla ciebie wzorem, naśladuj ją w cnotach, a może kiedyś uczujesz błogość w twej duszy, miłość w sercu, powagę w myślach, spokój w sumieniu, czego ci hrabino z całego serca życzę. Żegnam cię, pani...

Odszedł.

Hrabina zerwała się blada jak chusta i poczęła chodzić po salonie szybkiemi krokami.

O! zostać tak wzgardzoną, tak obrażoną, to okropnie! i to przez czyją winę? Przez dziewczę nic nie znaczące. Z jej to powodu on śmiał dawać hrabinie nauki, stawiać jej Hannę za wzór. W sercu hrabiny zawrzała silna nienawiść ku Hannie: postanowiła się mścić na niej i zamiar swój przeprowadziła do skutku. Pozwoliła Stefanowi żenić się z Hanną, lecz równocześnie wydaliła jej ojca z dotychczasowej posady, umieszczając go w oddaleniu sześciumilowem od swego pałacu, a Stefanowi nie pozwoliła zamieszkać z żoną razem w pałacu. Biedny Stefan w chwili rozstania

z ukochaną żoną czuł cały ciężar przygniatający go wskutek niewolniczej swej służby.

Hanna z płaczem odjechała, Stefan pocieszał ją nadzieją, że hrabina może jeszcze ubłagać się da, a oni wspólnie mieszkać będą mogli w pałacu. On byłby z pewnością nie puścił Hanny z rodzicami, lecz z nią pojechałby na koniec świata, ale wstrzymała go przysięga, obowiązująca go do posłuszeństwa dla hrabiny. Jakaż to była przysięga? Cofnijmy się o kilkanaście lat wstecz w naszej powieści.

Straszna to była chwila dla młodego Stefana, kiedy ujrzał się w pustej zawalonej chatce z nieżyjącymi rodzicami. Wówczas był on jeszcze młodym chłopakiem nieposiadającym nic prócz piękności i miernego wykształcenia, którego udzieliła mu była matka, niegdyś guwernantka u możnych panów, a która poszedłszy z miłości za ekonoma, kiedy Bóg ją obdarzył synem, wszelką swą wiedzę przelewała na roztropnego chłopaka. Ciężka choroba i oddalenie z posady zrujnowało rodziców Stefana całkowicie, tak że z czasem w największą nędzę popadli pomimo troskliwości jedynaka. Jednej nocy oboje małżonkowie oddali Bogu ducha. Rozpacz Stefanka w owej nocy była okropna, zwiększyła się zaś rankiem, kiedy widział, że nie ma za co pochować rodziców, a ani stolarz, ani grabarz, a nawet sam ksiądz nie chcieli nic wiedzieć o zapłaceniu wtedy dopiero, aż Stefan na trumnę zapracuje.

Stefan był dumny, nie prosił ich więcej, westchnął tylko gorzko i poszedł do pałacu, prosić hrabiego o pomoc. Jakiegoż doznał jednak rozczarowania, kiedy służący mu oświadczył, że hrabia wróci aż za tydzień! Stefan chciał już wracać do domu, kiedy wybiegła naprzeciwko niego panna służąca i oznajmiła mu, że hrabina go do siebie woła. Stefana ten krok Jasnej Pani bardzo zdziwił, gdyż dotychczas biedni przystępu do niej nie mieli, z nadzieją więc w sercu, że może uzyska od hrabiny jakąś pomoc w smutnem swojem położeniu, udał się za pokojową do salonu, który swoim przepychem omal nie oczarował chłopca, piękna zaś i uśmiechnięta twarz hrabiny wydała się mu jakby twarz świętej na obrazie. Powiódł okiem do koła po tych bogactwach, a przed oczami stanęła mu izde-

oka pusta i rodzice biedni, których pochować nie było za co, przypomniał sobie po co tu przyszedł i padł na kolana przed hrabiną.

— Czegoż właściwie żądasz chłopcze? — spytała chłodno hrabina.

— O Jasna Pani! bądź tak dobra i wspomóż mnie, rodzice razem umarli, nie mam ich czem pochować. Gdyby tak łaska Jasnej Pani ofiarować sto złotych na pogrzeb i postawienie pomnika.

— Więc po to przyszedłeś do pałacu, mój kochany? Wstydź się, jesteś taki młody i silny, a wyciągasz już rękę po jałmużnę — odparła poważnie hrabina mierząc chłopaka od stóp do głowy. Wy wszyscy próżniacy, sądzicie że dziedzice w pałacu na to są stworzeni, by wam daremnie pieniądze dawali.

— O! ja nie chcę daremnie! — zawołał żywo chłopak, ja Jasnej Pani odsłużę te pieniądze.

— Któż zaręczy mi za ciebie?

— Moje sumienie, moja uczciwość — odparł Stefan.

— Pierwszy raz cię widzę: nie mogę więc temu wierzyć — rzekła zimno hrabina i niby od niechcenia wzięła woreczek z pieniądzmi do białych rączek. Chyba — rzekła po chwili namysłu, chyba że mi przysięgniesz iż od jutra zostaniesz u mnie w obowiązku i będziesz mi wiernie służył, inaczej nic dać ci nie mogę.

Stefan popatrzył na hrabinę, twarz jej zdradzała silne postanowienie wykonania przedsięwziętego zamiaru, rzucił wzrokiem na woreczek, z którego niedbale wyjmowała hrabina pieniądze, oczy Stefana zaszły łzami, miłość ku rodzicom zwyciężyła, syn sprzedawał swoją wolność, młodość, piękność i szczęście młodej a bogatej kobiecie, aby uzyskać pieniądze, za któreby mógł oddać ostatnią usługę rodzicom.

— Jasna Hrabino! jestem gotów przysięgnąć — rzekł głośno.

— A to mi się podoba — wycedziła hrabina powoli a kładłszy drobną rączką ostatni pieniądz dla Stefana, zdjęła ze szafki krzyż i postawiła na stole obok pieniędzy.

— Lubię we wszystkiem działać według formalności — rzekła z uśmiechem, zwracając się do Stefana, a więc chłopcze! przysięgnij na Zbawiciela!

Stefan wzniósł rękę w górę i głosem pewnym powtarzał słowa przysięgi, które mu dyktowała hrabina. Przysięga ta obowiązywała go na tak długo, jak długo będzie potrzebnym do wszelkiego rodzaju usług, jej tylko miał słuchać, jej rozkazy wypełniać. Przysięga się skończyła, chłopak dostał sto złotych, za które pochował rodziców. Hrabina zyskała wiernego sługę, którym rządzić mogła według upodobania, miała posłańca do wymiany miłośnych listów, o które się obawiała, by nie wyszły na jaw przed jej mężem, słowem Stefan przydatny był do wszelkich uczynków, które wymagały zachowania tajemnicy, a teraz stał się nawet mimowoli wybornem narzędziem pomsty nad Hanną.

Hrabina myślą przebiegła wszystkie te zdarzenia, a uśmiech szatański przemknął się po jej twarzy.

— Gdy Hanna umrze, Artur pewnie wówczas do niej wróci, a wtedy i jego dosięgnie moja zemsta — tak myślała hrabina zadowolona ze swego pomysłu niepuszczenia Stefana do żony. W tem drzwi skrzypnęły cicho. Hrabina zadrżała. Któż o tej porze śmie wchodzić bez jej zawołania? Zatrwożona spojrzała ku drzwiom, tam stała postać zgięta kozaka Seńka.

— Po co przyszedłeś? — zapytała ostro hrabina.

Seńko pokłonił się nisko, a oczy jego błyszczały chytrze.

— Jako wierny sługa przyszedłem, Jasnej Pani odkryć tajemnicę.

— Jaką? mów prędzej!

— Jaką? — powtórzył kozak, o bardzo straszną! Twoi kozacy umówili się do zdrady!

— Do zdrady? przeciw komu?

— Zdradzają ciebie Pani! przez nieusłuchanie twoich rozkazów. Ja przyszedłem powiedzieć ci prawdę, ja jedynie zostałem wiernym Jasnej Pani, i umywam ręce od wszystkiego co się stało.

— Czyżby Stefan chciał opuścić pałac? mów wyraźnie.

— O Jasna Pani! nie tak łatwo mówić wyraźnie! Gdy kozacy się dowiedzą, że powiedziałem prawdę,

to mnie zabiją, a po tem za moją wierność nawet uczciwego pogrzebu mieć nie będę, bo majątku nie mam ani centa.

Hrabina zrozumiała, do czego dążył Seńko, spojrzała na niego ze wzgardą.

— Wynagrodzę ci sowicie, mów co się stało, rozkazuję ci!

Seńko wiedział, że po uczynionej obietnicy wynagrodzenia nie ma co zwlekać

— Stefanowi otworzył Hrehory bramę pałacu, dał konia i Stefan uciekł — rzekł pospiesznie Seńko.

— Stefan uciekł! — krzyknęła hrabina aż szyby w oknach zadzwoniły. O łotry! ja was nauczę, jak wypełniać macie moje rozkazy.

Lotem strzały przebiegła salon, zarzuciła futro na siebie i chustkę na głowę, Seńkowi zaś kazała zaświecić latarnię i szybkim krokiem zdążyła ku oficynom. Z trzaskiem otworzyła drzwi prowadzące do izby kozaków, którzy zobaczywszy hrabinę, od razu się wytrzeźwili. Hrabina była blada jak ściana, a oczy jej świeciły złowrogo. Chustka spadła z głowy, a włosy rozwiane wiatrem nadawały całej postaci wyraz eumenidy. Groźno spojrzała dokoła i z drżącym od gniewu głosem zawołała:

— Konie siodłać i natychmiast w pogoń za Stefanem!

Kozacy stali jak z kamienia wykuci, żaden z nich nie myślał usłuchać rozkazu hrabiny. Hrehory wysunął się z kąta izby i postać swą wyprostował dumnie.

— Jasna Pani! — rzekł powoli i dobitnie, żaden z nas, choćbyśmy mieli paść zaraz z waszej ręki trupem. żaden z nas, powtarzam, nie będzie ścigał niewinnego Stefana!

— Hrehory ma słuszność, twój rozkaz, Jasna Pani! nie zostanie wykonany — zawołało naraz kilka głosów.

— Ja wam rozkazuję, słyszycie? w tej chwili w drogę, marsz! albo zostaniecie zdrajcami i buntownikami przeciw swojej pani. Ja was ukarać każę...

— Choćby i zabić Jasna Pani kazała, to się nie ruszymy w drogę — była odpowiedź.

— O! nauczę ja was, podli służalce! — zawołała trzęsąc się ze złości hrabina i zatrzasnąwszy gwałtownie

drzwi, wracała do pałacu, lecz zaraz u bramy zatrzymała ją postać skulonego Seńka, który latarkę trzymał w dłoni.

— Czekam rozkazu Jasnej Pani Hrabiny — rzekł pokornie.

— Ach! zapomniałam, żeś ty jeden jeszcze wiernym pozostał swojej pani — rzekła hrabina głosem przytłumionym. Pojedziesz więc natychmiast co koń wyskoczy do miasta i dasz znać komendantowi, że moi kozacy się zbuntowali, a jeden okradłszy mnie uciekł.

— Ależ Stefan nic z sobą nie wziął prócz konia, widziałem dobrze — zauważał Seńko, któremu sumienie poczęło wyrzucać złamanie przysięgi.

— Tego ja nie wiem. Był moim zaufanym sługą, miał przystęp do wszystkich pokoi, mógł więc wziąć co mu się podobało — odparła ponuro hrabina. Pojedziesz zatem i opowiesz wszystko komendantowi prosząc go w mojem imieniu o kilku żołnierzy, z którymi ty Seńko! Stefana będziesz ścigał. Przyaresztujcie go jako złodzieja i zamknijcie do kozy. Pamiętaj tylko spieszyć się, aby Stefana nie widziała Hanna. Wynagrodzę ci za to dobrze — dodała w końcu niby od niechcenia. Przy ostatnich tych słowach oczy kozaka zaświeciły chytrze, a strasznie wyglądała jego twarz odrażająca, kiedy z uśmiechem złośliwym pospieszył wykonać rozkazy hrabiny. —

## III.

## ŚMIERĆ HANNY.

Przez ciemny las obfitujący w krzaki i zarośla, przedzierał się jeździec na białym koniu, otulony ciemnym płaszczem. Straszno musiało być w jego duszy i czarne obrazy stawały mu przed oczyma, bo co kilka kroków zalękniony wstrzymywał konia i wzywał Boga na pomoc.

— Boże! Boże! ratuj mnie i daj szczęśliwie dojechać do domu — i znów popędził konia, lecz koń padał potknięty o jaki pień lub krzak i nie mógł biedz dość szybko naprzód. Już od godziny Stefan błąkał

się po lesie i nie mógł znaleźć drogi. Śnieg pod nogami, śnieg dokoła, wiatr wieje w oczy, las ciemny, niebo chmurne a wyjścia znaleźć trudno.

— Kara Boża czy co? — zawołał w rozpaczy Stefan, ratuj mnie, Matko Boska!

Głos jego rozszedł się po lesie i zapewne wznieść musiał ku niebiosom, gdyż Bóg się ulitował. Stefan uczuł, że koń się już nie potyka, lecz zarżawszy radośnie, rusza cwałem drogą, która ukazała się oczom ucieszonego kozaka.

— Dzięki Ci, Boże — szepnął Stefan i nadzieja oglądania Hanny wstąpiła w jego skołatane serce. Już z dala widać światełko! to wioska do której zdąża Stefan, popędzając konia, a koń leci i leci, aż iskry sypią się z pod kopyt, lecz dla Stefana to jeszcze za powoli. Ach! on chciałby już być przy niej, czyż nie dosyć czekała?

Stefan pędząc jak jakiś duch nocny, nie uważał, że wiatr zerwał mu czapkę z głowy, dopiero gdy uczuł straszne zimno, wtedy oglądał się w około i spostrzegł, że o sto kroków za sobą zostawił czapkę na śniegu, lecz się nie wrócił po nią, tylko szepnął smutnie:

— Zły znak! musi być Hanna bardzo chora! O prędzej! prędzej! leć biały koniu, spiesz się, bo będzie zapóźno!

Koń jakby rozumiał swego pana, spieszył tak że żadna siła ziemska nie mogłaby go powstrzymać. Nawet stado czarnych kruków przelatujących tuż obok jeźdźca z krzykiem złowrogim, nie przestraszyło dzielnego konia. Stefan westchnął głęboko, a gdy się obejrzał i spostrzegł w dali za sobą coś na kształt czarnej chmury, wtedy wstrząsł się z przerażenia.

— O Jezu! czyż mnie słuch myli? wszak to tentent koni!

Są chwile w ludzkiem życiu, kiedy pod wpływem proroczego natchnienia odgadujemy własne nieszczęście, choć na pozór nic nie zdaje się zagrażać naszemu spokojowi. Z błyskawiczną szybkością przebiegła przez duszę Stefana myśl, że to pogoń, wysłana za nim.

Zgrzytnął zębami.

— Czyżby mię zdradzić mieli? O leć! leć! koniu mój biały, bo serce mi pęka!

Tentent koni za Stefanem słychać coraz wyraźniej, światło w wiosce widać coraz bliżej. Czemuż Stefanowi serce nie drży radośnie? Czemuż myśl ponura osiadła na jego czole? Jakiż ciężar przygniata jego duszę, kiedy już tak bliskim jest swojej ukochanej?

W tem koń zarżał smutnie, obrócił głowę ku panu swemu, jak gdyby mu ostatnie chciał zasyłać pożegnanie, zrobił leniwo kilka kroków naprzód i padł na ziemię z ciężkim łoskotem.

Stefan nie zatrzymał się przy koniu wcale, tylko ustami dotknął jego grzywy i rzekł:

— Bądź zdrów, wierny przyjacielu! tyś mnie towarzyszył w nieszczęściu, a ja muszę cię opuścić nie ratując nawet.

To było ostatnie pożegnanie.

Oglądał się za sobą, lecz nic nie widać, ani nie słychać było. Strach ma wielkie oczy: śmiał się Stefan z dziecinnej swojej trwogi i ruszył szybko dalej, a za chwil kilka stanął już przed oknami oświeconemi swojej Hanny i zapukał z lekka do drzwi. Serce w piersiach ściskało mu się mimowoli.

— Może już umarła! — pomyślał i zakołatał silniej do drzwi, gdyż zdało mu się, iż słyszy kroki drogą prowadzącą przez wieś.

Drzwi się otworzyły, a w nich ukazała się postać starej leśniczyny w czarnym ubiorze, z twarzą poraną zmarszczkami, z oczami czerwonemi od płaczu ciągłego.

— Stefanie! — zawołała radośnie, ściskając go, podczas gdy tenże z uczuciem całował jej ręce.

— Matce Bożej dzięki, żeś przyjechał! Ona wciąż woła cię, doktorzy kazali byś przybył, bo twój widok jedynie zdoła ją jeszcze ocalić. Zaczekaj — dodała, pójdę ją przygotować, gdyż nagłe zjawienie się twoje zaszkodzić jej może — i pośpieszyła naprzód do oświetlonego pokoiku.

Stefan poszedł za nią z bijącem sercem.

— Więc żyje! — szepnął uszczęśliwiony. O Boże! ty widzisz, jak ją kocham.

I przyłożył jedną rękę do serca, a drugą otarł łzy cisnące mu się do ócz na widok Hanny. W pokoju jasno oświeconym, na łóżku zasłanem białą jak śnieg pościelą, leżała jego żona, oczy jej błyszczały radośnie, twarz paliła gorączka a wychudłe ręce wyciągnąwszy ku drzwiom, wołała słabym głosem:

— Stefanie! Stefku! przybywaj jak najprędzej!

Obok łóżka stała jej matka, trzymająca na ręku chłopaczka w biały muślin obwijanego, żywy obraz ojca Stefana. Wszystko to ujrzał Stefan przez jedną minutę niby jakąś fatę-morganę w śnie czarodziejskim. —

— Hanno droga! — woła uniesiony najwyższą radością i spieszy w objęcia czekającej go żony. Lecz w tem jakaś obca ręka zatrzymuje go silnie cofając ku drzwiom do sieni.

Stefan obejrzał się i zobaczył Seńka z kilkoma żołnierzami. Jak dziki zwierz rzucił się na nich, chcąc się uwolnić z ich rąk. Hanna, widziana przed chwilą, dodawała mu siły Herkulesa, lecz sześciu przeciw jednemu było za wiele. Stefan bronił się dzielnie, w końcu jednak musiał się poddać, w oczach zaćmiło mu się, twarz zbladła jak u trupa i ów kozak, nieupadający nigdy na siłach, upadł zemdlony z imieniem żony na ustach.

. . . . . . . . . . . . . . . . . . . .

Kiedy dnieć zaczęło, cicho już było w domku leśniczyny, stara matka przy pomocy służącej trzeźwiła już blisko przez dwie godziny omdlałą Hannę, napróżno przywołując ją do życia głosem rozpaczy:

— Doniu! moja doniu! Otwórz oczy! Żyj jeszcze dla szczęścia swego syna, popatrz choć raz na niego, Haniu jedyna! Jam stara, mnie prędzej umierać niż tobie.

I znowu skrapia twarz córki trzeźwiącemi kroplami, lecz żadnego znaku życia nie widać w młodej kobiecie: jak z jękiem padła na poduszkę ujrzawszy walkę Stefana z żołnierzami, tak martwa, blada, z ustami sinemi leży do tej chwili. Nieszczęśliwa matka pada na kolana przed obrazem Boga-Rodzicy, i głosem wzruszonym, przerywanym silnem łkaniem gorące modły zasyła do niej.

Długo, długo trwała ta modlitwa, już światło dzienne na piękne rozgościło się w pokoiku, a lampka świecąca przy łóżku chorej smutne robi wrażenie, jak światło przy umarłej na katafalku. Wstrzęsła się matka na ten widok, powstała od modlitwy, a zgasiwszy lampę, powiodła z niemą boleścią po twarzy ukochanej jedynaczki.

Po strasznej burzy, jaka w nocy szalała, dzień obiecywał być pięknym, z poza chmur już widać firmament niebieski, a słońce ciekawie wydobywa się z obsłonek, aż nareszcie zajaśniało w całej okazałości, rzucając złote promienie w okna chatki i topiąc niemi zmarznięty na szybach śnieg, który połyskiwał się na kształt drobnych brylancików.

Piękny, pogodny dzień i słońce wesoło świecące zwiększają zazwyczaj u osób nieszczęśliwych smutek, niecąc boleść w duszy a rozpacz w sercu. Biedna leśniczyna myślała, że ostatnia dla niej wybiła godzina, taka nią owładnęła niemoc i zgryzota; lecz jakby pod zaklęciem czarodziejskiem, tak pod wpływem promieni słonecznych zrywa się Hanna ze swego posłania, siada na łóżku a zasłaniając białą ręką oczy, patrzy dokoła z uśmiechem na ustach, z ogniem miłości w oku:

— Stefanie! mój sokole! — szepce namiętnie i tkliwie, ty przybyłeś, o jaki ty dobry! Wiedziałam. że prośbę moją wysłuchasz, kochasz mnie i wiesz jak gorzko Hannie godziny bez ciebie upływają! Ja ciebie kocham, mój luby! i tęsknię za twoim widokiem.

Potarła ręką po czole i wzrok jej padł na płaczącą matkę.

— O matko! nie płacz! — prosiła czule, odwilż moje czoło zimną wodą, bo strasznie pała.

I znów padła na poduszkę i przymknęła oczy.

— To był sen — szepce drżącemi ustami, lecz jakiż cudowny sen! Słuchaj matko! Śniło mi się, że Stefan przyjechał do mnie, spieszył się bardzo, widziałam to przez okno, i był już tutaj, w tamtym pokoju. Mamo! on płakał, kiedy mnie zobaczył i wyciągnął ręce ku mnie . . . już, już chciałam go powitać, w tem powstał hałas, krzyk, zamieszanie i porwali go jacyś żołnierze, a jam została znów sama i zbudziłam się.

Odgarnęła z czoła pyszne, złote włosy i zadumała się.

— O Boże! — westchnęła, jaka to szkoda, że nie można przez całe wieki tak śnić, nie można widzieć tych cudownych ócz, co i bez słów tak czule przemawiają do duszy. Ach! czemuż piękne te chwile nigdy już wrócić nie mogą? — pytała żałośnie.

— Wrócą one! wrócą! córko jedyna — pociesza ją matka.

Hanna wstrzęsła główką przecząco.

— Nie matko! to niepodobna! Ja czuję, że mało już życia w mojej piersi, słyszę jak serce bije pomału, za chwilkę przestanie już bić na zawsze . . . Patrz, matko! jak pięknie świeci słońce! Dobre słoneczko! raz jeszcze niech cię oglądnę przed zgonem, lecz ty, słońce boskie! ty świecisz dla wszystkich jednakowo, a mego słońca na ziemi, mego Stefana, który tylko dla mnie żył, jego nie widzę i nie mogę go już pożegnać, choć śmierć tuż blisko...Boże! mój, Boże! czemu mi głosu brak? czemu nie mogę go wołać takim głosem, żeby przez góry i lasy mnie słyszał! Jakby mi słodko było umierać, gdyby jego ręka zamknęła moje powieki, jego usta na moich złożyły pocałunek ostatni, a oczy do ostatniego tchnienia z miłością spoczęły na mnie! Może on chory, a trudno mu przybyć, lecz ja dłużej czekać nie mogę. Rok cały tęskniłam tajemnie za nim i to skróciło życie moje . . . Matko! tobie polecam mego syna . . .

Zalała się łzami i głowę schyliła ku kolebce dziecięcia.

— Bądź zdrów, maleńki! kochaj swego ojca tak jak ja . . .

I wyciągnęła rękę, aby mu pobłogosławić, lecz ręka upadła bezwładnie, dreszcz przeszedł po jej ciele, a oczy zaszły mgłą.

— Stefanie! Orle mój! Stefanie najmilszy! . . . Matko jedyna! . . . Bóg niech cię pociesza . . .

Dusza jej czysta uleciała ku niebu, jej tęsknota skończona, lecz któż zdoła opisać rozpacz starej matki i cierpienia męża kochającego, zamkniętego w zimnem, ciemnem więzieniu?

## IV.

## W TRZYDZIEŚCIE LAT PÓŹNIEJ.

Samotną ulicą Paryża w piękny poranek majowy szedł pewien młody mężczyzna powolnym krokiem, rysy jego twarzy aczkolwiek piękne, nie miały jednak wyrazu miłego, jakaś myśl ponura osiadła na wyniosłem czole, uśmiech pełen ironii szpecił usta koralowe, a oczy niebieskie zimno i bystro patrzały przed siebie, niezatrzymując się ani na pięknych wiosennych kwiatach, ani na ładnych Paryżankach. Nic nie wzrusza tej lodowatej twarzy, nic nie obchodzi, ani nawet powrót wiosny, która wszystkie serca przejmuje radością i uspokaja łagodnie umysły.

Wiosna! cóż to za urocze słowo, ileż to rozkoszy, ile przyjemności w tej porze! Ulice Paryża roją się tłumem różnorodnych postaci używających świeżego powietrza. Młody człowiek obojętnie mijał grupy pięknych pań, nie zwracał uwagi na publiczność, a kiedy się znalazł w odludnej ulicy, wtedy lżej odetchnął. W tej chwili nadeszło kilku eleganckich paniczów a przechodząc tuż obok niego pozdrowiło go uprzejmie.

— Któż to taki, ten dumny młody oficer? czy książę jaki? — spytał jeden z nich swego kolegi.

— Nie! zwyczajny tylko porucznik, pan Rafał N., nasz sąsiad i znajomy.

— Coś bardzo zamyślony? skłonił się jak gdyby przez sen.

— On zawsze taki, choć widuję go już kilka lat, musi mieć jakąś tajemnicę na dnie serca swego, gdyż zawsze jednakowo smutny.

— Pewnie musiała mu bogata Paryżanka głowę zawrócić.

— Mnie się zdaje że się mylisz, gdyż o kobietach zawsze wyraża się obojętnie a nawet unika ich.

— Czy on Polak? — pytał dalej panicz ciekawy swego kolegi, lecz zamiast odpowiedzi usłyszał wykrzyknik z ust jego:

— Patrz, jaka piękna! Ach to okropne!

Przez ulicę w ładnym powoziku unosiła szybkim pędem para siwych koni spłoszonych młodziutką i

piękną jak Wenera dziewicę, która rzuciwszy się na poduszkę w powozie — nawpół omdlała leżała nieruchoma, trzymając z ostatniem wysileniem w drobnych rączkach lejce.

Młodzi kawalerowie podziwiali jej piękność, ubolewali nad niebezpieczeństwem jakie jej groziło, dziwili się czemu sama jedzie, lecz żaden z nich nie pośpieszył na ratunek.

Natomiast porucznik Rafał zobaczywszy konie spłoszone, nie bacząc nawet, kto w powozie siedzi, rzucił się szybko naprzeciw; konie przelęknione tem niespodziewanem zajściem, stanęły na miejscu, a wtedy to usłyszał Rafał głos przyjemny i miły:

— Proszę wziąć za lejce.

Rafał uczyniwszy zadość temu życzeniu, musiał chcąc niechcąc zauważać, że siedząca w powozie osoba jest młodą kobietą, co więcej! musiał się nachylić ku niej, by odebrać z malutkich jej rączek lejce. Ona podniosła główkę, a promień słońca padł na bladą jej twarzyczkę. O! jakże była w tej chwili piękna i czarująca! Rafał pomimo wrogiego usposobienia dla kobiet, musiał przyznać, że w młodej dziewicy było w tej chwili coś zachwycającego!

Zły na ten wypadek, który go zbliżył z piękną panią, zmarszczywszy brwi starał się uspokoić koni trzymając je z całą siłą, na którą się mężczyzna zdobyć może, za lejce, i nie oglądając się wcale na osobę siedzącą w powozie. Ta zaś ochłonąwszy z pierwszego przestrachu poczęła z zajęciem przypatrywać się swemu wybawcy, a po chwili widząc że konie się uspokoiły, i że można będzie jechać dalej, rzekła z grzecznością:

— Jestem zmuszona korzystać z pańskiej szlachetności i prosić go, by mnie odwiózł do domu, woźnicę mego posłałam, aby odebrać pewien pakunek z magazynu, lokaja nie chciałam brać ze sobą — dodała tłumacząc się zmieszana. Zdaje się, że nie umiałam trzymać koni sama dość mocno, bo gdy nadszedł pogrzeb, spłoszyły się i leciały jak szalone aż tutaj.... Ach! tak się przelękłam!

Rafał z jedną nogą na stopniu, słuchał ją z roztargnieniem, lecz twarz jego nie zdradziła tego, na uściech

zaigrał ten sam uśmiech ironiczny co zawsze, kiedy zapytał:

— Dokąd pani każe się odwieźć?

— Jeżeli pan taki grzeczny, to proszę na ulicę St. Eustache.

Rafał skoczył zwinnie na kozioł powozu i z gracją powożąc ładną parą bystrych koni, zwracał na siebie powszechną uwagę. Znajomi jego patrzali z osłupiałym wzrokiem na śmiałego porucznika, powożącego piękną młodą panię.

— Ósmy cud świata! — mówili z złośliwym uśmiechem, ruszając ramionami.

— Proszę zatrzymać koni, tutaj kres naszej przejażdżki — odezwała się dama, kiedy powóz przejeżdżał koło ładnej kamienicy na ulicy St. Eustache.

Rafał machinalnie spełnił jej życzenie i sam nie wiedząc jakim sposobem znalazł się koło powozu, podając rękę przy wysiadaniu pięknej nieznajomej. Ona mocno wzruszona przebytem niebezpieczeństwem, była tak osłabiona, że z wdzięcznością przyjęła jego pomoc przy wysiadaniu. Wsparta na jego ramieniu prosiła słabym głosem, by ją zechciał odprowadzić aż na pierwsze piętro.

— Jestem tak niedołężną, że nie potrafię sama w tej chwili wyjść na górę — dodała z uśmiechem.

Rafał przyjął i te tortury z męztwem.

— Trzeba wytrwać aż do końca — pomyślał sobie, unikając o ile można rozmowy ze swoją towarzyszką. Z prawdziwie rycerską delikatnością prowadził ją po schodach, a uważając by się nie bardzo zmęczyła, szedł powoli. Nareszcie znaleźli się w pięknym, dużym kurytarzu wyścielonym dywanami, a z którego kilka bogato-rzeźbionych drzwi prowadziły do mieszkania pięknej nieznajomej. Rafał uczyniwszy ostatniemu obowiązkowi grzeczności względem kobiety młodej a tak uroczej zadość, lżej odetchnął. Skłoniwszy się zimno chciał już odejść, gdy w tem drzwi, przed któremi zatrzymała się nieznajoma, roztworzyły się raptem, a w nich ukazał się siedmdziesięcioletni staruszek biały jak gołąb.

— Na rany Chrystusa! — zawołał, a tobie, Łucjo, co się stało?

Rafał zatrzymał się przez chwilkę, a widząc że młoda dama się chwieje i nie może słowa wymówić, sam zdał sprawę z przypadku, który się Łucji wydarzył.

— Ta pani jechała sama i konie się spłoszyły...
Lecz staruszek nie dał mu dokończyć.

— Konie się spłoszyły! — krzyknął, podając rękę Łucji, a wchodząc z nią do salonu, wołał na Rafała:

— A! Panie łaskawy! chodźno tutaj! proszę cię, dokończ opowiadania o tem nieszczęściu, bo cały truchleję ze strachu...

To powiedziawszy, posadził Łucję na wygodnej kanapce, pytając z czułością, czy nie czuje się chorą.

— O nie! wuju! to tylko chwilowe osłabienie. Gdyby nie ten pan, kto wie na czemby się dzisiejsza przygoda skończyła; lecz on mnie uratował — i głosem cichym opowiedziała całe zdarzenie.

— O zacny nasz wybawco! jakże my się tobie odwdzięczymy! — rzekł rozczulony staruszek.

— Uczyniłem tylko moją powinność! — odparł Rafał niechętny, lecz na końcu musiał przecież wejść do salonu, gdzie wypadało zrobić bliższą znajomość, co więcej znajdować się w towarzystwie kobiety młodej znów chwil kilka, a podziękowanie staruszka wprowadziło go w prawdziwy kłopot.

— Wuju! ja nawet wcale jeszcze nie podziękowałam panu, że mnie wybawił z tak przykrego położenia, bo sądzę że uczynił to ze szlachetnego popędu swego serca, niosąc mi pomoc w nieszczęściu. Zadowolnienie jakie czuje po spełnieniu dobrego uczynku, jest dla niego zapewne cenniejszą nagrodą, niż nasze podziękowania.

Rafał spojrzał na młodą dziewicę wzrokiem wdzięczności za to, że go słowami swemi broniła od wynurzenia wdzięczności przez staruszka.

— Zupełną masz pani słuszność — rzekł młody oficer grzecznie zwracając się do Łucji. Niech państwo zachowają mnie tylko w pamięci, nie łącząc do niej żadnych wyrazów wdzięczności, a będę się czuł szczęśliwym.

— Wiecznie będziemy o panu pamiętać — zawołała żywo Łucja, a silny rumieniec oblał krągłą jej twarzyczkę.

Rafał zabierał się już do odejścia, ale spostrzegli to staruszek i Łucja.

— Oho! chciałbyś szlachetny człowieku! umknąć, niepowiedziawszy nawet swego nazwiska — rzekł, zatrzymując go wuj Łucji.

Teraz z kolei Rafał się zarumienił.

— Czy to konieczne? — zapytał z niechęcią widoczną, a gdybym chciał zachować tajemnicę w tym względzie.

— Byłby to ciąg dalszy bezinteresownej szlachetności, lecz na to nie pozwolimy, musisz nam powiedzieć swoje nazwisko — odparł staruszek.

Rafał spojrzał na Łucję, spodziewając się od niej wybawienia, lecz zawiódł się tą razą.

— I ja łączę prośbę swoją z prośbą wuja, sądząc że nam pan nie odmówisz — a w głosie jej brzmiało tyle pokory, w oczach szkliły sie brylantowe łezki, że Rafał nie mógł się oprzeć jej. –

— Porucznik Rafał N . . . — rzekł z głębokim ukłonem.

— Bankier Zenoni, moja siostrzenica Łucja — odparł staruszek serdecznie, ściskając rękę porucznika, Łucja również zbliżyła się, a wyciągnąwszy ku niemu malutką swoją rączkę, rzekła:

— Bardzo się cieszę, panie Rafale, że w moim wybawcy znalazłam Polaka.

Rafał nigdy jeszcze nie znajdował się w towarzystwie kobiet, nie wiedząc więc teraz co odpowiedzieć na słowa Łucji, zaambarasowany schylił się i złożył pocałunek na podanej mu rączce, co od razu bardzo zmieszało młodą pannę.

Rafał po uroczystej obietnicy, że odwidzi bankiera Zenoniego, odszedł zły i niezadowolony ze siebie jak nigdy, a serce biło mu przyśpieszonem tętnem.

— Licho jakieś ją nadniosło! — myślał ponury. O! słusznie ojciec mój mówił, że kobieta to szatan: doświadczyłem tego na sobie, kiedy spojrzała na mnie piekielnym swoim wzrokiem.

Zamyślił się głęboko.

— Ktoby to był się tego spodziewał, że dzisiejszy dzień będzie dla mnie tak fatalny — rzekł półgłosem kręcąc papierosa, który jak gdyby na złość ciągle mu się rozkręcał.

Odrzucił go daleko od siebie.

— Kobieta, to przecież ładne stworzenie! — zawyrokował ostatecznie, a potem jakby wstydząc się sam przed sobą dodał:

— Jednak gardzę niemi, bo są to karmelki piołunowe, przy każdej sposobności okażę im swoje lekceważenie.

Rafał zrobił przegląd zachowania się swego u bankiera i przypomniał sobie ów pocałunek złożony na rączce Łucji, owe słowa „jak będzie szczęśliwy, gdy o nim nie zapomną," nakoniec daną obietnicę, że ich odwidzi. Wszystko to razem wziąwszy nie zdradzało lekceważenia i obojętności dla Łucji jako dla kobiety. Rafał byłby dał pół życia za to, żeby ten wypadek nie istniał.

— Nie zrobię tego głupstwa więcej, nie pójdę tam wcale.

Z tem postanowieniem siadł do pracy, lecz niestety! cyfry które pisał, zamieniały się w czarne oczy, koralowe usteczka i w delikatne rysy pięknej Łucji. Rafał resumowawszy to wszystko razem, mimowoli zawołał:

— Jakaż ona piękna! jaka cudowna!

I głowę wsparłszy ręką z szczególnem natężeniem przypominał sobie każdy ruch, każde słowo Łucji.

— Ona nie może być tak złą, jak inne kobiety, lecz prawda! zapomniałem, że ojciec mój mówił: Czem piękniejsza, tem gorsza, i że kobiety nikt nigdy nie odgadnie, bo trudno zajrzeć w ich duszę.

Rafał spał tej nocy najgorzej, czoło go paliło, usta wyschły, przed oczami wciąż ona.

— Mam gorączkę, jestem chory — rzekł sam do siebie nazajutrz po bezsennej nocy, w dzień zaś żadne zajście nie przynosiło mu upragnionego spokoju.

— Muszę użyć przechadzki, wyjść na świeże powietrze, to mię otrzeźwi. Nie wiedziałem, że kobieta posiada moc obałamucenia zdrowych zmysłów, muszę

kobiet unikać. O ojcze! ty miałeś słuszność! Kto chce być szczęśliwym, ten niech kobiet unika. Mimowoli nie usłuchałem ciebie, i oto zostałem ukarany, lecz przyrzekam ci poprawę. Tak jest! znowu niebawem wrócę na drogę, którą dotąd szedłem i na której dobrze mi było.

Po takiem przedsięwzięciu Rafał ubrawszy się staranniej niż zwykle i przesiedziawszy całą godzinę przed źwierciadłem, ubrał nowe rękawiczki, nową bluzkę i wyszedł na przechadzkę. Czemuż jednak dziś chciał koniecznie być piękniejszym niż zwykle? czemuż za miejsce przechadzki obrał sobie ulicę St. Eustache?

Na te pytania on sam nie mógłby może dać sobie zadowalającej odpowiedzi, gdyż jakaś siła nieznana mu dotąd, kazała mu tak działać, ona to zawiodła go aż do pięknej kamienicy, aż do drzwi bogato-rzeźbionych, nareszcie aż do wspaniałego salonu Łucji.

Wuj i siostrzenica przyjęli go bardzo życzliwie, Rafał czuł się dzisiaj więcej niż pierwszy raz swojskim, gorączka minęła, głowa nie bolała go i ani się spostrzegł, jak w miłem towarzystwie uleciała godzina. Wróciwszy do domu rozmyślał się znowu nad swoją wizytą, dziwiąc się samemu sobie, po co on tam poszedł.

— Musiałem tam pójść, bo dałem słowo, zresztą chciałem dokładnie zbadać przebiegłość kobiety i pobawić się trochę zalotnością młodej panny: w taki sposób usprawiedliwił się przed samym sobą. Lecz w całem jej zachowaniu przebijała się pewna duma, połączona z łagodnością i słodyczą, która jest znamieniem pięknej duszy i szlachetnego serca, a trudno posądzić ją o zalotność.

Rafał zamyślił się i westchnął głęboko.

— Muszę zająć się pracą i nie myśleć więcej o niej, nie zbadać ani jej zalet, ani też wad jej.

Tą razą Rafał dotrzymał słowa: pracując pilnie przez kilka tygodni, nawet nie zajrzał na ulicę St. Eustache i zdawało się, że całkiem zapomniał o zaszłym wypadku, o bankierze i jego pięknej siostrzenicy.

Piękny oficer starał się zapomnieć, podczas gdy o nim wciąż wspominano w domu bankiera, a dla

Łucyi wspomnienia te stały się konieczną potrzebą duszy. Myśląc zaś o bezinteresownej szlachetności Rafała oceniła charakter jego bardzo korzystnie. Siedząc przy oknie patrzyła smętnem okiem w powleczone szkarłatem obłoki zachodzącego słońca, tonąc myślami w nieznanych krainach, a wyobrazni jej przedstawiały się kolejno wszystkie wymarzone obrazy, wszystkie pragnienia dziewicze. Przed oczyma jej duszy stawały rozmaite postaci młodzieńców znajomych, lecz przy żadnym jej myśl nie zatrzymała się tak długo, jak przy pięknym o chłodnym wyrazie twarzy poruczniku, to znów przypomniała sobie jego chłodne spojrzenie i zimne odpowiedzi i posmutniała.

— Ach! czemuż nie przychodzi? — i użalając się takiemi słowami przyłożyła rączkę do serca; ono biło tak szybko na wspomnienie Rafała jak w ochoczym tańcu przy dźwięku wybornej muzyki.

— Czy ten młodzieniec rozstrzygnąć miałby o moim losie? Czy tylko chwilowo zamącił spokój mej duszy — tak pytała sama siebie niespokojnie. Jakaż to zagadka leży na dnie jego duszy? czemu uśmiech goryczy błąka się na jego ustach? O! gdyby go widzieć można zakochanego! — zawołała żywo i z ócz jej posypały się iskry zapału. Ach! kiedy usta te zadźwięczą słowami miłości, a oczy szafirowe i zimne zabłysną namiętności płomieniem, o! jakże on wtedy musi być piękny! Czemuż tą ukochaną, tą wybraną istotą nie mogę być ja? — szepnęła cicho i zarumieniła się jak róża. Może to lepiej, że on pozostał z dala od nas? Może poznanie bliższe odjęłoby mu urok, jaki teraz posiada dla mnie, a ja musiałabym przerwać marzenia złotą nicią tkane i nastąpiłoby rozczarowanie. Ach! wolę ja niepewność zwodniczą, niż całkowite zerwanie z marzeniem błogiem.

Młodość ma swoje prawa, chce kochać i żąda wzajemności, stracona młodość to stracone życie, nieszczęśliwy ten ktoby chciał stłumić uczucie prawdziwej miłości a oddałby się natomiast namiętnościom chwilowym, które prowadzą do samolubstwa i niewiary we wszystko co piękne i wzniosłe.

Rafała z gruntu dobre i niezepsute serce nie pozwoliło mu pozostać na tej drodze, namiętności dotąd powstrzymywane przez życzenia ojca i własne smutne doświadczenie, wybuchły teraz silniej niż kiedykolwiek. Rafał nie był młodzikiem, nie lubiał bawić się w fantazje i próżne wzdychania, lecz był mężczyzną dojrzałym i pragnął zawsze, rozsądnych swoich życzeń doprowadzić do skutku. Łucja podobała mu się od pierwszego spojrzenia, zachowanie się jej i skromność dziewicza kazały wierzyć, że lica nie łudziły wyrazem niewinności i dobroci, jaka się na nich malowała. Rafał jako człowiek zniechęcony do kobiet, nie studjował żadnej głębiej, unikał ich, lecz Łucji nie obawiał się. Jakieś przeczucie tajemne kazało mu wierzyć, że to jeszcze czysty anioł, niezbrudzony żadnemi występkami.

— Dość tej męczarni — zawołał nagle rzucając pióro, ja muszę się przekonać, czym się nie mylił w moich przekonaniach o kobiecie, ja muszę wiarę w nią albo odzyskać albo też utracić na zawsze.

I z temi myślami udał się na zwyczajną przechadzkę; mimowoli jednak był smutny i pragnął samotności. Ranek był dżdżysty jak zwykle w jesieni a Rafał utulony długim płaszczem udał się na cmentarz Montmartre, by tam w cichości, w towarzystwie duchów postanowić, co mu dalej czynić wypada? Czy zbliżyć się do Łucji? czy opuścić Paryż? Jedno mu się ponętniej uśmiechało, drugie rozsądniejszem zdawało. Tak zadumany spostrzegł nagle, że pomimo zimna i wczesnej pory jakaś skulona postać w czarnem odzieniu, z głową w chustce zawiniętą, pilnie sadziła kwiaty na grobie.

Rafał się zbliżył i bacznie począł przypatrywać się tej robocie. Lecz ku niemałemu swemu zdziwieniu spostrzegł, że rączki sadzące kwiaty były ubrane w eleganckie rękawiczki, a właścicielka ich nie szczędząc trudu, mozolnie w glinie pracowała, to znów z koszyczka wyjęła świeży wazonik, oglądnęła go i postawiła obok krzyża skromnego, potem zaś wspięła się na stopień kamienny i owijała bluszczem ciągnącym się obficie z postawionego wazonika, na końcu umieściła śliczny wieniec z róż na tablicy, potem

zdjęła zawalane rękawiczki, z pod których błysły rączki śnieżnej białości, delikatne i malutkie. Odstąpiła kilka kroków od mogiły, przypatrując się uważnie swojej robocie i widocznie była z niej zadowolniona, bo klasnęła w rączki i zawołała:

— Ach! to się ucieszy! —

Potem podjęła spiesznie koszyk i zwróciła się szybko ku drodze, na której stał pod drzewem Rafał; lecz nagle stanęła jak wryta, a z ust pięknego oficera wydobył się wykrzyknik miłego zdziwienia.

— A! panna Łucja!

— Pan Rafał! — była odpowiedź, i Łucja szybko zbliżyła się ku niemu, wyciągając rączkę na powitanie. Rafał podaną mu rączkę ucałował ze czcią.

— Nie spodziewałem się pani tu zdybać — rzekł drżącym głosem.

— Jak również dla mnie było niespodzianką, zobaczyć pana — odparła półgłosem Łucja mocno zmieszana.

— Na czyim grobie sadziłaś pani te kwiaty? — spytał po chwili.

— Czy pan często chodzisz na cmentarz? — odpytała Łucja wymijając pytanie.

— Nie! dziś pierwszy raz, lecz winnaś mi pani odpowiedź. —

Łucja spuściła głowę zarumieniona.

— Doprawdy! zapomniałam o co pan pytał, zimno mi i chciałabym się jak najprędzej dostać do domu!

— Dlaczego nie wzięłaś pani powozu? — zapytał Rafał z wymówką.

— Chciałam się przejść pieszo — zbyła go Łucja, szybko przyspieszając kroku i niespokojnie patrząc przed siebie na drogę.

Rafał nie mógł jej rozumieć, patrzył zdziwiony za nią, a w duszy snuły mu się różne podejrzenia.

— Zapewne to jakaś miłośna schadzka, a ja jej zawadzam. O! jakże się zawiodłem na niej! — pomyślał z goryczą.

— Panie Rafale! Nie chcę panu przeszkadzać, używaj przechadzki dalej, ja spieszę do domu!

Popatrzyła nań błagalnie.

— Proszę nas odwidzieć — szepnęła zaczerwieniona, i zboczyła z drogi, udając się w prost przeciwną stronę, zarosłą gęsto drzewami.

Rafał uśmiechnął się złośliwie i udał się niepostrzeżenie za nią, kryjąc się za krzakami.

— O! nie tak łatwo zbędziesz się mnie, moja panno, będę świadkiem twojej tajemnej schadzki, niedaremnie pewno takbyś się zmieszała!

Łucja oglądnęła się w około a nie widząc Rafała usiadła na mogile i bacznie ztamtąd wzrok swój skierowała ku krzyżowi, który ustroiła świeżemi kwiaty. Rafał także wytężył wzrok w tę samą co ona stronę... w tem na drodze ukazała się postać młodej dziewczyny, ubogo lecz czysto odzianej, która powolnym krokiem zbliżała się do krzyża. Nagle upadła na kolana przed mogiłą wołając:

— O matko moja! matko! uproś u Boga szczęścia dla anielskiej istoty, która ubrała twój nadgrobek w kwiaty. Jam, matko, biedna sierota! nic prócz modlitwy i łez dziś w dzień twego imienia przynieść ci nie mogę. O! niech Bóg ci da szczęście, zacna duszo! któraś się zajęła grobem mojej matki. Gdybym tylko wiedziała, kto mi zrobił taką niespodziankę, o! jakżebym mu serdecznie dziękowała! Jest więc jeszcze ktoś na świecie, co się opiekuje tobą i mną sierotą, najmilsza matko moja!

Dalszych słów nie można było słyszeć, gdyż dziewczę bardzo szlochało.

Rafał zawstydzony z powodu swego niesprawiedliwego podejrzenia względem Łucji, spojrzał teraz za nią. Ona siedziała na kamieniu z twarzą rozpromienioną jak jutrzenka, a z ócz jej spływały łezki brylantowe.

Szybkim krokiem oddalił się młody porucznik, czując większą niż kiedykolwiek cześć dla Łucji i pozbywszy się znowu jednego uprzedzenia dla kobiet. Uprzedzenie to zmalało z dniem każdym w stosunku jak Rafał mimowolnie stał się świadkiem rozlicznych miłosiernych uczynków Łucji, świadczących głośno o dobrem jej sercu. A jednak w sercu jego niedowierzanie w cnotę kobiet i miłość ukryta dla Łucji toczyły jeszcze walkę zaciętą.

Spostrzegła to Łucja. Raz w ożywionym toku rozmowy z porucznikiem odwidzającym ją w pomieszkaniu bankiera pytała go się:

— Dla czego pan jesteś tak źle usposobiony dla nas kobiet?

— Jak najchętniej odpowiedziałbym na to pytanie, lecz tajemnica powierzona memu sercu tylko wśród ważnych okoliczności może wyjść na jaw: jest to tajemnica mego ojca. Nie mogę jej nikomu odkryć, tylko przez nią zostałem napełniony nienawiścią ku kobietom, przyjaciela zaś doświadczeniem utwierdziłem się w mojem przekonaniu. Słuchaj pani! Jerzy, mój najlepszy przyjaciel, pokochał całem sercem piękną jedynaczkę u państwa Mont. Marta była dla niego tkliwym aniołem, codzień przychodził Jerzy do mnie i z największą radością opowiadał mi o cnotach swojej narzeczonej:

— O Rafale! ty nie wiesz co to za dobroć! Dzisiaj ptaszek Marty złamał sobie nóżkę, płakała serdecznie nad nim a nawet sama robiła dla niego okłady — tak mówił do mnie w pewien dzień mój przyjaciel.

Nie dałem mu na to żadnej odpowiedzi, bo już wtedy mniej go kochałem niż pierwej, a to z tej przyczyny, że kochał kobietę. W krótce miało być ich wesele, dzień przed ślubem ojciec panny młodej dawał bal świetny. Marta strojna w ciężkie jedwabie, weszła do salonu, gdzie oczekiwał na nią Jerzy. Zobaczywszy ją piękniejszą niż kiedykolwiek, przystąpił do niej i objął jej kibić wiotką. Marta rączką delikatną odepchnęła go od siebie.

— Jesteś nierozważny, Jerzy! pomniesz mi koronki — rzekła z nadąsaną minką.

Jerzy odstąpił od niej zmieszany.

— Ach! — rzekł, dla koronek tracić szczęście uściśnienia cię!

— Mój drogi! — odparła z uśmiechem. tak długo czekałam na tę rozkosz ubrania się w jedwabie i koronki, których mama nie pozwoliła mi nosić pierwej, aż za mąż pójdę, że i ty teraz czekać możesz, uwielbiając mnie z daleka.

Jerzy przyleciał do mnie zgryziony i zmartwiony.

— Rafale! ty miałeś słuszność. Kobieta nie ma serca, ona idzie za mnie nie z miłości, lecz dla swobody noszenia strojów jedwabnych.

Jerzy chciał już zerwać stosunek z Martą, ale ona umiała złe naprawić i wytłumaczyła się przed nim, że tylko dla żartu tak powiedziała.

Nie widziałem Jerzego przez cztery tygodnie, nareszcie przyszedł by pochwalić się swojem szczęściem, był rozpromieniony, szczęśliwy i ciągle tylko mówił o zaletach swojej żony.

Szczęście Jerzego trwało sześć miesięcy. Po upływie tego czasu ciężka choroba powaliła go na łoże boleści, a doktor zawezwany oznajmił, że to tyfus zaraźliwy. Skoro się tylko dowiedziałem, że Jerzy chory, pospieszyłem natychmiast go odwidzieć. Jakież wielkie było jednak moje zdziwienie, kiedy u łóżka jego niezastałem Marty, lecz tylko starą służącę. Jerzy był nieprzytomny i majaczył w gorączce. Zapytałem o Martę. Służąca odpowiedziała mi, że pani bojąc się dostać tyfusu, odjechała do rodziców swoich. Ach! panno Łucjo! krew zakipiała we mnie i kląłem wszystkim kobietom pięknym i młodym, bo oto stara sługa nie bała się śmierci i pielęgnowała swego pana, a własna żona opuściła go w nieszczęściu, zostawiając na łaskę Boską! To okropne!

Chodziłem do Jerzego codzień. Biedny! skoro tylko uzyskał przytomność, zaraz pytał o Martę; służąca powiedziała mu, że pani mieszka u rodziców, lecz codzień dowiaduje się o zdrowie pana. Jerzy na te słowa zbladł jak ściana, lecz nie skarżył się, tylko rzekł do mnie po cichu:

— Rafale! miałeś słuszność.

Ciężko chorował mój przyjaciel i pomału przychodził do sił; brak mu było opieki, brak troskliwego pielęgnowania, nareszcie przyszedł do zdrowia prawie zupełnie, tylko że jeszcze o lasce chodzić musiał. Jerzy zmienił pomieszkanie i wynajął dla siebie śliczny dworek za miastem, by w ogrodzie swobodniej módz używać świeżego powietrza. Raz kiedym obok niego siedział na ganku, ujrzałem nagle elegancki powóz zatrzymujący się niedaleko dworka, a z powozu wysiadła Marta świeża, rozpromieniona, piękna jak zawsze. Lek-

kim krokiem zbliżyła się do nas. Jerzy powstał z ławeczki i wyprostował się dumnie.

— Czego sobie pani życzy? — zapytał zimno.

Marta rzuciła mu się w objęcia.

— O Jerzy! doktor zapewnił mnie, że jesteś zupełnie zdrów, więc przyjechałam — zawołała żywo.

— Zupełnie niepotrzebnie trudziłaś się pani. Kiedy obejść się mogłem bez twej pomocy będąc ciężko chorym, to i teraz widzieć cię nie chcę. Żona opuszczająca męża w nieszczęściu, niegodna szczęścia jego z nim podzielić.

— Ależ Jerzy! co mówisz! pozwól niech cię uściskam — rzekła Marta zmieszana zbliżając się do męża. Lecz on ją z lekka odsunął od siebie.

— Uważaj — rzekł, bo możesz się nabawić choroby odemnie, możesz z daleka o mnie myśleć, ja żyć z tobą już nie mogę. O Marto! Marto! po co ja życie swoje związałem z tobą? czemu nie osądziłem cię z błahej na pozór bagateli, na owym balu, kiedy dla koronek odepchnęła mnie od siebie, nie bacząc jaką wyrządzasz mi tem przykrość? Kochałem cię bardzo, lecz dziś już nie. Uwalniam cię od towarzystwa mego, możesz jechać do rodziców i szanować swoje zdrowie. Żegnam cię.

Marta odjechała. Odtąd z Jerzym widziałem się codziennie. Biedny! zawód jakiego doznał, silnie nadwerężył wątłe jego zdrowie; nim rok upłynął, Jerzy już był na tamtym świecie. Straciłem w nim wiernego przyjaciela i nabyłem jeszcze większy wstręt do kobiet. — Powiedz, panno Łucjo! czy nie mam słuszności? czy kobieta powinna sobie tak postąpić jak Marta?

— O! bez wątpienia że nie — odparła żywo Łucja, nieszczęście powinno silniej jeszcze łączyć małżeństwo, a nie rozłączać. Marty rodzice kochali ją ślepo, nauczyli ją kochać tylko siebie samą i nie wiedzieli nawet, że przysposobią swoją córkę na egoistkę samolubną. Biedny Jerzy musiał tyle cierpieć, być opuszczonym w chorobie. Ach! to okropne!

Rafał patrzał na Łucję z uwielbieniem.

— Powiedz mi, pani — zapytał ją nagle, dlaczego chciałaś mnie się pozbyć na cmentarzu?

— O Boże! a gdybym nie chciała powiedzieć.

— Ja proszę cię bardzo panno Łucjo! Ty nie odmówisz mi zapewne.

— Chciałam zachować dla siebie tajemnicę, z której bym się do woli nacieszyła! dla tego udałam się bez służącej na grób żony biednego stróża, gdyż słyszałam jak córka wczoraj narzekała, że nie ma za co ustroić dziś grobu swojej matki jako w dzień jej imienin. Poszłam więc na cmentarz i ustroiłam grób jak mogłam, za mój trud zaś pragnęłam jako jedyne wynagrodzenie widzieć radość dziewczęcia. Pan nadszedłeś i zawadzałeś mi w wykonaniu mego planu, dla tego starałam go się pozbyć, a sama siadłam w ukryciu, by niepostrzeżenie widzieć dziewczynę. Widziałam jej zdziwienie, słyszałam słowa radości i byłam szczęśliwą.

— A teraz pani już szczęśliwą nie jesteś? — zapytał smutnie Rafał.

— Nie, bo musiałam z panem podzielić moją tajemnicę, a więc straciła u mnie prawdziwą wartość — odparła Łucja.

— Lecz za to ja jestem szczęśliwy, panno Łucjo, boś przez swój dobry uczynek wróciła mi wiarę w kobiety, wiarę w cnoty które istnieją na świecie jak fiołki w ukryciu. —

— O! kiedy tak, to nie żałuję, że musiałam panu wyjawić tajemniczą moją wycieczkę, o której nawet i wuj nie wie — odparła wesoło Łucja.

Odtąd Rafał był codziennym gościem u bankiera.

## V.

## ROZSTANIE.

— Łucjo! — szepnął pewnego razu Rafał głosem drżącym od wzruszenia, a ona na te słowa zadrżała jak listek poruszony lekkim wiatru powiewem.

— Łucjo! — powtórzył nieśmiało, podnosząc do niej wzrok pełen uczucia i wyrazu zdradzającego tajemnicę serca. Łucja milczała. Ach! dla niej ta chwila była taka piękna, taka czarująca, że nie chciała płoszyć jej słowami, błogość ją ogarnęła niewypowiedziana, jak

gdyby anioł jakiś na skrzydłach modlitwy duszę jej z sobą uniósł do nieba, gdzie raj stał dla niej otworem. W czarnych jej oczach było tyle zachwytu, tak prawdziwie odbijała się w nich szlachetna jej dusza, że Rafał nie pragnął nawet potwierdzenia, że nie jest jej obojętny.

— O! przebacz mi, żem tak zuchwały i żem śmiał wyjawić ci miłość moją; ale chwila ta będzie na zawsze balsamem pociechy dla zbolałego serca! Daruj, żem nie umiał zapanować nad niem, choć pragnąłem tego gorąco!

— Więc żałujesz, żeś mnie uszczęśliwił? — szepnęła z wyrzutem blada Łucja.

— Uszczęśliwił! — zawołał Rafał z goryczą, o! jak mnie to boli, że za kilka chwil może będziesz już musiała zmienić swoje przekonanie, kiedy odsłonię ci tajemnicę, niszczącą wszystkie twoje marzenia!

— O nigdy! — zawołała żywo, niech cokolwiek bądź nastąpi, twoje wyznanie, że przez ciebie jestem kochaną, uszczęśliwiło mnie na całe życie.

— Pani! przebacz mi otwartość, ale wy kobiety często się mylicie, a na jedno słowo nierozważne pierzcha potem cała miłość z waszego serca.

— Boże! — szepnęła Łucja składając rączki jak do modlitwy, ty widzisz, jak trwałe jest moje uczucie, wlej i w jego serce tę wiarę, jaką ja mam, że ono nigdy się nie zmieni.

Rafał nie był przygotowany na taką łagodność i dobroć, mimowoli zgiął kolana przed zacną tą istotą.

— Łucjo! — rzekł klękając przed nią. powiedz, czemu kobiety posiadają tyle potęgi nad nami, a używają jej najczęściej ku zdradzie? Czemu lada igraszką czynią tyle mężczyzn nieszczęśliwymi?

— Czemu wy mężczyźni! zbliżacie się do kobiet lekkomyślnych, igrając ze świętem uczuciem miłości tak jak z zabawką jakąś? Czemu przez zdradę jednej kobiety posądzacie wszystkie o jednakowe wymysły fałszywe, odtrącając często od siebie serca prawdziwie wierne i kochające? Odpowiedz mi na to pytanie, a ja ci odpowiem na twoje — rzekła poważnie Łucja.

— Ach! któż kobietę przejrzeć zdoła, kiedy jej ufać, a kiedy pogardzać nią? — odpowiedział Rafał.

— Kto? pytasz Rafale! Ten co kocha prawdziwie, ten wierzy zawsze w kobietę dobrą, a kiedy serce jego uderza dla niewiernej, wtedy nie pogardza nią, lecz lituje się nad nią, oh! bo kobieta płocha nigdy nie zazna prawdziwego szczęścia, a złą zrobiły ją tylko okoliczności i otoczenie w którem wyrosła...

— Najmilsza! jam nie godzien twojej miłości i twego serca, które umie czuć tak szlachetnie — przerwał z wzruszeniem Rafał.

— Mylisz się, mój drogi! — szepnęła cichutko wymawiając ten wyraz z osobliwszym naciskiem, serce moje słusznie należy się tobie, bo ty nawróciłeś je na dobrą drogę. — Młodziutką jeszcze byłam panienką, kiedy po śmierci matki oddano mię pod opiekę wuja. Puszczona w świat rozkoszy i zabaw, bez zamiłowania do czego wyższego, rzucona w ten wir szalony, w ten odmęt świata jak łódź na morzu bez żagla, bez gwiazdy przewodniej, bujałam bezmyślnie w różnych kierunkach i byłabym niezawodnie, wiedziona fałszywym prądem wpadła w przepaść lekkomyślności; lecz Bóg zesłał mi ciebie i szczęśliwie stanęłam u portu. Dziś sercem mojem owładnęło uczucie, które mi będzie puklerzem od dalszego niebezpieczeństwa, bo miłość zwycięża zawsze! Widzisz Rafale! jak biedną jest kobieta, kiedy nie trafi na istotę, którąby jej kochać nauczyła głębokiem, cierpliwem, świętem uczuciem wiernej miłości!

— Kto ciebie, aniele mój! tak kochać nauczył?

— Moje sieroctwo — odparła Łucja smutnie, ono kazało mi wierzyć, że znajdę osłodę życia w miłości, bo sierot Bóg nigdy nie opuszcza i o mnie też pamiętał, zsyłając ciebie: Łucjo! ja się lękam o ciebie, byś nie chciała szukać szczęścia za pomocą swojej urody, wystrzegaj się tej próżności, bo tylko cnotami możesz zdobyć sobie szczęście i być prawdziwie szanowaną i kochaną — tak brzmiały ostatnie słowa mojej matki. To też była uwielbiana przez rodzinę swoją, ojciec mój kochał ją nad życie i nazywał królową szczęścia swego. Rafale! jakbym ja chciała być dla ciebie taką królową, rządzącą w domu twym miłością! — zawołała wzruszona wspomnieniem lat dziecinnych, rączki drobne wyciągając ku niemu.

— Pani! nie obdarzaj takiem szczęściem niewdzięcznego, ja nie mogę korzystać z twojej ofiary... ja, moja droga Łucjo! — szepnął bledniejąc strasznie, ja nie mam takich pięknych wspomnień z lat dziecinnych jak te, któremi ty poszczycić się możesz; bo sława rodziców jest majątkiem ich dziecka, jest jego dumą, jego skarbem. Moja matka odumarła mnie, kiedy jeszcze byłem niemowlęciem, a ojciec, słuchaj... proszę cię... ojciec był kozakiem w służbie pewnej hrabiny, a potem zaś został... lecz dość będzie dla ciebie tego wyznania. Wiem że miłość twoja dostatecznie temi słowami została przytłumiona. Teraz, Łucjo, możesz mną gardzić, lecz uczyniłem to, co mi sumienie uczynić kazało.

I wyrzekłszy te słowa, podniósł Rafał na nią wzrok swój, by z ócz jej wyczytać wyrok potępienia, lecz jakież było jego zdziwienie, kiedy twarz jej widział uśmiechniętą i rozpromienioną wyrazem prawdziwego szczęścia.

— Rafale! godziłoż się sądzić, że na te słowa pierzchnie moja miłość? na jakimże lichym gruncie musiałaby ona być opartą! Czy nas mają łączyć jedynie bogactwo, stosunki familijne i tym podobne rzeczy? Nie! my nie należymy do tego świata co się powoduje takiemi zasadami. Nas łączyć powinne jedynie zgodność myśli, wytrwałość w dobrem i wzajemność uczuć.

— Zacna pani! ja takiego szczęścia, o jakiem marzysz, dać ci nie mogę, twoje wychowanie wymaga stosownego otoczenia, a ja nie tylko że nie jestem ciebie godny, lecz nie mam także majątku.

— Równy posiadamy skarb, mój Rafale! ja szczycąc się miłością szlachetnego człowieka, a ty będąc pewnym mego przywiązania, dla którego poniosłabym z radością największe nawet ofiary.

— Och! i ja, moja najdroższa! kocham cię taką samą miłością i dla tego właśnie czuję się nieszczęśliwym; bo myśl ta, że nie możesz być moją, przyprowadza mnie do rozpaczy. Tajemnica, którą chowam w głębi łona, na wieczne czasy powinna nas rozłączyć, a nie chcę by gwiazda przekleństwa zawisła nad twojem szczęściem, nie chcę ciebie niewinnej łączyć z czar-

ną przyszłością, jaka staje przed memi oczyma. Bóg sam zapewne skazałby mnie srogo za to, że usiłowałem zamącić swoją miłością wesołe twoje życie.

Na czole Rafała osiadła ciężka chmura, a pierś podniosło westchnienie.

Łucja zakryła twarz rękami zalewając się gorzkiemi łzami.

— Szanuję twoją tajemnicę i nie nalegam na ciebie, byś mi ją wyjawił, z bolejącem sercem wierzę ci, że nie mogę być twoją, lecz pamiątka o tobie wystarczy mi do szczęścia — szepnęła Łucja wśród łkania.

Rafał był bardzo blady, chwiejnym krokiem zbliżył się do niej.

— Wiecznie pozostanę ja twoim wiernie aż do grobu kochającym cię przyjacielem — rzekł namiętnie, lecz widywać się nie możemy już nadal, nie chcę żeby świat na ciebie rzucił słowa złośliwej obmowy z powodu mego bywania w waszym domu. Musimy się koniecznie rozstać. Ja pójdę w świat poprawiony przez ciebie, bez uprzedzenia do kobiet, bez żalu i goryczy a z sercem przepełnionem wdzięcznością dla ciebie. Dziś więc, droga Łucjo! żegnam cię na zawsze; lecz gdybyś spojrzała w głąb serca mego, nie ujrzałabyś tam rozpaczy. Nie! w tej chwili jestem zupełnie szczęśliwy, spełniając swój obowiązek, a tęsknotę jaką uczuję po rozstaniu się z tobą, koić będę się starał wspomnieniem, że ty mnie kochasz. Bądź zdrowa, droga Łucjo! godzina rozłączenia zbliża się.

Łucja załamała ręce.

Światło które lokaj w tej chwili wniósł do salonu, oświetliło bladą jej twarzyczkę, oczy aksamitne przyćmione były łzawą mgłą. a usta zaciśnięte zdradzały walkę. jaką staczała z sobą, by nie wybuchnąć słowami rozpaczy. Piękną i uroczą jak bóstwo była w tej chwili, w niebieskich jedwabiach, z warkoczem czarnym jak heban nad czołem alabastrowej białości.

Rafał patrzył na nią z zachwytem i ciężko przychodziło mu pożegnać ją.

— Bywaj mi zdrowa, najdroższa! — wołał nareszcie po długiem wahaniu, bywaj mi zdrowa na zawsze!

Łucja była tak silnie wzruszona, że nie mogła przemówić słówka, tylko rękę Rafała ścisnęła konwulsyjnie i padła z jękiem na kanapkę.

Nazajutrz kiedy Rafał zatrwożony przyszedł dowiedzieć się o zdrowie panny Łucji, nie zastał nikogo w domu.

— Panienka wyjechała do majątku swojej babki — oświadczył mu stary sługa.

— A kiedy wróci? — spytał machinalnie Rafał.

— Panna mówiła, że do Paryża nigdy już nie wróci, bardzo płakała kiedy się żegnała z wujem, a stary tak się zmartwił jej odjazdem, że dzisiaj jeszcze wyprowadza się na inną ulicę bo panu bardzo przykro bez panny.

— Jak się nazywa ta wieś, którędy pojechała? — zapytał Rafał.

— Nie wiem, proszę pana, panna odjechała najętym powozem i nie odwiozłem jej nawet na kolej; lecz prawda! panna kazała panu doręczyć jakiś list. —

— List! . . . — zawołał Rafał, i w oczach pociemniało mu, kiedy stary sługa mu wręczył liścik Łucji.

Łucja pisała:

„Najdroższy Rafale! Odjeżdżam dla wspólnego naszego szczęścia i dla nienaruszenia tajemnicy twojej, która na nasze połączenie nie pozwala. Niech Bóg ci da tyle siły, abyś wytrwał cierpliwie mimo tęsknoty, która cię trawi. Bądź spokojny, i o ile ci czas pozwoli, łącz się dobremi uczynkami ze mną. Ja będę szczęśliwą, choć z daleka od ciebie, gdyż myśl że jestem kochaną, nie pozwala mi rozpaczać. Bądź zdrów! nie narzekaj na swój los, pamiętaj, że są jeszcze ludzie nieszczęśliwsi od nas, którym powinniśmy nieść pomoc.

Twoja do śmierci wierna Łucja.“

— Szlachetna istota! — szepnął Rafał, a z ócz potoczyły mu się dwie łzy czyste jak perły.

## VI.

## MIŁOŚĆ ZWYCIĘŻA!

Lat wiele minęło, a pałac hrabiny stał pustką, nikt w nim nie mieszkał, albowiem mówiono że duch sta-

rej hrabiny tam przemieszkuje. Ludzie omijali pałac z daleka, aż przyjechała wnuczka hrabiny jako nowa właścicielka i wszystko od razu się zmieniło. Księża odprawili nabożeństwo za dusze zmarłych poświęcili pałac i młoda pani zajęła w nim mieszkanie.

Minął miesiąc, odkąd wioska powitała nową właścicielkę z obawą patrząc na nią, albowiem rysy twarzy, wzrost, ruch, i cała postać przypominały wszystkim hrabinę.

— Piękna jak nieboszczka, żeby choć nie była taka zła jak tamta — mówiły półgłosem stare kobiety. Lecz obawy ich były niesłuszne, o tem przekonały się od razu, nowa pani bowiem była dla nich aniołem dobroci, a ludek z sąsiednich wiosek szedł do niej z ufnością po radę, widząc jak rozsądnie rządzi. W samym pałacu poczyniła różne korzystne zmiany, w wielkim salonie, gdzie dotąd pamiętano tylko świetne bale, stały teraz długie dębowe stoły i takież krzesełka, skromne muślinowe firanki zdobiły okna, a zapach kwiatów stojących na nich, miłą roznosił woń w około. W tym to salonie pracowało codzień trzydzieście dziewcząt wiejskich nad szyciem bielizny i robotami ręcznemi. Łucja przewodniczyła im zawsze, sama ich ucząc i przekrawując płótna na bieliznę. Te kilka miesięcy niezmieniły ją jednak wcale, albowiem nawet wśród nowego zajęcia i otoczenia Łucja tą samą została, którą była w Paryżu u wuja w pysznym salonie bankiera, z taką samą swobodą nosząc teraz skromne perkalikowe ubranie jak dawniej ciężkie jedwabie. Ta sama słodycz brzmiała w jej głosie kiedy rozmawiała z wiejskiemi dziewczętami jak gdyby z równemi sobie przyjaciółkami, tylko twarzyczka jej była nieco bledsza, a rysy przybrały wyraz tęskniąco-pogodny, co przy blasku pięknego czarnego jej oka czyniło ją jeszcze ponętniejszą, dodając jej rysom powabu nadziemskiego.

Słońce miało się już ku zachodowi, Łucja wyszła po dziennej pracy do ogrodu odetchnąć świeżem powietrzem; w zamyśleniu przechadzając się wzdłuż szerokiej alei nie spostrzegła nawet, że służąca zbliża się do niej z zafrasowaną miną, a dopiero głos jej wyrwał ją z zadumy.

— Proszę Wielmożnej Panienki, przynieśli teraz do szpitalu chorego bardzo starca, ale dozorca nie chce go przyjąć bez rozkazu panienki.

— Wszak raz na zawsze bez wyjątku kazałam mu przyjmować chorych.

— To prawda, ale tą razą musiał się zastanowić, czy panna nie będzie się gniewała, gdy dozorca przyjmie chorego: jest to złodziej i zbójca, błąkający się w tutejszych lasach. Właśnie niedawno został wypuszczony z kryminału.

— Więc pójdę sama do szpitalu go oglądnąć — rzekła Łucja, z pośpiechem udając się w te strony. Służąca idąc za nią opowiedziała po drodze, jak ten zbój strasznie wygląda, jakie ma oczy niedobre, włosy rozczochrane, siwe i długie, aż jej żal, że się panna z nim widzieć musi, bo gotów się przez całą noc śnić wielmożnej panience.

Rzeczywiście ujrzawszy słusznego starca z rozburzonemi włosami, leżącego na ziemi pod budynkiem szpitalnym, Łucja cofnęła się przerażona. Dziki wyraz malował się na twarzy starca, a z ust gorączką spiekłych wyszły same przekleństwa.

Łucja kazała mu dać wygodne łóżko i przenieść go do izby szpitalnej, sama sporządzając dla niego chłodzący napój.

— Co was boli? — pytała z troskliwością, wpatrując się bacznie w twarz chorego, która pomimo teraźniejszego dzikiego wyrazu, niegdyś w młodości musiała być bardzo piękną.

Stary zbój, jak go nazywali we wsi, spojrzał na nią błędnym wzrokiem, a potem rzucił się z krzykiem na łóżko:

— Idź precz! — zawołał groźno, co mnie boli, pytasz? Hrabino! żmijo! wszak ty sama zraniłaś moje serce! Niech cię oczy moje nie widzą więcej, stary Stefan chce umrzeć w spokoju.

— Jezu, Marija! — zawołali razem służący i dozorca, taż to kozak Stefan, co służył u babki Wielmożnej Panienki, i on myśli że hrabinę widzi, bo panna bardzo do babki podobna.

— Cóż to za krzywdę moja babka mu wyrządziła? — spytała mocno zmieszana Łucja.

— Dawno to już bardzo, i nikt pono nie pamięta w naszej wsi, co wtedy zaszło w pałacu — odparł dozorca.

Łucja odeszła bardzo zmartwiona od łóżka chorego i kazała natychmiast przywołać lekarza z miasta.

Kilka dni minęło, zanim Stefan odzyskał przytomność: zawsze jednak leżał twarzą do ściany obrócony i nie przemówił do nikogo ani słówka. Łucja postanowiła go odwidzieć. Z bijącem sercem weszła do izby szpitalnej.

— Czy chory spi? — zapytała dozorcy, przyniosłam mu rosołu.

— Ach! Wielmożna Panno! jemu smoły trza, nie rosołu — odparł niechętnie dozorca, to taki gbur, że nawet nie wart waszej opieki.

— Biedny nieszczęśliwy! ja was proszę, by mu na niczem nie zbywało — rzekła z słodyczą Łucja.

Po jej odejściu Stefan wysunął głowę z pod kołdry.

— Kto to był? — spytał dozorcy lękliwie.

— Dziedziczka nasza, panna Łucja — odparł tenże oschle.

— A czy nie krewna hrabiny?

— Wnuczka nieboszczki pani, bardzo dobra panienka. Ona to kazała was tu przywieźć i pielęgnować, bo inaczej bylibyście zginęli w lesie.

— Możeby i lepiej było — szepnął Stefan i zamilkł.

Łucja odwiedzała go codzień dwa razy a przy każdej wizycie przynosiła choremu lekarstwa i pożywne potrawy.

Stefan badał z pod kołdry każdy ruch Łucji, a czasem oczy jego zabłysły złowrogim blaskiem, to znów łza w nich zaświeciła. Kiedy jednak Łucja na niego patrzyła, wtedy udawał że spi.

— Boże mój! wróć mu zdrowie duszy i ciała — prosiła Łucja pocichu, stojąc nad łożem chorego. W tem zbójca wyciągnął rękę z pod kołdry i chwytał rączkę Łucji, namiętnie tuląc ją do spieczonych ust, a łzy błyszczały mu w oczach.

— Każ mnie pani wyrzucić ztąd do lasu i niech tam umrę i pójdę do Hanny — prosił błagalnie.

— Kto jest ta Hanna? — spytała Łucja, uwalniając rękę od uścisku Stefana.

— Moja najmilsza żona, jedyna kobieta dobra na tym świecie.

— I chcielibyście umrzeć, aby się na tamtym świecie połączyć z nią?

— Ach! chciałbym bardzo... bardzo nawet spocząć w mogile!

— I cóżby wam z tego przyszło? Hanny byście nie widzieli, bo dusza wasza poszłaby na wieczne potępienie do piekła, a dusza Hanny musi być w niebie u Boga.

— Moja dusza do piekła! — zawołał stary grzesznik, chyba aby się tam spotykać z czarownicami piekielnemi, z piekielnicą hrabiną!

— Któż temu winien, żeście takie życie prowadzili, za które Bóg was ukarać musi?

— Któż winien? — zawołał gwałtownie, hrabina winna, i moje grzechy spadną na jej sumienie! Wszystkie kobiety temu winne, że ja zbójca! Hanna, moja luba, poszła do nieba, a tu na ziemi spotykałem same potwory bez serca i bez duszy. O! jakbym pragnął dostać się do piekła: tambym bez przestanku kobietom wlewał smoły do ust, bo one co chcą złego, to robią na świecie.

— Kto wie, czy i w piekle tak nie jest? — odparła z uśmiechem Łucja, może złe kobiety same rządzą tam smołą.

Stefan się zamyślił.

— Prawda — rzekł po chwili, one muszą same tam panować, inaczej piekło nie byłoby tak straszne. Nie! nie pójdę tam na złość im, by się nie cieszyły z mojej duszy. Ach! ratuj mnie, pani! ratuj, żebym się nie dostał między piekielnice, choć ty także kobieta i może sama tam mnie pchniesz do swoich towarzyszek — dodał z bojaźliwem wejrzeniem.

— Myślicie Stefanie! że wszystkie kobiety jednakowe! to tak samo jak gdybym wszystkich mężczyzn za najgorszych miała, ponieważ wy jesteście grzesznikiem. Człowiek musi być pobłażliwym dla cudzych wad, ponieważ ich sam ma podostatkiem.

— A jednak nie mogę darować hrabinie jej postępowania, na którego wspomnienie krew we mnie kipi.

— Cóż wam złego wyrządziła hrabina?

— Życie mi całe zatruła, zmarnowała — zawołał z goryczą Stefan, i opowiedział całą historję nam już znaną aż do tej chwili, gdy go wtrącono do więzienia. Po odsiadywaniu niewinnem trzechletniej kary wypuszczono mię na wolność. O! jaki wtedy ze mnie był szaleniec! jaki nieszczęśliwy! Wprost z mego więzienia biegnąłem do Hanny: nie było jej, nie było już na świecie! Matka Hanny przyjęła mnie z płaczem i narzekaniem, żem winien śmierci jej córki. — Po co ci było obkradać pałac? na co kraść konia? — zawodziła łamiąc ręce. — Napróżno się zaklinałem i dowodziłem, żem nie winien. Baba nie wierzyła mi. — Idź! idź złodzieju! nie walaj stopami swemi mojej chaty!— mówiła do mnie ze wzgardą. Daremnie prosiłem, błagałem ją na kolanach, by mi pozwoliła uściskać choć syna, jedyny skarb, odziedziczony po Hannie. Była nieubłagana. Odszedłem —, serce moje toczył robak niewiary, w głowie wierciło okropnie, a do ucha szeptało mi coś: „Kobieta nie ma serca!“ Idąc przez wieś widziałem, jak matki wyprowadzały dzieci swoje, jak na mnie wskazywały palcem mówiąc: „Złodziej Stefan!“ Nim jeszcze minąłem wieś, cała gromada dzieci biegła za mną, rzucając na mnie kamieniami. Poszedłem na grób Hanny, i tam wypłakałem serdeczne moje żale, na jej grobie przysięgając wieczną zemstę hrabinie. Nim wieczór minął, całe obejście na folwarku gorzało jasnym płomieniem. Straszny ogień niszczył wszystko dokoła, pragnąłem bardzo żeby i pałac się spalił, ale czart sam bronił go, ugaszono ogień, a mnie schwytano... Przyznałem się od razu do zbrodni i znów siedziałem lat kilka ... Przez ten czas porobiłem znajomości z dzielnymi łotrami i wprawiłem się w sztuce.... a jednak nie byłem jeszcze tak bardzo zły, bo ujrzawszy się znowu wolnym, chciałem wrócić do pracy. Szukałem jej wszędzie kołacząc od drzwi do drzwi — wszędzie odepchnięto mnie ze wzgardą... „To podpalacz! złodziej! unikajcie go, dzieci!“— tak wołały gospodynie zamy-

kając przedemną wrota. Nie mogłem nigdzie dostać roboty i wałęsałem się bez celu po całych dniach.

— Ach! czemuż nie poszliście kilkanaście mil ztąd i tam nie stanęliście do obowiązku? — zawołała z żalem Łucja.

— Ha! trudno sercu kazać milczeć! — Kochałem syna i nie chciałem odejść ztąd i opuścić go... często go widywałem, jak z dziećmi się bawił, a gdy wyrósł, to codzień prawie rozmawiałem z nim. Dobry chłopczyna! płakał nad moją dolą i żądał żebym z nim szedł w świat daleki, lecz nie chciałem zezwolić na to, bo wtedy już ludzka krew plamiła moje ręce, chciwe rabunku.

Myślałem sobie: ludzie nie dawali mi wiary, kiedy jeszcze byłem niewinny, więc zostanę naprawdę występnym. Zresztą rabunki moje sprawiały mi wielką przyjemność, bo hrabina tak się lękała mnie, że nigdy już sama nie wychodziła na przechadzkę. Ja tymczasem w jej lasach dorobiłem się sławy tęgiego rabusia i zbója. W tymto czasie widziałem się powtórnie z moim synem, który wyrósł na pięknego młodziana i spostrzegłem, że również jak i ja nie cierpiał kobiet.

— Kobieta występna tobie, ojcze! wiele wyrządziła złego; dla tego oglądałem świat, aby się przekonać, czy wszystkie jednakowe i powziąłem przekonanie, że co tylko złego dzieje się na świecie, wszystkiemu zawsze winna kobieta.

Uściskałem syna serdecznie za te słowa:

— Pamiętaj synu! — mówiłem do niego, że w dzień ten, w którym zdanie swoje chciałbyś zmienić i zaślubić kobietę jakąś, przekleństwo moje spadłoby na ciebie!

Poczciwy chłopiec rozgniewał się prawie na mnie.

— O nie, ojcze! to być nie może! bo dobrych kobiet, takich jak moja matka była, nie ma na świecie, a córki szatana ja nie chcę. —

— Jakie stanowisko zajmuje wasz syn? i gdzie przebywa obecnie? — zapytała blada Łucja.

— Nie wiem, nie widziałem go później, albowiem zostałem schwycony i siedziałem pięć lat w kryminale a teraz miesiąc dopiero, jak mnie wypuścili.

Stary kozak bardzo się zmęczył opowiadaniem tem, gorączka poczęła wracać.

— O! jakbym ja chciał pójść do ciebie, Hanno! — szepnął stłumionym głosem.

— Kiedy tak kochacie swoją żonę, to nie powinno wam być trudne nawrócenie się do Boga, aby się połączyć z nią — rzekła dobrotliwie Łucja, patrząc z żalem na Stefana.

— Zapóźno! już zapóźno! ... — odparł stary z westchnieniem.

— Na żal za grzechy i poprawę nigdy nie jest zapóźno! Wspomnijcie o waszej cnotliwej żonie, o jej miłości i podnieście się z upadku. Ach! czemuż pamięć o niej nie strzegła was od złego, czemuż upadliście tak nisko? — rzekła Łucja z anielską dobrocią.

— Bo nikt do mnie nie odezwał się z takiemi słowami dobremi jak ty, pani, nie było nikogo dla mnie na świecie coby mnie kochał, a śmierć żony kazała mi pałać zemstą, która dotąd jeszcze nie wygasła w sercu mojem.

Stary Stefan zalał się łzami.

— Byłem nieszczęśliwy, miałem tylko jednego syna i tego mi nie dali, nauczyli go mną gardzić i bać się jako zbrodniarza i dla tego stałem się strasznym i nielitościwym dla ludzi, przemyśliwając jedynie nad zemstą. O pani! i wtedy nawet, jak mnie tu przynieśli, jakem zobaczył panią tak podobną do hrabiny, i wtedy w mej głowie powstała myśl zabicia ciebie, wówczas gdy w izbie zostaliśmy sami, a ja udałem że spię. Czemuż jednak ze słowami modlitwy stanęłaś u mego łoża? Czemu zmieniłaś mi ręcznik na głowie? Ach! pewnie Bóg cię natchnął, aby mnie zachować jeszcze od jednego grzechu, bo zawstydzony uchwyciłem rękę twą i okryłem ją pocałunkami.

Łucja spostrzegła że życie uchodzi z tego człowieka, pragnęła dzieło swe uwieńczyć skutkiem dobrym, przejęta jeszcze trwogą i litością rzekła więc do Stefana drżącym głosem:

— Ojcze Stefanie! ja poślę po księdza. — A w słowach jej brzmiała taka słodka prośba, taki urok był rozlany po ślicznej jej twarzyczce, że kozak

nie mógł się oprzeć jej prośbom, lecz wzrokiem czystym, jasnym, pełnym wdzięczności spoglądał na nią i rzekł głosem przytłumionym:

— Dobrze! będę się spowiadał, poszlij pani tylko po księdza.

Łucja wyszła uradowana jak nigdy jeszcze, czuła się tak szczęśliwą, że słów jej brakło do podziękowania Bogu za to wielkie dobrodziejstwo.

— Dzięki ci Boże, dzięki stokrotne! powtarzała ciągle, spiesząc na probostwo po księdza. Sama chciała ona staremu słudze oddać ostatnią przysługę za krzywdy, które mu wyrządziła była jej babka.

W kilka godzin później Stefan wyspowiadawszy się i przyjąwszy przenajświętszy sakrament usnął snem spokojnym, Łucja zaś z pismem świętem czuwała u jego łoża. W tem otworzył Stefan nagle oczy, rumieńce mocne zafarbowały blade jego policzki, a cała twarz przybrała radośny wyraz. Przy długich, białych włosach wyglądał tak pięknie, tak poważnie, a błękitne jego oko było tak rozpromienione, że Łucja ze zdumieniem wpatrywała się w niego.

Spostrzegł to i uśmiechnął się pierwszy raz po latach wielu.

— Śniła mi się Hanna, prosiła bym przyszedł do niej, rzekł głosem dźwięcznym. Tak spałem smacznie i śniłem tak cudownie, że teraz wierzę, iż mogę umrzeć z wiarą w miłosierdzie Boże! Tylko ciebie pragnę jeszcze pożegnać, panno Łucjo! i prosić cię, abyś mi raczyła wyświadczyć jeszcze jedną łaskę.

— O! mówcie! mówcie! wszystko zrobię dla was! — zawołała Łucja żywo, proszę was, ojcze Stefanie! nie odciągajcie się z waszą prośbą!

— Ojcze? Jaka ty dobra, że mnie tak nazywasz: to przypomina mi syna mego, moje jedyne dziecię! — zawołał rozczulony Stefan. O nim chciałem też mówić z tobą. O! bądź tak dobrą i po mojej śmierci odszukaj go... umieram z ciężkim wyrzutem na sumieniu, że zatrułem mu życie moją niedolą, mojem zaś przekleństwem zabroniłem mu wejść w stan małżeński. Chciałbym to złe naprawić — gdy więc umrę, powiedz mu pani, że błogosławię jego związkowi, je-

żeli chce poślubić kobietę zacną. Ach! czemuż nie mogę go jeszcze choć raz widzieć przede zgonem!

I gorzkie łzy spływały mu po twarzy, a głośne szlochanie rozchodziło się po izbie.

— Jak się wasz syn nazywał, ojcze Stefanie? — zapytała Łucja, a serce jej biło silnie. Lecz nagłe pojawienie się dozorcy przerwało jej pytanie.

— Proszę Wielmożnej Panienki, jakiś wojskowy chce sobie kamień kupić na pomnik dla matki i chciałby z panią pomówić — rzekł dozorca stojąc we drzwiach.

Łucja odwróciła się niecierpliwie. Ona która zazwyczaj wszystkiem zajmowała się sama, teraz pragnęła pokoju. —

— Nie mam czasu, możecie sami dać temu panu kamienia ile tylko zechce, lecz bezpłatnie; na pomniki nie sprzedaję...

Jeszcze dozorca nie miał czasu cofnąć się, gdy go ów wojskowy odtrącił ode drzwi i wleciał do pokoju jak strzała.

-- Aniele mój, Łucjo najdroższa! głos twój zdradził cię. Nie mogłem dłużej czekać na twoje pozwolenie.

I Rafał rzucił się przed nią na kolana.

— Rafale! — zawołała Łucja, tyś mnie odszukał?

— O nie! ja chciałem tylko odwidzieć grób mojej matki i porozumieć się z dziedziczką o postawienie pomnika, tą drogą nas znowu Bóg skojarzył. Najdroższa! jak ja ciebie kocham — wołał młody oficer z uniesieniem.

W tem głuchy jęk doszedł ich.

— Mój syn! — zawołał Stefan, i zakrył twarz rękami.

— Ojciec mój tutaj, Łucjo? ach! ja nieszczęśliwy!

Stefan podniósł się o własnych siłach na łóżku i patrzył z upodobaniem na pomieszanie młodej pary.

— Znacie się — rzekł z uśmiechem, i kochacie się. Niech wam Bóg błogosławi!

— Ojcze! przebacz! nie mogłem jej nie kochać, ona taka dobra!

— Wiem o tem: ona pojednała mnie z Bogiem, ona umiliła mi ostatnie moje chwile — odparł wzruszony Stefan.

Łucja klękła z Rafałem u łóżka Stefana, który wyciągnął ręce błogosławiąc im.

— Synu mój! niech ci Bóg da szczęście, pamiętaj nigdy nie sądzić za jednego wszystkich, niech w twojem sercu zamieszka litość i pobłażanie dla błędów ludzkich, niech zamiast przekleństwa modlitwa z ust twoich płynie za krzywdzących cię. Pamiętaj, Rafale! że kobieta cnotliwa stanowi prawdziwe szczęście męża na tym świecie. Umieram spokojnie, bo widzę cię obok prawdziwego anioła ziemskiego. A ty, Łucjo, córko moja! módl się za duszę grzesznika, niech w sercu twojem nigdy nie wygaśnie uczucie miłości, młode dziewczątka ucz kochać prawdziwie, ucz ich że tylko dobre uczynki wiążą trwale dwoje szlachetnych dusz, jak macie przykład na sobie. Naucz ich także, moja Łucjo droga! że kobieta może wiele dobrego zdziałać cierpliwością, bo miłość prędzej czy później zawsze zwycięża. Lecz może ty nie kochasz już Rafała za to, że ma takiego ojca? powiedz szczerze.

— Kocham go, ojcze! odparła Łucja z uczuciem całując ręce starca.

— O moja jedyna! dzięki ci za te słowa — szepnął Rafał, a łzy obfite puściły mu się z ócz.... On już umiera — dodał z przestrachem, patrząc na ojca.

— Bądź mężny, Rafale! Bóg czuwa nad nami, i jego przyjmie do swojej chwały, miejmy nadzieję w miłosierdzie Jego.

I oboje odmówili modlitwę za duszę Stefana, która uleciała już w lepsze krainy.

KONIEC.

Dnia 10. Marca 1881.

# Smok na Wawelu.

Skazka ludowa [1])

(W przeroczy Mazowieckiéj)

przez

*Nárbrzana Bętkowskiego.*

---

„Słyście - no - wy, Tatusiu, — Cóz - wy o tym smoku
„Wiécie, jak - to tam drzewiéj nasi na rok z roku
„Starsi młodszym prawili, jaz já wsegdy myślę
„Jak - to smok, tam 'dzie Wawel, byw na nasé́j
Wiśle.“
Tak, chcąc słyszeć podrostek co z ust starca padnie
Coś z dziedziny zamierzchłéj, ojca raz zagadnie;
Ojcu jasny wesela promień z oka strzeli,
I w te słowa swéj dziatwie wiedzy swej udzieli:

— „Oj, toć dáwne juz casy — tak-to mój, siwizna
Dziadek prawi, bywało, — święta ojcowizna
Cudne rzeczy miéwała, acz nie wsegdy święte,
Dáj mu swoje tam, Panie, światło niepojęte,
Mnie téz, choćiá juz śronem wiek przyprósył głowę,
Pomnę jednak, jak dzisiá, wszytkę jego mowę.
Jáz był małym owegdy, ot tak wam skotakiem [2])
Plotę kapluch ze słomy, w bławát stroję z makiem,

---

[1]) podsłuchana u ludu.
[2]) pastuszkiem od bydła,

Na ojcowskim odłogu krasą trzódkę pasam,
Za gniazdami po lesie, za sojkami hasam,
Zimie zaś pod kądzielą Tatuś jak zasiędą,
Dziatwa w koło, — i przędą, — oni, nuz z gawędą:

— W miejscu, gdzie sumná Wisła zginá swe kolano,
Jest tam wąwel; (a drzewiéj „wawel“ [1]) powiadano),
Nad tym wąwlem byw zamek, takoz tak nazwany, —
Ongiś z drzewa, a z casem łepsko zmurowany,
Podle, rozlégł się szary Kraków z niźniéj strony
Walny gród, co się zowie, gdzie krákały wrony,
No, bo juz-ći tyśiącne wron tam były stada
Gdzie gród wieńcem otoczon z lasów wstał nielada,
Wisła, była nie taká, co się ledwie wlece,
Ale, jakbyś ją zbácył, zdumiałbyś się cłece.
Dziś, to jak na lékarstwo jacéj Wisła płynie,
Ale ongi hulała z hukiem po dolinie,
Z tąd się parła wądołem [2]), idąc w Bełt, do morza.
Z jasnych jezior az z Gopłem wiążąc się w przestworza.
Awóz nizéj tam zamku była smoca jama,
I dziś ją pokazują — jakoć-to ta sama,
W téj-to jamie strasecny smok wám miał siedlisko,
A to takie okrutne było to gadzisko
Iz pochłaniał dobytek w całéj okolicy
Zywcem wsytko, tak ze śiół, jako i stolicy,
Jaki - taki, gdzie w chacie siedział, cy w zagrodzie,
Cy na roli — gnać musiał zér bestyi w wodźie,
Małoć było mu trzody, w ludziach zasmakował,
I juz rady nie było, nikt się nie uchował,
A niescęsne na ludek takie było parcie,
Ze i młodziez z kolei sła mu na pozarcie,
Bo jak nie, — to wypádá w któréj chciał godzinie,

---

[1]) z czeska: Wawel — głębia, głębina, inaczej: bania, banior z fr. podobizną le bain, (kąpiel) se baigner, (kąpać się.)

[2]) U Rzymian też była zwana wprzód niż „Visula, Vistula, Istula, Histula“ — imieniem „Vandalus.“ Wądoł, w staropolskim jest to, co dziś nazywamy korytem rzéczném, wąskim padołem.

Krwawą pascą połykać biédny lud w krainie.
Sám zaś skórsko tak twarde z łuscką miał na sobie,
Ze juz darmo-tam myślić było o sposobie,
Łuk, cięciwa, zbrój jasná, bułat strasny skutkiem,
To nań było, jakbyś chciał pozbyć się go scutkiem,
Smok ślachetnych obrońców luda i narodu,
Ślépie swe roziskrzywsy, łyká bez zachodu.

Tak to trwało, az przysła cięzká biada taká
Ot, na człeka, co miał dać syna jedynáka,
A byw-ći to roztropny, jakich wsegdy mało,
Temu, syna dać pozréć, az się serce rwało;
Kiedy przysła nań koléj krwawy dać podátek,
— Jáz-tu, rzece, ukrócę zál lechickich matek,
I niescęścia ukrócę w smoka tym zapędzie,
Abo zginąć samemu zál nie wielki będzie.
— Bierze cielę, zabijá; w skórę tká zarzewie
I przyrządzá, by w smocém nie ugasło trzewie,
A co mędrsi, to potém ludzie powiadali,
Ze snać taki znáł sposób, co się w wodzie páli.
Sporządziwsy juz wsytko, bácne miał staranie,
Podać bestyi smokowi zácne to śniádanie.
Jakoz, zaniéść ponętę smyślnie się udało,
I samemu za skałą ukryć siebie cało.
Smok, zbácywsy przekąskę, kiej wytrzéscy ocy,
Krwawym ślépiem[1]) zatoczy, jak na cielę skocy, —
Ta i połknął do diábła! — z pascy mu się kurzy,
Wewnątrz żgaga[2]) go páli. żár mu trzewska burzy,
Zionie — buchá dym z niego; ogień wnętrze trawi,
Kiej nie wyskocy z jamy, ta się w Wiśle spławi,
Chlepnie wody na Wiśle, az dno zaświtało!
A po chwili — spłynęło mártwe smoce ciało.

Cóż za radość powstała w Białych Chrobat[3]) ziemi!
— Kmieciu, rzeką, Krakosie, chodźcic rządzić swemi;

---

[1]) ślépeć, = oko w pogardliwém znaczeniu; ślépie = oczy, [2]) żédz = palić, piéc; żgaga = opał wewnętrzny. [3]) horb, gárb, = góra, wzgórze, (horby, garby, = góry, wzgórza). Horbaty, Chrobaty (przerzut głoski r, i dalsze posunięcie gar-

Tak go naród uwielbiał, tak na rękach nosił,
Ojcem ludu mianował, i stér wziąć uprosił.

*

Wielcy dziejów badacze! — Znacież język ludu — —
Mogąc w dziejów przepaści czytać dziś bez tru-
du — —?
Czy wy, za baśń to mając, co podanie kryje,
Wiécie, że lat tysiące prawda tylko żyje,
Która, gdyby nie w baśni, jak iskierka w pyle,
Dawno byłaby zgasła, w swéj istoty sile.

---

# SKARGA KARŁÓW

(z niemieckiego swego oryginału przełożył
na język polski autor).

---

Jakież głosy to ciche, stłumione,
Niby jęk dolatują tam z ziemi?
Karłów plemię to niskie, wzgardzone,
Ciszę głosy przerywa swojemi.
Z wnętrza ziemi ich wspólne starania
Drogi kruszcz zdobywają do słońca,
A wsród stuku, wśród młotów pukania
Pieśń boleści brzmi, z serca płynąca:
„Popod ziemię, w zwaliska i jary,
W których życia blask słońca nie budzi,
Ród się krył, niegdyś sławny i stary,
Rodem karłów przezwany przez ludzi.
„Nas nienawiść olbrzymów zmusiła,
Już za życia w grobowcy zejść ciemne;

---

**dłowéj głoski h na niższy stopień: ch; = Horwaty, Kroaty (h: k) znaczy mieszkańców górskich, podgórskich, Góralów, Podhalan, etc.**

By ich władza najwyższa zdobiła,
W lochy ujść my musieli podziemne.
„Bo dłoń karłów potężnie i silnie
Nieprzyjaciół zwycięży przeklętych;
Więc i ku nam zwróciła się pilnie
Baczność wrogów, olbrzymów zawziętych.
„A przecież ni śmierć, ni głód,
Ni rozkazy nas straszą niczyje.
Wy sądzili, że zginął lud?
Nie! lud karłów nie wymarł, on żyje!
„Wznieście młoty do góry! do góry!
Do roboty nam spieszno i pilno!
Często klejnot karzełek ponury
Tworzył dłonią swą zgrabną i silną.
„W baśni ludu wspaniale odżyła
Pamięć karłów: jej rozgłos potężny;
Karła dłoń nawet czapkę uszyła,
Z której słynął wśród walk Zygfryd mężny.
„Mężny lud nasz i wierny i śmiały,
Nigdy słowa na próżno nie dawał:
Nibelungów on skarbiec wspaniały
W pieczy karłów przezornych zostawał.
„I trzyma się karłów ród,
Dopóki serce w Niflheimie bije.
Wy sądzili, że zginął lud?
Nie! lud karłów nie wymarł, on żyje!
„Nuż! do dzieła, do pracy ochoczej!
Myśli nasze i dłonie wszak wolne!
Kiedy zmoże zesłabłe sen oczy,
Wtenczas nasze przeniknąć noc zdolne.
„Nas nienawiść olbrzymów zmusiła,
Już za życia w grobowcy zejść ciemne;
By ich władza najwyższa zdobiła,
W lochy ujść my musieli podziemne;
„Lecz i tak się olbrzymów nie boim:
Każden z nas tu jest królem i panem,
I potężnie i silnie tu stoim,
Nam nie zblednąć przed żadnym tyranem!
„Tam ogień bucha już z hut,
Walmy młotem w ogniste te żmije.
Wy sądzili, że zginął lud?
Nie! lud karłów nie wymarł, on żyje!

„Dłoń olbrzymów do boju niechętną,
Karła ręka przemogła i siła!
By zwyciężyć moc karłów im wstrętną,
Bogów pomoc potrzebną im była.
„Zwyciężonych strącili tam na dno,
Pogrążyli ich w smutku, w żałobie,
Gdzie się słońca promienie nie wkradną,
Gdzie noc wieczna panuje jak w grobie.
„Ale wolność i do nas zagości,
Tchnienie silne jej karzeł już czuje,
Pierś rozpiera mu żądza wolności,
Ona karłom zbawienie zwiastuje.
„Jak złota zorza jej wschód!
Przed jej blaskiem się nic nie ukryje!
Wy sądzili, że zginął lud?
Nie! lud karłów nie wymarł, on żyje!"

(Sambor, 2. listopada 1881).

*G. Kohn.*

---

# WSPOMNIENIE
# dwóch weteranów z Drezna

przez

*Agatona Gillera.*

---

## I.

## Jan Nepomucen Bobrowicz.

Nazwisko Bobrowicza jest dobrze znanem jako jednego z najczynniejszych wydawców książek polskich w epoce pomiędzy 1831 a 1850 rokiem.

Pracując jako sekretarz senatu Rzeczypospolitej Krakowskiej, oddawał się z zamiłowaniem bibliografii zwłaszcza polskiej. Prace jego urzędowe i literackie przerwało powstanie listopadowe.

Jako dobry Polak zrozumiał, iż obowiązkiem jego w tej chwili była walka o oswobodzenie Ojczyzny. Porzucił więc spokojny a zaszczytny urząd Sekretarza Senatu wolnego miasta Krakowa i stanął w szeregach narodowych. Służąc w artyleryi konnej, na polach bitew awansował z prostego żołnierza na oficera. Za waleczność otrzymał srebrny krzyż Virtuti militari; następnie zaś za nowe odznaczenie się w bitwie ozdobiono mu piersi złotym, oficerskim krzyżem zasługi.

Po upadku powstania, nie mogąc powrócić na dawny urząd i mając sobie przez opiekunów Rzeczypospolitej utrudniony pobyt w Krakowie, udać się musiał na emigracyę. Nie pociągnął jednak za innymi do Francyi lecz pozostał w Saksonii, związanej niegdyś z Polską przez wspólną dynastyę. Obrał zaś Lipsk za miejsce swojego zamieszkania jako punkt wielce dogodny do wydawnictwa dzieł literackich, które odtąd stać się miało jego zawodem i sposobem pożytecznej a pożądanej dla narodu służby.

Ucisk jaki w kraju zapanował, nie sprzyjał rozwojowi literatury i wydawnictwa. Polacy musieli tworzyć za granicą ogniska literackie. Bobrowicz utworzył jedno w Lipsku. Promienie światła rozchodziły się z niego na kraj cały. Była to praca księgarska lecz przytem obywatelska i patryotyczna, przyczyniała się bowiem niemało obok innych tegoż rodzaju przedsięwzięć do podniesienia ruchu umysłowego w Polsce, któremu ucisk najezdzców groził stagnacyą.

Praktyczny i ruchliwy Bobrowicz pozawiązywał stosunki z lipskimi wydawcami Brockhausem, Breitkopfem i Haertlem i rozpoczął wydawnictwo *„Biblioteki kieszonkowej Klasyków Polskich“*, w której przedrukował najznakomitszych pisarzy XVI., XVII. i XVIII. wieku, dodając od siebie krótką o każdym biograficzną wiadomość. Małe tomiki tej biblioteki przepuszczone przez srogą ówczesną cenzurę moskiewską, pruską i austryacką, rozchodziły się drogami niemieckiego handlu księgarskiego w licznych egzemplarzach po całej Pol-

sce i ułatwiały młodemu pokoleniu zaznajamianie się z dawnymi pisarzami, których dzieła były ogółowi niedostępne z powodu zupełnego wyczerpania dawnych edycyi z handlu. Chociaż więc wydawnictwo klasyków opłaciło się dobrze, niemałą ma Bobrowicz zasługę w spopularyzowaniu ich dzieł a tem samem w utrzymaniu żywego wpływu myśli ojców naszych na dalszy rozwój polskiej literatury.

Nie możemy tu wyliczać wszystkich książek, które Bobrowicz przedrukował lub wydał po raz pierwszy. Wspomnieć jednak musimy nowe wydanie *Herbarza Niesieckiego* rozszerzonego przez samegoż wydawcę. W tem wydaniu jest wiele jego pracy własnej autorskiej, która Bobrowicza postawiła w rzędzie heraldyków polskich. Zarzucają jej niedokładność wynikłą z braku krytyki. Być może i niezawodnie tak jest, że w dodatkach Bobrowicza mieści się błąd niejeden, — lecz ponieważ jest w nich niemało nowego materjału z wielką skrzętnością nagromadzonego, z którego krytycznie korzystać można, jesteśmy zdania, iż zasługi Bobrowicza dla polskiej heraldyki powinny być uznane. —

Obliczają, że Bobrowicz w ciągu swojego edytorskiego na emigracyi zawodu, wydał razem 300 tomów. Piękna to liczba, niewątpliwie też Bobrowicz jako wydawca trwałe sobie wyrobił imię w naszej literaturze.

„Dom jego w Lipsku, pisze „Gazeta Narodowa“ (Nr. 255 z r. 1881) słynął z gościnności. Nawiedzali go często i licznie rodacy. Bywali u niego gośćmi książę Adam Czartoryski z synami, jenerał Dezydery Chłapowski, hr. Tytus Działyński, kasztelan Franciszek Wężyk, wojewoda Wodzyński i inni. W wolnych chwilach oddawał się muzyce a lubo instrumentem jego była tylko gitara, doprowadził grę na niej do takiego artyzmu, że zapraszali go chętnie do udziału w swoich koncertach Mendelsohn, śpiewaczka Schroeder — Devrient i Jenny Lind, Liszt zaś w pismach swoich nazwał go „Szopenem na gitarze.“

Nie był jednak tyle sławnym gitarzystą, ile inny wojownik z 1831 r. Stanisław Szczepanowski, który koncertami swoimi we wszystkich większych miastach Europy, nawet w Hiszpanii, tej ojczyźnie gitary, budził

zapał i podziwienie w słuchaczach. Dla Bobrowicza gitara była tylko rozrywką, wytchnieniem po pracy, — grą na niej uprzyjemniał pobyt odwiedzających go rodaków, publicznie zaś grywał tylko w Lipsku, uproszony do współudziału w koncertach.

Bobrowicz dorobił się na wydawnictwie dość znacznego majątku, lecz go później w skutek niepowodzeń i nieszczęść utracił. Z resztką wystarczającą zaledwo na utrzymanie, przeniósł się do Drezna, gdzie wiódł życie w odosobnieniu, zapomniany przez dawnych znajomych.

Umarł 2. Listopada 1881 r. w 80. roku swojego życia. Pochowanym został na cmentarzu katolickim w Dreznie, na którym wznoszą się liczne groby zasłużonych Polsce mężów."

## II.

## Łucyan Stefan Weyssenhof.

Weyssenhofów rodzina pochodzi z Inflant od kawalerów mieczowych, podobnie jak Tyzenhauzy, Molowie, Platerowie i wiele innych. Wszystkie odznaczały się polskim patryotyzmem i dotąd służą wedle możności Ojczyźnie. Stryj Łucyana walczył za Napoleona I. i w roku 1831. Był on jenerałem dywizyi 6tej armii polskiej.

Młody Łucyan po wybuchu powstania na Litwie w 1831 r. podniósł oręż i w oddziale ochotników ucierał się z Moskalami po lasach. Po wkroczeniu do Litwy korpusu jenerała Giełguda i połączeniu się z nim powstańców, Weyssenhof wstąpił do regularnego wojska polskiego i jako adjutant jenerała Dembińskiego odznaczył się męztwem, poświęceniem i wielką czynnością w sławnym odwrocie z pod Szaweł do Warszawy.

Na emigracyi pierwsze lata spędził w Paryżu, gdzie oddawał się muzyce. Później zamieszkał w Rzymie i pracował tam jako malarz. Obrazy jego dobrze komponowane, w wykonaniu są mniej znakomite. Jeden z jego obrazów znajduje się w kaplicy w Rokosowie, dobrach księcia Romana Czartoryskiego w Poznańskiem. W Rzymie był nieodstępnym towarzyszem Zy-

gmunta Krasińskiego, z którym go łączył serdecznej przyjaźni stosunek.

Po wypowiedzeniu przez Karola Alberta wojny Austryi w 1848 wstąpił Weyssenhof do wojska piemonckiego, ażeby zwalczać jedno z rozbiorowych mocarstw, uciskające podówczas Polskę w sposób bezwzględny. Odbył nieszczęśliwą kampanję pod dowództwem jenerała Bara, która się zakończyła przegraną pod Medyolanem, drugą również nieszczęśliwą pod dowództwem jenerała Chrzanowskiego, która się zakończyła przegraną pod Novarą. Będąc ciężko rannym, leczył się w Turynie. Panna Freiesleben, saksonka, którą poznał w Dreznie, gdy się udawał na wychodztwo, dowiedziawszy się o jego chorobie, przybyła do Turyna, aby go pielęgnować. Wdzięczny za okazaną troskliwość która z miłości płynęła, ożenił się z nią i wziąwszy dymisyą z wojska piemonckiego po podpisaniu traktatu pokoju z Austryą przez Wiktora Emanuela, przybył z żoną do Drezna. Tutaj spędził resztę swojego życia trudniąc się muzyką i malarstwem. — Pod koniec życia swego, malarstwo z powodu osłabionego wzroku zarzucił i już wyłącznie zajmował się muzyką na skrzypcach z biegłością artysty w muzycznych zebraniach i na koncertach kwartetowych. Miał syna, który jest obecnie inżynierem w Saksonii i słynie jako zdolny i doświadczony w swoim zawodzie. W roku 1879 umarła mu żona, sam zaś Weyssenhof zakończył życie w Dreznie dnia 18. Października w 1881 roku przeżywszy lat 75.

Prawość jego charakteru, godność w postępowaniu, uprzejmość w pożyciu i wykształcenie, zjednały mu poważanie u rodaków i u obcych. Żył w przyjaźni z jenerałem Dembińskim, Aleksandrem Potockim, Zygmuntem Krasińskim i Augustem Cieszkowskim.

Pan Stanisław Koźmian, prezes Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Poznaniu, w krótkiem wspomnieniu, wydrukowanem w jednem z pism poznańskich, nazywa Weyssenhofa powiernikiem zaufanym wielkiego poety Przedświtu. „Zacny ten, pisze on, zdolny i pełen poświęcenia rodak, znalazł w swem życiu niejednę sposobność oddania Zygmuntowi ważnych przysług. Mieszkając czas dłuższy w Rzymie ułatwiał przybywa-

jącemu tylekroć poecie do miasta wiecznego, poznanie nieprzeliczonych onego skarbów i pamiątek, uprzyjemniał mu pobyt, odbywał z nim nocne zazwyczaj przechadzki po ruinach, bywał powiernikiem pierwszych jego tam marzeń i natchnień, — zgoła, jeśli pragniemy sobie wyobrazić autora „Irydiona,“ „Trzech myśli,“ „Romy“ i tylu innych utworów, w których pozierając na zwaliska starożytnego Rzymu wieszczy, że

„Jak z tych katakumb, co leżą pod spodem,
Krzyż wzbił się zwycięzko,
Zwycięzkim z grobu wyjdziemy pochodem
Nieśmiertelni klęską“ . . .

jeśli, mówimy, pragnie kto uwydatnić sobie Zygmunta wstępującego na schody kapitolińskie i kroczącego przy świetle księżyca po forum i koloseum, ten winien wystawić go sobie wspartym na ramieniu tego, którego on tak poufale i kochająco zwał zawsze *Castelbianco*. I później jeszcze, opuściwszy Rzym a osiadłszy w Dreznie Weyssenhof często przejeżdżającemu przez to miasto towarzyszowi bywał nie mniej użytecznym. Krzątał się około jego interesów, przechowywał jego papiery, był pośrednikiem między nim a jego licznymi po całej Europie rozprószonymi przyjaciołmi.“

---

# KRZYŻYK.

Dar drogiej Matki, od dni dziecinnych
Na piersi krzyżem połyska;
On mnie umacniał w latach niewinnych,
Dziś krzepi gdy ból uciska.
Z ruin przeszłości, z wszystkich pamiątek,
Ten krzyżyk tylko ocalał,
I jak relikwija, ów drogi szczątek
Strzeże, bym piersi nie skalał. . . .
A w dni niedoli straszne, tułacze,
Gdy boleść serce opasze,
Gdy już mi ulgi nie dają płacze,
Krzyżykiem ognie jej gaszę.
A w dni niedoli straszne, tułacze,
Gdy ciosy padają chmarą,
Krzyżyk rozpędza ciemne rozpacze
Kochanej Matki mej wiarą!

*Stefan z Opatówka.*

# Nemezis u studni.

FRASZKA
Władysława Tarnowskiego.

Z gór zstępowałem o zachodzie słońca,
Wodospad grzmiał pod festonami lasów
Rzuconych po skał szczytach; — gdzieś od końca
Doliny flet się odzywał — jak czasów

Przeszłych wspomnienie . . . . wśród duszy marzącej —
A echo jego konało wśród gór,
I coraz bliżej mu towarzyszący
Gdzieś w dali dzwonków pobrzękiwał chór! . . .
Lecz towarzyszy całodzienne żarty
Tak były sporne z cudami natury,
Że poprzysiągłem sam odwiedzać góry, —
A jak dojrzycie na końcu tej karty
Pomściła mnie tam prześliczna dziewczyna —
Niebita w ciemię, choć zrazu nieśmiała.
Kiedy u wiadra mozolnie się zgina,
A zgraja pusta na fundusz ją brała,
Rzekłem: „daj wody nam śliczna dziewczyno,
Bom jest spragniony z całą mą drużyną.“
Rzekła z patosem Rebeki bez mała:
„Nie tylko ciebie pielgrzymie! napoję,
Ale . . . i osły twoje.“

---

# Już włos siwy!

Już włos siwy! O mój Boże!
Tak to późno już,
Że mi życie dać nie może
Żadnych więcej róż!
Żadnych więcej! Ha — daremnie
Już o szczęściu śnić,
Kiedy w kruczych zwojach — srebrny
Włos zaczyna lśnić!
Już zapóźno! — Szkoda przecie
Młodocianych lat,
I tych marzeń, co jak kwiecie
Wiatr gdzieś rozwiał w świat!
I sny moje złote — cudne
Rozprysły gdzieś w mgle;
Dziś nie gonię mary złudnej,
Więc nić życia rwę . . .

Już włos siwy! dzięki Boże!
Przecież koniec już!
W krótce śmierć mi w grób już może
Rzuci kilka róż! —

*Marja Gr.*

---

# TRZECI KRZYŻ.

## SYLWETKA.

---

Była sama. — Ledwo świt ranny spłonął — już modlitwą witała cmentarne dwa krzyże — ojca i matuli. — Przy pracy śpiewała, po pracy marzyła. Gdy wieczornica otuliła ziemię, strumyk przedziwne szeptał jej powieści. Ona słuchała. Gwiazdki promykami cudowne układały obrazki. Ona patrzyła. A gdy powieści strumyka z obrazkami gwiazdek coraz bardziej mięszać i plątać się zaczęły — westchnęła do Anioła — Stróża swego — i usnęła. —

Tak żyła. —

On przyszedł — ona śpiewać przestała. — Dumała przy pracy, tęskniła z wieczora — a gwiazdki i strumyk o nim wciąż bajały. —

Przyszedł — i serce mu dała. Odszedł — i serce wziął z sobą.

I już nie marzenia witała z wieczora, jeno tęsknicę.

I wkrótce krzyż trzeci wzniósł się między dwoma, bo ona umarła, — z tęsknoty umarła. —

Ponoś po latach dumał pod krzyżami jakiś podróżny, i płakał, gdy wieśniacy o dziwnej mu dziewczynie opowiadali. Ale czy to on był? tego nie wiem pewnie.

*Ida Teibels.*

We Lwowie, dnia 14. grudnia 1881.

---

# Przy kołowrotku.

Pieśń.

Prządź się lenku, prządź się złoty;
Prządź się, prządź! o! prządź się, prządź!
Jako długie dni tęsknoty,
Długim bądź, o! długim bądź!
    Jako promyk ślicznej tęczy,
    Racz się wić, o! racz się wić!
    I ten ból, co serce męczy,
    Wyprządź w nić, o! w złotą nić!
Z nitki złotej będzie stuła . . . . .
Klecho dzwoń, o! graj i dzwoń!
Śmieszka jestem bardzo czuła . . . .
Księże wiąż, o! z dłonią dłoń.

*Stefan z Opatówka.*

# My i Oni.

Oni w imieniu siły swej poziomej,
A My w imieniu Wszechmocnego Boga,
Co w ręku trzyma Swem zniszczenia gromy,
Przed którym wieczny idzie strach i trwoga.
    Oni w imieniu wiedzy swej fałszywej,
    Która jak błędny ognik świeci w drodze,
    A My w imieniu Miłości prawdziwej.
    Nieustającej, choć zdradzonej srodze.
Kiedyż ustaną te rozsterki wieczne?
Kiedyż usiędzie prawda na swym tronie,
By raz na zawsze zmilkły zdania sprzeczne,
By się złączyli w jedność My i Oni?

Lwów, 25. Września 1877.

*G. Kohn*

# Trzy godziny jazdy koleją.

OBRAZEK Z' ŻYCIA

przez

*Maryą Grochowalskę.*

---

Było to w jednem z większych miast prowincjonalnych Galicji. Jak się to miasto nazywało, mniejsza o to. Dość, gdy się dowiemy, że było położone w bardzo pięknej okolicy, że przez sam środek prawie płynęła szeroka rzeka, po której szybie kryształowej sunęły lekkie łódki, strojne w najpiękniejszą po żywym kwiecie młodzież płci obojej, a do dźwięcznego śpiewu ich dołączała się rzewna melodja fujarki, na której przygrywał góral płynący na tratwie, szukając w tem przynajmniej ulgi dla stęsknionej piersi.

Było to w drugiej połowie Czerwca r. 1880. Czyste fale rzeczne trącały o podwaliny aż trzech mostów, w niedalekiej od siebie odległości się znajdujących. I zaprawdę! cudny był widok, który w tej chwili podziwiali liczni zgromadzeni na jednym z mostów gości! Wśród jaskrawo zachodzącego słońca wspaniale rysowały się ruiny starego zamczyska, z lekkim wiaterkiem uroczo kołysały się przejrzyste zasłony kapelusików kobiet, echo odbijało i piosnkę wesołą i śmiech srebrzysty, a zachodzące promienie odbłyskiem złotego światła ślizgały się po świecących pałaszach bohaterów wojskowych, którzy tłumnie przechadzali się po moście, rzucając wymowne spojrzenia w stronę, gdzie niejedno serduszko gwałtowniej uderzyło pod lekką sukienką, zetknąwszy się ze wzrokiem tego, o którym w cichej marzyło zadumie. Co chwila słychać było plusk kąpiących się, których głowy jak nimf wodnych

wyglądały na powierzchni wody, w oddaleniu niekrępowane zupełnie zuchwałemi spojrzeniami przechodniów. Naraz gwar wesołych rozmów w większych i mniejszych kółkach przerwał najprzód szum a później syk lokomotywy, która przodując licznym wagonom, świecąc dwiema ognistemi paszczami wjechawszy na jeden z mostów i zwolniwszy cokolwiek biegu, zbliżała się majestatycznie, sypiąc iskrami i ciągnąc słup dymu za sobą do dworca kolei, położonego także wśród miasta prawie. Porzućmy więc i my, choć z żalem widok świetny i towarzystwo, w którem niejeden ciekawy punkt by nas uderzył, a zbliżmy się tam, gdzie dąży dzisiejszy mocarz świata, dla którego nie ma ani czasu, ani przestrzeni, który parą wyprzedza myśl nawet naszą.

Tłumno i rojno na dworcu kolejowym! Po peronie przechadza się mnóstwo osób. Jedni z podróżnemi torebkami oczekują pociągu, by się w zamierzoną udać podróż, inni oczekują kogoś z niecierpliwością, a najwięcej takich podobno, którzy szukają w tym zgiełku urozmaicenia życia jednostajnego. To też dodawszy do tego nieodłączny u nas zastęp braci izraelitów i ich chropowaty szwargot — taki ścisk i gwar panuje tam w tej chwili, że nie tylko trudno się docisnąć, ale nawet zrozumieć rozmawiających ze sobą. Pomiędzy wielu innymi przechadza się samotnie młody człowiek o wyrazistych rysach i eleganckiej powierzchowności. Może mieć lat najwyżej 30, słuszny szatyn o ciemnych oczach z ładnym wąsikiem i bokobrodami. Ubranie jego gustowne i elegancka torebka świadczą o zamierzonej podróży. Nudzić go zapewne musi oczekiwanie, gdyż założył szkiełko na oko i ziewnąwszy rozpoczął przegląd zebranego towarzystwa, na które dotąd prawie nie zwracał uwagi. Ale zdaje się prawie, że nieznajomy nasz pozbawionym był zmysłu estetycznego. Wzrokiem bowiem grzesznej obojętności patrzył na wdzięczne grono zebranych panien, mężatek i wdówek, na zarumienione twarzyczki pensjonarek i wyzywające oczka nauczycielek. Skończywszy niemy przegląd, niezadowolony otworzył usta do powtórnego ziewnięcia, gdy w drzwiach wchodowych stanął młody mężczyzna i jednym rzutem oka objąwszy

całe zgromadzenie, dostrzegł ziewającego i szybko zbliżył się doń, podając mu rękę.

— A! i ty tu! — zawołał półgłosem — zapewne jedziesz do Lwowa?

— Jadę — odrzekł zapytany, odwzajemniając uścisk dłoni.

— Na długo?

— Najdłużej na dwa dni. Dobrze, żeś przyszedł, Karolu, czekam już cały kwandrans i nudzę się śmiertelnie.

— Wybredny jesteś, mój Wacławie! Spojrz tylko na około, jaki pyszny wianek pięknych twarzyczek cię otacza. Doprawdy! taki tylko profan jak ty, patrząc w tyle ślicznych oczek, może się użalać na nudy.

— A dajże mi pokój, nie dla mnie już ptasząt śpiewy, przyznam ci się, że wszystko mnie nudzi a najbardziej kobiety. Znając dziesięć, znasz je wszystkie; podobniusieńkie do siebie, jak dwie krople wody.

— No a jakże tam stosunek twój z panną Różą? Słyszałem, lecz nie chcę wierzyć, że zerwany — zapytał Karol.

— Uwierz, mój drogi! bo tak jest w rzeczywistości — odrzekł Wacław — najkompletniej zerwany.

— Czy wolno zapytać cię, z jakiej przyczyny? zdawało mi się, że byłeś zakochany.

— Zakochany?! allons donc, zajęty trochę, powiedz raczej. Czy jesteś poetą i wierzysz, że w 19. stuleciu ludzie są tak naiwni i kochają się? Podobała mi się panna, nie tyle ładna, ile szykowna i rutynowana już na arenie świata. Taka tylko kobieta zająć mnie może. Nie cierpię tych młodziutkich, co chwila rumieniących się panienek, jestem zawsze w ambarasie co mówić z niemi, by przypadkiem dwuznacznem jakiemś słówkiem nie obrazić niewinnych uszek. Panna Róża niezaprzeczenie tedy podobała się mi. Gładko z nią idzie rozmowa, gra pięknie, śpiewa również dobrze, po francuzku mówi z akcentem paryskim. Nie zmięsza ją nic i nikt, i byłaby z niej żona wyśmienita dla mnie, który — znasz przecież moją słabostkę — lubi i chce brylować trochę, gdyby nie to, że pokazało się, że najdroższy tatuńcio przehulał większą

połowę majątku córki, któren jej się należał po matce. Ha! cóż robić? trzeba czekać jeszcze . . . Cóż? czy ten pociąg dziś nie nadjedzie? — dodał niecierpliwie, patrząc na zegarek.

Karol, chodząc z nim po peronie, nie chciał dać za wygranę, więc po chwili się odezwał:

— Przecież ty sam jesteś majętny?

— Dla tego też nie mogę się żenić bez majątku — przerwał żywo przyjaciel jego. — Czasy sielanek minęły, mój drogi! Ty nie masz wyobrażenia o tem, co kobiety dziś potrzebują, a potem przyjdą sukcesorowie, mamki, niańki, a bale, a stroje. Ta to buciki po 12 złr. płacą! Dziś warjat chyba żeni się bez majątku . . . Nie oszalejże ty, Karolu!

— Ja nie myślę jeszcze o żeniaczce. Nie użyłem dotąd życia: chcę go więc skosztować . . . Którą klasą jedziesz? . . .

— A zmiłujże się! przecież nie trzecią! — zawołał zgorszony dandys. — Przyznam ci się, że chyba wtedy wsiadłbym do wagonu trzeciej klasy pomiędzy tałałajstwo i żydostwo, gdybym nie miał już obiadu za co sobie kupić, a tak źle przecież nie jest — dodał z uśmiechem wyzywającym.

— Oh! sygnał! — rzekł Karol, i w tej chwili usunął się na bok, dotknięty jakiemś pudełkiem, którego właścicielka torowała sobie drogę lekko, rozpychając tłum zebrany. Nie mogła jednak dobić się daleko, zmuszona więc była, złożyć pakuneczki swoje na stole, a sama stanęła przy nich na straży. Za chwilę zjawił się przy niej mężczyzna młody jeszcze, i oddawszy jej kupione bilety, rozmawiał z nią z zajęciem i troskliwością dobrego przyjaciela.

Nasi znajomi przypatrywali się młodej dziewczynie ciekawie, osobliwie Wacław poprawił szkiełko w oku i impertynencko wzrok swój na nią skierował. Panna nie uważała jednak tego wcale, gdyż zajęta była rozmową żywą z swym towarzyszem, i z ciekawością prawie dziecinną przypatrując się całemu zgromadzeniu, śmiejąc się robiła dowcipne uwagi półgłośno. A śliczne to było dziewczątko. Mogła mieć lat najwyżej 18. Czarne oczy tryskały życiem, rumieniec świeży barwił śnieżne, krągłe jak jabłuszko liczko, a drobne jak

z kości słoniowej ząbki migały z pąsowych, małych, śmiejących się usteczek. Na gładkiem, białem czole wiły się w arabeski czarne lśniące włosy, na których ukrycie widocznie był za mały kapelusik z ryżowej słomki, przystrojony kwiatami żywej barwy i białą, gazową zasłoną, która kończyła się na kształtnym, cokolwiek zadartym nosku. Strój jakkolwiek bardzo pojedyńczy, uwydatniał jednak zgrabną figurkę, a z pod lekkiej muślinowej sukienki przezierały krągłe ramiona i szyjka, jakby łabędzia. Nasi znajomi podsunęli się bliżej do ładnej panienki. Ona jednak niedomyślając się wcale wrażenia, jakie na nich wywarła, śmiała się pusto, kończąc swoją rozmowę. W tej chwili głos portjera uroczyście zawołał: „Pociąg!", i tenże zasyczawszy przeraźliwie, otworzył szeroko swe ogniste oczy i tumanami wyrzucając z siebie parę, zatrzymał się nareszcie, zgrzytnąwszy kołami na żelaznych szynach. Młoda panienka pospiesznie zaczęła zbierać swoje pakuneczki, któremi jak muł się obładowała, i żegnając towarzysza, serdecznie go uścisnęła.

— Bądź zdrów, mój Władziu kochany — rzekła żegnając go — uściśnij jeszcze raz w imieniu mojem Emilkę najserdeczniej i pilnuj ją, by się po kuchni nie bardzo kręciła. Powinna wstawać późno, a kłaść się wcześniej. Nie pozwól jej jeszcze tak prędko, wyjść do miasta. Ja wiem że ona uparta, ale od czegoż ty mężem jesteś? nie pozwól i koniec...

Z temi słowami wymówionemi z rezolutną minką, przeciskała się przez tłum, który teraz powiększył się jeszcze wysiadającymi z wagonu podróżnymi.

— Jeszcze czas, Halo! nie spiesz się! dopiero pierwsze dzwonienie! — przedstawił jej młody mężczyzna, dźwigając za nią część pakunków.

— A dziękuję! szukać potem miejsca i spieszyć się. Ja muszę się dobrze usadowić, bo widzisz, co mam tłumoczków przy sobie. No, jeszcze raz: bądź zdrów i uciekaj — rzekła, usiadłszy już w jednem coupé wagonu trzeciej klasy, i wystawiając ładną główkę przez spuszczoną szybę, dodała:

— Uciekaj, mój ty... bo się boję, żeby tam Emilka sobie lub dziecku czego nie zrobiła, a pocałuj sto razy

odemnie Stasiunia w same śliczne pysio, tylko nie przyciskaj go mocno.. idźże już, Władziu."

— Piszże zaraz moja Halo! Ucałuj Zenonów i ich dzieci i donieś o wszystkiem, a w wakacje wybierzcie się wszyscy do nas. Bądź zdrowa...

Uścisnął raz jeszcze podaną mu rączkę i odszedł. Nie przeszedłszy jednak całkowicie małej przestrzeni, dzielącej wagony od dworca, usłyszał za sobą głosik podróżnej: „Władziu! Władziu!"

Wrócił więc nazad, a ładna panienka rzuciwszy już kapelusik, mówiła do niego całkiem poważnie:

— Ulopek dla dziecka jest w „nachtkastliku", a uważajcie, bójcie się Boga, żeby kąpiel nie była za ciepła. Emilka się na tem nie zna, a Zuźka strasznie roztrzepana. No! idź już! Bądź zdrów! Ale, ale... Emilka niech też koniecznie na drugie śniadanie pije winną polewkę... to ją wzmocni. Idźże, bo drugi raz dzwonią.

Gdy słuchający odszedł parę kroków, rzekła znowu z troskliwoscią starej babuni:

— Musisz ty sam, Władziu, jak przyjdziesz z bióra uważać na to, by flaszeczka była czysta i niezakwaszona, bo to okropnie szkodliwe dla dziecka. Bądź zdrów, mój Władziu, a nie wstępuj nigdzie po drodze, bo tam biedna Emilka sama...

Kiwnęła mu kilka razy czarnowłosą główką na pożegnanie i odprowadziła wzrokiem aż do drzwi wchodowych, w których znikł. Tak była zajętą radami, które udzielała młodemu człowiekowi, a które tak dziwnie i śmiesznie brzmiały w ustach młodziutkiej panienki, wypowiadającej je głośno z całą stanowczością, i niezażenowanej ani na chwilę ich niestosownością, że nie spostrzegła bynajmniej, iż zwróciła na siebie uwagę prawie powszechną, a najbardziej dwóch młodych mężczyzn, z których jeden miał na sobie torebkę podróżną, szkiełko w oku i bilet drugiej klasy za wstążką eleganckiego kapelusza. Tenże sam młody, przystojny mężczyzna nie spuszczał z niej oka, odpowiadał półsłówkami na zapytania przyjaciela, i nareszcie jakby powziąwszy nagle jakieś postanowienie, z oczami wlepionemi w wagon, w którego oknie świeciły czarne oczy, spoglądające swobodnie w około rzekł, ściskając dłoń towarzysza:

— No! żegnam cię więc, Karolu! Czas i mnie wsiadać. Wyjdźże w piątek na kolej, proszę cię. Gdybyś się mógł uwolnić na parę dni i ze mną pojechać, byłbym ci prawdziwie wdzięcznym. Konie będą już mnie czekały tutaj.

— Przyznaj się, Waciu, że cię zaintrygowała ta śmiała, czarnobrewa dziewczyna — szepnął śmiejąc się domyślnie Karol.

— A zaraz aż zaintrygowała? Ładny buziaczek ani słowa i oryginalna osóbka, ale z każdego słowa widać, że to coś nie z naszej sfery. Ciekawym... Bądź więc zdrów — dodał zakłopotany, i jakby chcąc pozbyć się towarzysza, rzekł do niego:

— Widzę przez okno, że w sali siedzą pp. Gr: bądź tak łaskaw, mój Karolu, pójdź do nich i wytłumacz, że nie mogłem być wczoraj u nich chociaż proszony. Jak tylko powrócę, będę tam natychmiast. Idźże zaraz, a nie pożałujesz tego, bo ot! zbliża się do nich w błękitnej sukience panna Matysia...

Karol zwrócił prędko oczy w okna sali, a dostrzegłszy coś jak jasny obłoczek, pożegnał przyjaciela i ulotnił się jak eter, niezatkany gumilastycznym korkiem. Zaledwie znikł, Wacław chyłkiem, by jak najmniej zwracać na siebie uwagę, podsunął się do wagonu, w którym dotąd stała nasza nieznajoma. Nie mógł jednak wsiąść tak prędko, jak pragnął, przed nim bowiem stała już na stopniu kobieta stara nędznie ubrana z dwojgiem wnucząt, zamorusowanych niemiłosiernie, a za nią dwóch żydów obdartych, brudnych i od których z dala biła woń czosnku i cebuli. Zaraz za nimi stanął jakiś kapral z rezolutną miną a nareszcie jakiś stary, chory jegomość, kaszlący i plujący co chwila. Młoda panienka odsunęła się od okna i podała rękę dzieciom, niemogącym się wygramolić, a śmiała się przy tem tak uroczo, że Wacław, zobaczywszy się w tak nieodpowiedniem mu towarzystwie, chciał już odejść i zaniechać swego planu, ale spoglądnąwszy raz jeszcze w białe ząbki i śliczne, śmiejące się a pieściwe usteczka, spojrzawszy w błyszczące, czarne oczka, z odwagą prawdziwie bohaterską pchnął przed siebie ostatniego z dwóch żydów, i wskoczywszy za nim, usiadł naprzeciw ładnej panienki z dumą

zwycięzcy. Aż odetchnął, nie mógł jednak z głębi piersi zaczerpnąć powietrza świeżego, bo w tej chwili prawdziwie desynfekcja okazałaby się bardzo pożądaną, a wynalazcy perfum, zajrzawszy do tego coupé, przekonaliby się, jak niesłychanie wynalazek ich byłby tamże zbawiennym. Panienka nie zdawała się jednak ani zaambarasowaną, ani zmartwioną. Podróż w takich warunkach nie była dla niej zapewne nowością, ponieważ nie zwracała nawet uwagi na niedogodności, ztąd wypływające, lecz zebrała tylko lekko sukienkę bliżej siebie i rzekła do dzieci łagodnie, lecz poważnie:

— Siedźcie grzecznie i nie mnijcie mi sukni.

W tej chwili pociąg ruszył, a panienka usiadła, wcisnąwszy się w kącik przy oknie.

Wacław wpatrywał się w nią, chcąc koniecznie zwrócić uwagę na siebie. Nie udała mu się jednak ta strategja wzroku, gdyż Hala jak na wszystkich tak i na nim przelotnie tylko zatrzymywała spojrzenie; dopiero gdy konduktor wszedłszy do wagonu dla przecięcia biletów, zobaczył bilet Wacława i rzekł: „Pan Dobrodziej ma przecież bilet drugiej klasy,“ a Wacław odpowiedział jąkając się, że przez zapomnienie tu wsiadł, Hala zdziwiona zwróciła swe oczy na niego i ciekawie zaczęła mu się przyglądać. Dawno już konduktor wyszedł, a wzrok jej spoczywał jeszcze na nieznajomym, który w tej chwili chętnie byłby opuścił swe stanowisko, aż wreszcie panienka, patrząc mu prosto w oczy roześmiała się na głos. Śmiech to był miły, srebrzysty jak dzwonek, niemniej przeto ubódł naszego bohatera, który czując się obrażonym, zapytał na serjo:

— Z czego się pani śmiejesz?

— Z pana — odrzekło śmiało dziewczę, i głośniej i szczerzej śmiała się dalej.

— Przyznam się pani . . . — zaczął dotknięty żywo.

— Że to niegrzecznie, śmiać się z kogo w żywe oczy — przerwała prędko — wiem o tem, ale jakże się nie śmiać z podobnego położenia, jak pańskie! Mieć bilet drugiej klasy, a wsiąść do trzeciej! Cha! cha! cha! Oto pomyłka zabawna! Ależ wsiadając, mógł pan uważać przecież, że towarzystwo podobne naszemu drugą klasą nie jeździ! Nie chciałabym w tej

chwili być na miejscu pana! Pomyłka wcale niemiła! Jaki pan zły być musi! Przynajmniej mnie gdyby się tak stało, zdaje mi się żebym płakała ze złości! Chciał się pan raz przejechać po pańsku i nie udało się Cha! cha! cha! dobrze mu tak! Nie trzeba pieniędzy rozrzucać. Gdyby pan zawsze jeździł drugą klasą, toby się pan z pewnością nie był pomylił. O czemże pan myślał, wsiadając?

— O pani — odrzekł wyśmiany stanowczo, spodziewając się, że to wyznanie wzruszy lub conajmniej zmiesza dziewczynkę. Omylił się jednak. Popatrzyła na niego obojętnie i wzruszyła ramionami z minką, wcale dla niego niepochlebną, a obróciwszy się potem do kaszlącego starego jegomości, rzekła doń bardzo uprzejmie:

— Jak pan kaszle okropnie! Może mogę służyć— i wyjąwszy z kieszeni dwa długie karmelki podała mu je.

— Dziękuję, moja panienko — odrzekł biorąc z rąk jej — ale cóż to pomoże na taki kaszel? przeszło pół roku już mnie tak męczy i nic nie pomaga. Doktorowie . . .

— Ej! co tam doktorowie! — przerwała lekceważąco. — Oni umieją tylko panów leczyć, drogie lekarstwa zapisywać i do kąpieli wysełać . . . to nie dla nas! Syrop Mańkowskiego jest bardzo dobry, ale także drogi, taka mała flaszeczka, a tyle kosztuje! Ale lodowaty cukier ze ślazowemi korzonkami gotować długo i to pić; będzie pan widział, że to mu pomoże. Niech też pan nie pali tak ciągle — rzekła zwróciwszy się grzecznie do kaprala, który kłębami dymu z cygara obrzucając pannę, był pewnym, że nareszcie spotka się jego śmiało wyzywające spojrzenie z jej wzrokiem. To też na jej przemówienie prędko zaczął od niej dym odgarnąć, a westchnąwszy po cichu, rzucił w pół zaledwo wypalone cygaro za okno, odpowiedziawszy jak umiał najgrzeczniej:

— Jeżeli to pani szkodzi . . .

— Ej! mnie zupełnie nie! ale temu panu, którego dym więcej jeszcze krztusi — odrzekła.

K. k. Korporal w tej chwili pożałował wyrzuconego cygara, i gniewnie popatrzywszy na pannę, rzekł gburowato:

— Trzeba było wsiadać tam, gdzie nie palą, tu nie ma napisanego, że nie wolno.

— Zapewne — odrzekła — ale kiedy chory już tu siedzi, to przecież ludzkość nakazuje.. Nie wierćcie się tak, dzieci, kapelusz nie do zabawy — dodała, odbierając swój kapelusik z rąk dzieciaków. — Macie— i przełamawszy na dwoje karmelek, dała im, odgarnęła im włosy z czoła i zwróciwszy się do staruszki, rzekła napominając:

— Dla czego też ich pani nie obmyłaś, ładne dzieciaki, a takie brudne, jak żydowskie. Pfe! jak też można! Przecież woda nie kosztuje. Niech im pani nos obetrze — a dowiedziawszy się, że to są sieroty po synie i że staruszka pragnie je umieścić w jakimkolwiek zakładzie, tkliwym wzrokiem patrząc na dzieci powiedziała: — Biedne sieroty! och! biedne! — i zamyśliła się głęboko.

Z tej zadumy zbudził ją dopiero głos wołający: „Medyka!“ Zwróciła się wtedy do Wacława i rzekła:

— Niechże się pan spieszy, bo tu bardzo krótko stoi pociąg — i usunęła się, chcąc mu dać więcej miejsca do przejścia.

— Gdzież się mam spieszyć? — zapytał zdziwiony.

— No! przesiąść się do drugiej klasy. To wolno jak pan bilet pokaże, ale prędzej — dodała, usunąwszy się jeszcze bardziej w kącik przed dwoma żydami, których podróż tu się kończyła. Zaledwo wysiedli, pociąg ruszył.

— Znowu się pan spóźnił! Widocznie nie sprzyja mu szczęście, ale teraz i tu znośniej będzie, bo tych żydów już nie ma.

— Pani do Lwowa jedzie? — zapytał Wacław, patrząc z przyjemnością w czarne, świecące oczka dziewczęcia i chcąc nawiązać rozmowę.

— Do Lwowa — odrzekła.

— Do rodziców zapewne?

— Nie mam już rodziców. Dom mojego brata jest moim domem. U niego to mieszkam. Może pan uważał tego ładnego szatyna, co mnie odprowadził na ko-

lej? To także mój brat młodszy. Nie ma jeszcze roku, jak się ożenił. Ma żonę taką młodziutkę: liczy dopiero siedemnasty rok.

— A pani? Wszakże i pani pewnie nie starsza? — ciągnął Wacław dalej rozmowę, słuchając z lubością szczebiotu miłego.

— Oho! ja już 19ty kończę! Nie jestem jeszcze bardzo stara, ale za to bardzo doświadczona. Dla tego też brat mój Władek pisał i do mnie i do Zenona, prosząc na wszystko, bym przyjechała na parę tygodni. Żona jego czuła się słabą, a to takie dziecko! Musiałam więc przyjechać. Bogu dzięki! wszystko szczęśliwie się odbyło, a Stasiunio taki śliczny, oczka ma czarne jak tarki, a taki już jest duży, jakby miał trzy miesiące. Emilka już wstawać zaczyna: otoż się obawiam bardzo, by sobie w czem nie zaszkodziła, i z karmieniem flaszeczką dziecka nie wiem, jak oni sobie poradzą. Och Boże! Że to też nie można być w dwóch miejscach naraz!

Śliczne dziewczę ani pomyślało o tem, że zwykle panny w jej wieku nie mówią o takich rzeczach młodemu mężczyźnie. Ona z całą naturalnością, właściwą jej, opowiadała wszystko, co ją dotykało osobiście. Wacław, którego niewymownie zajmywał i wdzięk nieopisany dziewczyny i prostota jej, której towarzyszyła jednak inteligencja wrodzona, nie mieniałby był w tej chwili miejsca swego nawet z aksamitami pierwszej klasy, żywo więc zajęty rzekł do niej:

— Dla czegoż pani tak spiesznie odjeżdża do Lwowa, gdy bytność jej u brata tak jest potrzebną?

— Z dwóch przyczyn: najprzód braterstwo moi we Lwowie także mnie potrzebują koniecznie. On jest przy drukarni i cały dzień nie ma go w domu. Julka, jego żona, bardzo wątła i chorowita, zapracowywać na siebie nie może, w domu zaś jest pięcioro dzieci, z których najstarszy chłopiec nie ma jeszcze 7 lat, a najmłodsza córeczka czwarty miesiąc dopiero. Nazwaliśmy ją Walerja, tak jak nasza matka się nazywała. Wszystko sami synowie, tylko Walerja jedna dziewczynką. Będzie szczęśliwa, bo całkiem podobna do ojca. Mnie lepiej zna jak matkę, tak się ślicznie do mnie śmieje, takie ma oczka niebieskie jak turkusy. Już mi

się tak za nią sprzykrzyło! Otoż musi pan wiedzieć, że ja chodzę do magazynu do roboty sukien. Ponieważ zaś panie Sz. pisały, że robota pilna, żeby przyjeżdżać koniecznie, muszę więc jechać, bo i Zenon biedny, jak mnie nie ma. Julka sobie sama nie może dać rady, pensja mała, trzeba się okropnie rachować, żeby bieda nie zaglądnęła. Ja biorę 8 złr. miesięcznie, coś z tego zostawiam sobie na ubranie, bo jakoś przecież muszę porządnie być ubraną. Od roboty wracam o 7mej, i zabieram się wtedy znowu trochę do porządków. Dzieci! — pan wie, ledwo to ubrać, już się poplami, porozdziera, wieczna koło nich robota! Nieraz z Julką do pierwszej w nocy siedzimy, osobliwie w sobotę. Ale za to w niedzielę, jak wyjdziemy do kościoła, albo na spacer, to wszyscy jak z pudełeczka, aż miło popatrzyć — i uśmiechnęła się rozkosznie.

— I nie nudzi pani takie życie? — zapytał Wacław, który znając tyle eleganckich panien, nie znał ani jednej, którąby była tak szczerze wesołą i zadowoloną przy życiu o daleko szczęśliwszych warunkach, jak ta młodziutka, ładna panienka, która z swobodą skrzętności i pracy mrówki szła przez życie i czuła się niewymownie szczęśliwą.

— Otoż znowu spotykam się z wyrazem, którego wcale nie rozumiem, a który często obija się o moje uszy — odrzekła, i nachyliwszy się ku pytającemu, zapytała poważnie i ciekawie:

— Co to znaczy nudzić się, i jak można mieć na to czasu dosyć? Wszak cały dzień schodzi na zajęciu bezustannem, a wśród pracy tak wesoło! Ja przynajmniej śpiewam ciągle, czasem nawet przez sen! Jak przyjdzie zaś niedziela, lub jakie święto, to nawet nie wiedzieć, gdzie pójść, tak wszędzie proszą. W lecie inne przyjemności, w zimie znowu inne. Na kompletach u p. Sozańskiej, jak się doskonale bawimy! Nieraz żałuję tylko tego, że mam za mało czasu, aby o tem rozmyślać! A jak które z dzieci słabe, albo wyjść nie można, to czasem aż się cieszę z tego, bo wtedy zabieram się do czytania, a ja tak lubię czytać! Doprawdy, gdybym była bogatą, tobym chciała czasem chorować, bo miałabym czas wolny do czytania, i czy-

tałabym dzień i noc! Często p. Rudolf przychodzi, pan znasz zapewne pana Rudolfa?

— Nie, pani! któż jest ten jegomość?

— Śliczny chłopiec, porucznik od Gondrecourt, tego wzrostu co i pan, ale oczy takie śliczne, błyszczące jak gwiazdy!

— Podoba się pani, jak widzę — rzekł dość niechętnie Wacław.

— A nadzwyczajnie! i ja jemu. Śmieją się z nas, że się kochamy! — i zaśmiała się sama serdecznie, wyrzucając w tył główkę, że aż szpilka z warkocza upadła na kolana.

— A czy tak nie jest? — zapytał Wacław i wpatrzył się w twarz dziewczyny.

— A cóżby nam z tego przyszło? — odrzekła wesoło — ani ja, ani on kaucji nie mamy. Nie moglibyśmy się więc pobrać, a szkoda! bo byłaby z nas ładna para. On taki wesół, tak ślicznie tańczy a powiada, że najlepiej lubi ze mną tańczyć. Ja się raz z nim założyłam, że cały wieczór ani nogą nie ruszę; myśli pan, że on tańczył? gdzież tam! choć tyle było ładnych panien...

W tej chwili ostatnia szpilka z włosów się wysunęła, a warkocz długości metrowej, gruby i lśniący opadł na ramiona panienki, która obydwiema rączkami zaczęła go obwijać na około główki.

— Jakie pani masz śliczne włosy! — mimowoli zawołał Wacław.

— Prawda? — odrzekła naiwnie — może pan myśli, że to są cudze, albo że wplecione krepony? proszę — i rozplotłszy prędko, podała mu je do rąk.

Młody człowiek trzymał w ręku jedwabne, czarne włosy i z zachwyceniem wpatrywał się w stojącą przed nim, okrytą jak płaszczem zwojami miękkich, ślicznych włosów śmiałą dziewczynę.

— Pani nie tylko włosy masz piękne, ale cała jesteś zachwycającą do odurzenia — rzekł ciszej i zadrżał lekko.

— Wszyscy mówią, żem ładna, pan Rudolf utrzymuje nawet, żem piękna. 'Cha! cha! cha! Ot! Bogu dzięki i za to!... to szkaradnie być brzydką...

„Mościska!“ — zawołał głos konduktora i pociąg stanął, a równocześnie z nim i panienka niesplecione już dla prędkości włosy upiąwszy szpilkami, przez okno wychyliła główkę. W tej chwili jednak pan kapral odsunął ją dosyć niegrzecznie i zabrawszy swój wcale nie elegancki kuferek, wysiadł.

— Chwała Bogu! — zawołała pół głosem — wcale niemiły ten pan. Chcecie wylecieć? nie pchajcie się do okna — strofowała dzieciaki — tu nic nie zobaczycie... Ach! jakie śliczne!... widzi pan?... jadłeś pan już? i wskazała na dziewczynę, niosącą tacę, na której stało kilka talerzyków, napełnionych poziomkami ze śmietaną.

Wacław zawołał na dziewczynę i wziąwszy od niej dwa talerzyki, podał jeden z nich Hali, prosząc by jadła. Przyjęła, a zasmakowawszy w nich rzekła:

— Słono pan za nie zapłaci, bo to jeszcze nowalia, a na stacjach to oni każą sobie potrójnie płacić. Przykro mi, żem zwróciła uwagę pana... Ale swoją drogą wyborne są i dziękuję za nie. Pasjami lubię poziomki — i w poziomkowych usteczkach nikły po trosze.

Zaledwie miała czas dziewczyna odebrać pieniądze i talerzyki, pociąg posunął dalej a Wacław rzekł:

— Jakże się cieszę...

— Że pan zjadłeś przezemnie poziomki, prawda? Gdyby nie ja, byłby ich pan nie widział. Zapewne to pana także cieszy; że ja je zjadłam... mogę go zapewnić, że mnie jeszcze bardziej. Wyborne były! trochę mało słodkie, no, ale trudno.... Czekajcie dzieci! chcecie rogalka? — i z torby ręcznej włóczkowej wyjęła dwa i obdarzyła niemi chłopczyków, a na podziękowanie staruszki odezwała się:

— Mój Boże! za cóż mi pani dziękuje? Wzięłam je sobie na drogę, a że zjadłam coś lepszego, więc bardzo chętnie dałam je dzieciom. — —

— Pani nie tylko jesteś śliczna, ale i dobra — szepnął Wacław.

— Gdzież tam? wcale nie! Czasem jestem nawet zła okropnie. Powiem to mojemu narzeczonemu; niech wie, jaką jestem.

— Masz pani narzeczonego? — zapytał młody człowiek, i jakoś nieprzyjemnie mu się zrobiło.

— Teraz jeszcze nie mam, ale kiedyś będę miała. Nie jestem przecież ani brzydszą, ani głupszą od tych, które idą za mąż — odrzekła z determinacją.

— Jesteś pani czarującą, i dla tego dziwię się...

— Że ja dotąd za mąż nie poszłam? — przerwała prędko. — Trafiło mi się już kilka partyi, ale żaden z tych panów mi się nie podobał.

— Masz pani gust wybredny, jak widzę.

— Wcale nie! Ale jeden miał zęby, jak wilkołak; bałabym się, żeby mnie nie pokąsał, nieznośny był przytem, bo ciągle mówił, że mnie kocha, jakby to było coś miłego, być kochaną od takiego potwora? Drugi był bardzo miły i elegancki, ale był prawie bez utrzymania: miał wprawdzie świetną karjerę przed sobą, ale gdzieś na księżycu, a ja nie mam ochoty, żyć nadziejami tylko. Trzeci, zasłużony człowiek był nawet dowódcą w powstaniu, ten miał znowu bzika: niby mnie kochał strasznie, oświadczył się i pokazało się, że on nawet nie wie, jak ja się nazywam. Zamiast metryki dał księdzu swój pamiętnik. Jestem dobrą Polką, ale trudno żyć z warjatem. Czwarty, jak kichnął na ulicy, zęby mu wstawione wyleciały, a jak mój brat raz w interesie poszedł do niego rano, to choć mężczyzna, przestraszył go się, taki obrzydliwy i szkaradny. Biedna żona ze samego wstrętu ciągleby musiała być chora i smutna, a na co mi tego? Mogę czekać jeszcze, aż mi się ktoś trafi taki, jak ja chcę.

— A jakiegożby pani wybrała? — śmiejąc się wesoło zapytał Wacław.

— Takiego, coby mi się podobał i miał choć skromne, ale pewne utrzymanie. Z niedostatkiem to ja sobie dam radę i nie boję się go, byle tylko zdrowie służyło, ale nędzy lękam się okropnie. Widziałam już takie przykłady: mąż się zapracowuje na śmierć, a żona chora pomódz mu nie może; dzieci kilkoro głodnych i obdartych rosną na wisusów, bo nie ma w czem i o czem posłać do szkoły, żydzi nachodzą dom i besztają, kredytu brak; mąż się z rozpaczy bieże do kieliszka a żona albo się truje, albo co gorszego. Zjawia się dobrobyt, kupiony wstydem i hańbą,

a dzieci dorosłszy, plują matce w oczy. I to się nazywa, że się kochali szalenie i z miłości się pobrali! Dziękuję ja za takie kochanie! Takich dwoje to na Kulparków, nie do ołtarza zawieźć!

— Więc u pani przedewszystkiem interes? — rzucił zapytanie trochę kwaśno Wacław.

— Broń Boże! Gdyby mi się konsyliarz oświadczył a nie podobał mi się, gdyby mi nawet suknie aksamitne i brylantowe dyademy posprawiał, tobym nie poszła za niego; ale znowu, gdyby mi się ktoś podobał więcej jak wszyscy inni...

— Jak pan Rudolf naprzykład — wtrącił z uśmiechem Wacław.

— Tak! a nawet jeszcze więcej — ciągnęła dalej — to nie zdecydowałabym się pójść za niego, gdybym nie miała pewnej podstawy utrzymania.

— Gdybyś pani prawdziwie kochała...

— Właśnie dla tego! Umarłabym patrząc na niedolę ukochanych osób, a nie wiem znowu czy miałabym siły, pracować na utrzymanie całej rodziny, a zresztą męża-próżniaka nie zniosłabym.

— Kochałaś już pani kiedy? — zapytał prędko Wacław i wpatrzył się badawczo w oczy panienki.

— Nie, nigdy — odrzekła bez namysłu. — Chciałabym bardzo, ale jakoś nie mogę, i zamyśliła się. Po chwili zwróciła się do chorego starca, a widząc, że oparł głowę o twarde drzewo i przymknął oczy, złożyła w kilkoro chustkę pąsową włóczkową i delikatnie podsunęła mu ją pod głowę. Przy tem poruszeniu sukienka jej lekko musnęła kolana Wacława, a krągły łokieć trącił jego ramię.

— Przepraszam — rzekła uprzejmie, choć młody mężczyzna wcale się nie gniewał.

W tem stary pan otworzył oczy i rzekł:

— Czy to Sądowa-Wisznia? możem zaspał?..,

— Spij pan spokojnie — odpowiedziała — ja pana obudzę przed stacją.

Chory przymknął zmęczone powieki i uśmiechnął się do niej. Dzieci tarły oczy i zaczynały się krzywić. Staruszka uspakajała je, jak umiała. Hala zwróciła się do Wacława:

— Nie mogę darować tej biedaczce, że tak koło niej i koło tych dzieci nieporządnie. Można być bardzo ubogą, ale to już formalne zamiłowanie w brudzie. Ach! chybabym sparaliżowane obydwie ręce miała...

— Takie śliczne rączki — wtrącił wcale niezgrabnie młody mężczyzna.

— Śliczne? — zapytała naiwnie i przyjrzała się im sama. — Ej! gdzież tam! Patrz pan, jakie pokłute palce.

Wacław wziął rączkę i przypatrywał jej się długo, paluszki były przekłute ale ślicznego kształtu, bialutkie, paznogcie zgrabnie obcięte, różowe. Niejeden już raz Wacław trzymał w swojej dłoni rączki młodej i ładnej kobiety, wypieszczone, wycackane rączki, które nigdy nie tknęły się żadnej pracy, a przecież nigdy z takim jakimś niezrozumiałym zachwytem nie patrzył żadnej kobiecie w oczy. On — lew całej okolicy — nie śmiał nietylko dotknąć, ale nawet nie ośmielił się, uscisnąć ją znacząco. Puścił rączkę i oczy spuścił. Panienka nie próżnowała i w tej chwili: z podszewki od stanika wyjęła schowaną tam igłę z czarnym jedwabiem i wziąwszy rączkę jednego z chłopców, zaczęła porządkować jego ubranie. Zaszyła rękaw od koszulki, który pozbawiony guzika wisiał tylko w około rączki i przymocował guzik u brudnej katanki. Drugiemu schowała brudniejszy jeszcze kołnierzyk i za pomocą szpilki zaczęła mu czyścić paznogcie, które wyglądały jak skład błota. Dzieci, do których ciągle przyjaźnie mówiła, dały z sobą robić, co chciała, wytrzeszczając tylko na nią zdziwione oczęta.

— Czekajno pani — rzekła nareszcie do staruszki, i wyjąwszy z kapelusika szpilkę, przypięła jej jakiś łaszek, który w wyobrażeniu właścicielki miał zastępywać kołnierzyk a który okręcał się naokoło szyi. Wacław nie spuszczał z niej oka, tak mu było miło i błogo w jej towarzystwie. Był to typ niewieści, zupełnie mu nieznany: nie do opisania wdzięczna powierzchowność, śmiałość i niewinność naturalna, ruchy tak ujmujące, żeby w salonie była cudownem zjawiskiem, bezustanne zajęcie i praca, które widać przylgnęły tak do niej, że niezrozumiałaby życia bez nich. Nazywała się Hala! jakie śliczne imię! jakie czarne, błyszczące oczy!

jaka szyjka łabędzia! i uszko różowe, i ząbki jak perełki!

Wacław myślał tak ciągle i patrzył na nią, która nawet w ciasnem coupé umiała się krzątać i bezwiednie nieść pomoc innym. Jaka to będzie dobra i miła żona kiedyś! — tak pomyślał, i dawno nie widziany rumieniec wystąpił na twarz jego. Szkoda że oczy panienki wybiegły teraz za okno daleko, bo ślicznie wyglądał on z tym rumieńcem i z tym jakimś uczciwym wyrazem w oczach.

Przesunęła się znowu koło niego i dotknęła ramieniem chorego starca:

— Zaraz będzie stacja, obudź się pan — rzekła głośniej. — Boże mój! jak pan kaszle! ta to piersi pęknąć mogą! —

I wyrzekłszy te słowa, chusteczką swoją obczyściła mu rękaw u surduta, pąsową chustkę położyła przy sobie, dawała mu jeszcze rozmaite rady a spojrzawszy na Wacława, który siedział z przymkniętemi oczami pogrążony w myślach, rzekła:

— Pan spi? jakżeż można spać w wagonie, gdy się jest zdrowym a wieczór taki cudowny!

Widząc że patrzy na nią, roześmiała się głośno:

— Zbudziłam pana, ale to nie szkodzi. I tak — pociąg zaraz stanie. Może się panu choć teraz uda wejść do drugiej klasy.

— Czy ja pani tutaj zawadzam, że się mnie chcesz koniecznie pozbyć? — zapytał Wacław jakimś dziwnie rzewnym głosem. Dziewczyna aż podniosła oczy na niego zdumiona.

— Co też pan mówi? — rzekła i lekko się zapłoniła. — Cóż mnie to może szkodzić? i owszem przyjemniej mi czas zejdzie.

— Niechże więc pani mi pozwoli zostać, gdzie jestem. Mnie tu tak dobrze!

— O! jeżeli panu to nie robi różnicy, to mnie tem bardziej. Czy pan także jedziesz do Lwowa?

— Tak jest, pani.

— W takim razie do końca podróży będziemy razem.

— Czy pani to niemiło?

Krągłe, białe ramiona podniosły się znowu do góry.

— Doprawdy dziwak z pana! — rzekła. — Czyż w podróży koleją możemy wybierać towarzystwo?

— Ale gdyby to było wolno, cobyś pani ze mną zrobiła? powiedz pani szczerze.

— Jużciż nie kazałabym panu wysiadać! Jesteś pan przecież, o ile mi się przynajmniej zdaje, przyzwoitym i dobrze wychowanym człowiekiem.

— Dziękuję pani — szepnął uradowany. Z czego właściwie? Czy z tego, że go nazywała przyzwoitym i dobrze wychowanym człowiekiem? Wszak do tego przez całe życie swoje miał zupełnie słuszną pretensję. Był czystej krwi gentlemanem i od urodzenia obracał się w wyborowem tylko towarzystwie. Powinienby się nawet obrazić podobną pochwałą. Piękne damy w świetnych salonach mówiły mu w oczy i poza oczy, że kilkoletnią bytność zagranicą musiał przepędzić w domu jakiegoś księcia. Dla czegoż więc tak mu miło było, słyszeć te słowa z ust młodej panienki, siostry drukarza, zarabiającej 8 złr. miesięcznie?

Pociąg stanął, panna pomogła wysiąść staremu jegomości i pożegnała go uprzejmie. Parę razy w czasie przestanku zwracała mowę do Wacława; ale on odpowiadał półsłówkami. Jakieś myśli głęboko go zajmowały: od czasu do czasu tylko utkwił wzrok w nią i wpatrywał się w postać dziwnie uroczą. Ona stanęła w oknie i zawołała: „Podajno tu, dzieweczko, wody!“ Po chwili podniosła do ust szklankę, w której perliły się krople ożywcze.

— Doskonała, świeża i zimna — rzekła. — Chcesz pan? — i napełnioną powtórnie podała mu szklankę. On z niewymowną radością przytknął usta do miejsca, którego się dotykały jej usta. Cichutko, nieznacznie pocałował brzeg szklanki, szklanki tej ordynaryjnej, z której Bóg wie! ile przedtem tałałajstwa piło! Horendum! On — on — znudzony wszystkiem i wyśmiewający wszystkie sielankowe uczucia, z dziwnem dla niego uczuciem całował szkło proste! On, który utrzymywał, że komfort więcej u niego znaczy, niż istota rzeczy, że choćby kartofle, podane na eleganckiej porcelanie smaczniej zje, jak kalafiory na fajansie.

— Prędzej panie!...bo dzieci chcą także pić! — i odjąwszy mu od ust próżną szklankę, napełnić znowu ją kazała, traktowała dzieci, staruszkę, zapłaciła i usiadła na powrót. Patrzyła na dzieci jak kot, czyhający na myszkę: to też zaledwo pociąg ruszył, przyciągnęła jedno do siebie i niezważając na opór a nawet na krzyk jego, obmyła mu twarzyczkę i ręce, obtarła potem suchym końcem swej chusteczki i pocałowała chłopczyka serdecznie, śmiejąc się wesoło:

— Widzisz jakiś teraz ładny. Nie płacz, nic ci się nie stało. — Przemocą odkryła teraz także twarzyczkę drugiego, który naprzód krzycząc schował ją w fałdy brudnej spodnicy babki, i podobną operację odbywszy, znowu wycisnęła całus na zrumienionych policzkach chłopczyka. Śmiejąc się przytem do staruszki, rzekła:

— Z dziećmi to tak zawsze trzeba robić. O! już czyste, a jakie milutkie! Ktoby tam uważał na to, że nie chcą się myć.

Wynalazła jeszcze jakiś rogalek i rozłamawszy go, obdzieliła ich i otarła z łez oczka.

— Pani podobno do Gródka? — rzekła — już niedaleko. Czy będzie kto oczekiwał na panią? Jakże byś sobie radę dała z dwojgiem dzieci? One by już spały.

— Wyjdzie naprzeciwko mnie moja córka, co wyszła za kowala — odpowiedziała staruszka — także biedna, 7ro dzieci, a on pijak.

— To już największe nieszczęście — zawołała panienka — ale bo pocóż znowu mieć tyle dzieci? Boże kochany! siedem par bucików, co to kosztuje! a wyżywić to! wychować!

Miała przy tych ubolewaniach minkę śmiesznie zafrasowaną, jakby ją samą główka o to boleć musiała.

— Nawet nieuważałam, że się tak pochmurzyło. Prawda, że już i wieczór, ale taki ciemny! A grzmi! — wyrzekła po chwili, i w istocie słychać było odgłos grzmotu w oddali.

— Pani się boi grzmotów? — zapytał cicho Wacław.

— Ja? o nie! przeciwnie! nadzwyczaj lubię burzę z grzmotami i błyskawicami. Zresztą ja się niczego nie boję — dodała.

— Z wyjątkiem złych ludzi — mruknęła staruszka.

— Ej! albo to prawda, że są źli ludzie? — zapytała Hala przecząco, odwracając od niej głowę. — Znam ich niemało, a wszyscy mniej więcej poczciwi.

— Bo pani sama jesteś jak anioł — odezwał się Wacław.

— Cha! cha! cha! — zaśmiała się figlarnie. — Śliczny zemnie aniołek... z rożkami! — dodała.

Wieczór ściemniał się coraz bardziej, blade światło lampki, zawieszonej u góry, zamigotało. Panienka wystawiła główkę przez szybę spuszczoną; ale wiatr się zerwał i niegrzecznie musnął ładną twarzyczkę, kilka kropel grubego deszczu upadło jej na czoło. Roześmiała się znowu i usunęła w kącik.

— Chłodno, niech się pani okryje — prosił Wacław i zarzucił na jej ramiona pąsową chustkę. Popatrzyła na niego i zarumieniła się, skinęła jednak na podziękowanie główką, a obydwiema rączkami przytrzymywała chustkę na piersiach. Podniosła oczy raz — drugi — trzeci — i ciągle spotykała się z wlepionym w nią wzrokiem młodego, pięknego mężczyzny. Zamknęła oczy, i oparłszy główkę o ścianę wagonu, chciała udawać, że spi. Sprzykrzyło się jej to jednak prędko. Podniosła powieki i znowu się spotykała z tym samym wzrokiem. A! tego już zanadto! pomyślała z gniewem, i bardzo serjo, niby zadąsana, zapytała:

— Czego mi się pan tak przygląda?

— Czy panią to gniewa? — zapytał cicho.

— Naturalnie! to niegrzecznie. Ja nie lubię tego i nie chcę — odrzekła stanowczo.

— Dlaczegoż więc jesteś pani tak uroczą, że od niej ócz oderwać nie można? — szepnął, obrzucając dziewczę gorącem spojrzeniem.

— Proszę mi nie mówić ciągle komplementów, bo to w końcu może mnie obrazić. Zakrawuje to coś na drwiny a ja drwić z siebie nie pozwolę.

Głos jej był cichy, lecz gniewny.

— Pani! panno Halo! może też to być, żebyś pani na chwilę mnie tak krzywdzić mogła okropnie? Ja

mógłbym sobie pozwolić, żartować z pani? ja? — zawołał głosem przestraszonym i pochwycił obie jej rączki. — Ja na panią patrzę tylko z uwielbieniem rozkosznem, myśląc jak też szczęśliwy będzie ten, do kogo pani kiedyś należyć będziesz?!

— Jeżeli będzie wart tego, z pewnością — odrzekła szczerze, zapomniawszy już o gniewie. — Modlę się codziennie o to, rano i wieczór, bym potrafiła uszczęśliwić tego, który będzie moim mężem. Zresztą niebardzo to i trudno. Jestem młoda, zdrowa i wcale nie brzydka. Umiem i chcę pracować, a kochać także potrafię. Czasem prędko się rozgniewam, ale choćbym chciała, nie mogę długo. Nie jestem też zupełnie biedną, mam w kasie oszczędności złożonych 400 złr. niby na wyprawę. Ale gdzieżbym ja tyle pieniędzy na fatałaszki wydawała, 200 złr. najwięcej, i z tego Zenonom coś dam jeszcze. Resztę trzeba schować, a nuż broń Boże! choroba zaglądnie do domu? — i zamyśliła się frasobliwie.

Wacław nieodpowiedział, puścił wolny bieg myślom . . Czterysta złr. ta śliczna panienka uważała za skarb, którego niepodobna wyrzucić na piękną wyprawę! Czterysta złr.! Cóżby panna Róża na to powiedziała? panna Róża, piękna salonowa panna z dyplomem szlachectwa na drzwiczkach karety, ona, która grała szumnie na fortepjanie, śpiewała publicznie dla ubogich, odbierając za to rzęsiste oklaski, mówiła po francuzku lepiej jak po polsku, skarżyła się wiecznie na nudy a ubierając się w atłasy i koronki drogie, czuła się niezadowoloną, marząc o mężu, któryby je zastąpił aksamitem i brylantami, i z którą pan Wacław nie mógł się żenić, — jak twierdził przed kilkoma godzinami — dla tego tylko, że majątek jej choć znaczny, nie był tak świetny, za jaki uchodził?! — W tej chwili siedząc w coupé wagonu III. klasy, oświeconem bladą lampką, na twardej, drewnianej ławce, słucha zbliżającej się burzy i pochłaniając wzrokiem postać ładnej panienki, widzi się u siebie, o kilka mil na wsi w obszernym a pustym dworze. Służba wybiega na jego powitanie, krzątając się leniwie, rządca oznajmia mu, co się złego i dobrego stało w jego nieobecności. Ukłonił się i odszedł, a on został sam.

Jakże okropną samotność mu się teraz wydała! — Sam! sam! Trzydzieście i trzy lat! Zawszeż będzie samotnym? Tyle przecież panien ładnych, bogatych... Każda z nich prawie — o! z pewnością! — stanie chętnie przed ołtarzem z młodym, majętnym, świetnie wychowanym, powszechnie chwalonym dziedzicem dwóch wsi... Każda! każda! któraż przecież?... I ot z drugiego pokoju wychodzi ku niemu śliczne, czarnookie, czarnowłose, uśmiechnięte widziadło. Zawisła mu na szyi obiema rączkami na ustach pocałunkiem. Wacława oblał strumień krwi gorącej... — O! gdyby — gdyby... marzył dalej, i widział znowu, jak mknęła przez pokoje, śpiewając i śmiejąc się. Tu proch obtarła czystą ściereczką, nie czekając na lokaja, tam znowu poprawiła poduszkę. A jego biórko, jakie czyste, lśniące, papiery poukładane w porządku! W kuchni wszystko sama przyprawiła, a wszystko jakież wyborne! Już potrawy na talerzu, a on jeść nie chce, aż ona skosztuje. Oh tak! teraz zjadła sama, a drugą łyżkę własnemi rączkami wśród śmiechu i żartów do ust mu niesie... swywolnica! Objęła za szyję, pogładziła włosy, jak grzecznemu dziecku... „Gródek!“ zakrzyczał głos konduktora. Hala pomagała znowu wysiąść staruszce, podawała jej dzieci i żegnała się z niemi. Wiatr coraz mocniejszy bił o szyby kroplami deszczu, błyskawica przedzierała obłoki, a grzmot huczał w oddali. Wacław obudził się z cudnych marzeń.

— Nie wiesz pan, jak długo pociąg tu stoi? — zapytała go panienka — chciałabym co zjeść...

Wacław jednym susem stanął w restauracji. Powiedziano mu, że jest doskonały sznycel z kartofelkami, który nawiasem powiedziawszy, trzeci już raz był odgrzewany, zabrał półtuzina przepalonych, czerstwych ciasteczek i pospieszył do wagonu. Młoda panienka sznycla nie tknęła, ciastka chrupała białemi ząbkami, gniewając się jednak:

— Doprawdy, że mi pan przykrość zrobił. Do czegoż znowu takie marnowanie pieniędzy? To sensu nie ma, przecież ja nie dziecko. Ręczę, że pan zapłacił po 10 centów za takie czerstwe szkaradne okruchy, i do czegoż to? Czy pan ma pieniądze na wy-

rzuceniu? Wyskoczył pan tak prędko, wołałam: Panie! panie! ale nie dodałam nic więcej bo nie wiem, jak się pan nazywa. Chciałam prosić o bułkę lub rogalik. Nie jestem przecież bez pieniędzy także. Niechże pan jé także przynajmniej. Nie są znowu tak bardzo złe... prawda? — Czy to bardzo śmiesznie i nieprzyzwoicie by było, gdybym się pana zapytała, jak się nazywasz? —

— Wacław Zalicki — odrzekł.

— Wacław — powtórzyła. — To ładne imię! zanuciła pieśń Brodzińskiego:

„Wasza wola — moja wola,
„Halino! Wacławie!“

Ale w tej chwili mocny rumieniec oblał ją całą, i łzy stanęły w oczach. Przypomniała sobie, że jej na imię „Halina“, i że to imię tak niebacznie złączyła z imieniem nieznajomego. Czuła całą niestosowność swego roztrzepania i zawstydziła się okropnie.

— Ach! mój Boże! co też sobie o mnie pomyśli! — i pierwszy raz uczuła się nieswoją i zakłopotaną, Wacław jednak pochylił się do małej rączki i pocałował ją.

— Jakaś pani dobra! — szepnął z uczuciem.

Konduktor znowu zakręcił klucz w zamku. Pociąg zgrzytnął i posunął się po szynach. Wiatr świstał i szumiał, deszcz lał i strugami wody spłukiwał zasunięte szyby, grzmoty coraz odzywały się głośniej, a w wagonie siedziało ich dwoje. Milczenie panowało głębokie... Wacław... cóż się stało Wacławowi, że nie korzystał z chwili tak szczęśliwego przypadku? Nie na to przecież dusił się w atmosferze trzeciej klasy, by siedząc sam na sam z ładną panienką bawić się w mruczka. A jeżeli też widział go kto, jak wsiadał? Toż dopiero śmiejąc się z niego, dopytywać się będą o wspaniałe tryumfy!... Siostra drukarza! ej! któżby tam robił wielkie ceremonje! Szwaczka! 8 złr. na miesiąc! Nie z takiemi wychodziło się zwycięzko! Czegoż właściwie siadł tutaj, jeżeli nie po to, by spędzić z śliczną dziewczynką kilka chwil miłych? Ach! jakiż zły był na siebie! Taka wyborna sposobność, a tu ani sposób, jednego śmielszego słówka wykrztusić

z gardła! Wstyd! hańba! Wacław, śmiały i odważny w każdej chwili, tryskający dowcipem a nawet cynizmem czasami, Wacław siedział skromny i milczący jak trusia, będąc *en deux* z śliczną dziewczyną, która zarabiała na życie białemi rączkami, które on z uszanowaniem pocałował.

— Która też godzina? — zapytała panienka, przyszedłszy już do siebie dawno po chwilowem zmieszaniu.

Wacław wyjął zegarek.

— Stoi — odrzekł — zapomniałem nakręcić.

— Śliczny zegareczek — powiedziała — jak cacko.

— Podoba się pani?

Oczy zamigotały mu radością, odpiął cienki, elegancki, złoty łańcuszek i zaczepił go wraz z zegarkiem u pąsowej chustki. Hala, wziąwszy go do rączki, podziwiała naiwnie.

— Jaki śliczny! Niech pan otworzy! Bardzo ładny! Ile też kosztuje? Muszę postawić na loterję: jak wygram, to sobie kupię taki. Ile kosztuje?

— Nie wiem, nie pamiętam. Niech się pani zdaje, że pani wygrała na loterję — odrzekł nieśmiało. Niech go pani zatrzyma, proszę.

Panna podniosła na niego zdziwione oczy, a przemawiało z nich zapytanie tak surowe, że młody mężczyzna znowu wzrok spuścił ku ziemi i bez słowa żadnego odebrał z rąk jej swą własność. I znowu milczenie... Ach! pięknie korzystał ze sposobności rzadko się zdarzającej, nie ma co mówić.

— Z całego licznego towarzystwa przy początku podróży, zostało nas dwoje przy końcu, jak to dziwnie! — rzekł mężczyzna, obrzucając ją tkliwem spojrzeniem.

— Cóż to dziwnego? — odrzekła. — Nieraz już jechałam podobnie, ale zawsze z przyzwoitymi ludźmi.

— Czy mnie pani do ich grona nie zalicza? — zapytał ciszej.

— Zresztą — ciągnęła dalej, nie odpowiadając na pytanie — ja i z niegrzecznymi dałabym sobie radę. Można przecież zawołać na konduktora, i albo samej

się przesiąść do innego wagonu, albo... Ale to mi się nigdy nie trafiło.

— I z pewnością nie trafi — dorzucił prędko Wacław, a oczy jego spojrzały prosto w czarne źrenice dziewczęcia. — Słyszy pani, co się tam dzieje na dworze?

—Słyszę i myślę, że zmoknę do nitki, nim dojdę do omnibusa. Suknia to mniejsza, wypierze się i wyprasuje; ale kapelusza mi szkoda. Parasolka moja maleńka...

W tej chwili piorun z łoskotem uderzył. Dziewczyna zadrżała i nabożnie się przeżegnała. Wacław roześmiał się głośno.

— A mówiła pani, że się nie boi — żartował.

— A piorunów, to co innego. Któżby się nie bał? — I roześmiała się także. — Pfe! szkaradny tchórz ze mnie — dodała. — Czy jest też co szkaradniejszego, jak rękawiczka niezapięta! Ach! to tak nieporządnie! Niech pan zdejmie, ja przyszyję guzik.

— Czyż ja wart, żeby się pani dla mnie trudziła? — zapytał cicho, posłusznie jednak podając jej rękawiczkę. Panienka podniosła główkę, popatrzyła na niego i pokręciła nią z minką samowolnego dziecka. Ostremi ząbkami odcięła guzik od własnej rękawiczki i przyszyła do jego.

— Ależ ja na to pozwolić nie mogę — zawołał Wacław — wszak to z krzywdą pani.

— Nie — odrzekła — moje rękawiczki na trzy guziki: więc choć jednego brakuje, to nie szkodzi. Wie pan, że zimno? Mam ciepłą chustkę a zziębłam.

— Niechże pani pozwoli, moja pani — głosem serdecznej prośby błagał Wacław, okrywając ją drogim swoim pledem. — Moja pani — powtórzył, a dziewczyna, okryta cała pysznym Himalaja zachychotała wesoła.

— Jaki cieplutki i miękki — rzekła — sama wełna. Musi być drogi. Pan musi być bogaty — dodała naiwnie.

— Dla czego pani tak sądzi? — zapytał z uśmiechem.

— Ma pan piękne i drogie rzeczy, zresztą wygląda pan na kogoś z arystokracji.

— Jakże to, proszę pani? — i zaśmiał się.

— Nie umiem tego określić, ale z pewnością tak jest. Całe zachowanie pana, powierzchowność jego każe tak sądzić.

— Czy w oczach pani jest to grzechem?

— O nie! dla czegożby? Majątek to piękna rzecz. Można się jednak doskonale bez niego obejść; tylko kto raz był bogatym a potem zostanie biednym, to musi być bardzo przykro. Dla tego niech pan o tem pamięta: bo uważam, że pan lubi trwonić pieniędzy, i ztąd wnioskuję, że pan na nie nie pracował, bo nie zna ich wartości. To źle! trzeba się odzwyczaić od tego! Stracić łatwo, choćby studnia, to nareszcie do dna się dobierze; ale zapracować każdemu trudno, a tem bardziej, gdy kto nic nie umie...

Przestała mówić, a taka śliczna była z poważną miną mentorki! Więc Wacław usiadł na to w wagonie trzeciej klasy, by z tych ślicznych koralowych usteczek dowiedzieć się, że jest utracjuszem i próżniakiem!

— Sądzi więc pani, że ja nic robić nie umiem — zapytał cokolwiek niechętnie.

— Przeciwnie! myślę, że pan umiesz pięknie grać, tańczyć, pewnie po francuzku i po angielsku mówić. Może pan nawet wiersze ładne pisze, i jeżeli pan ma majątek, to dostateczne dla niego, ale jeżeli posiada pan tysiące zawieszone na obłokach, to strasznie mało! Niechże pan teraz pomyśli: gdyby z tem co pan umie, naraz, jutro n. p. obudził się pan zupełnie ubogim, coby pan począł? — i pochyliła się ku niemu, i błyszczące oczka pytająco wlepiła w jego oczy.

— Poszedłbym do pani po radę, prosząc byś mi jej nie odmówiła — odrzekł bez namysłu.

— A nie wiesz pan nawet, gdzie mieszkam — odrzekła prędko. Zresztą na co tej ostateczności? lepiej szanować pieniędzy, nie wyrzucać ich tam, gdzie nie trza. Niech się pan nie gniewa za to, co ja mówię, przepraszam — i z pod lśniącego, wełnistego pledu wysunęła się mała rączka, którą mu podała na znak zgody z czarownym uśmiechem. Wacław nic nie odpowiedział, ale rączkę ciepłą, białą rączkę o pokłutych paluszkach trzymał nieruchomie w swej dłoni.

— Czy chcesz mi pan wróżyć, że się tak przypatrujesz badawczo mej ręce? — zapytała śmiejąc się i starając, wysunąć ją z dłoni jego. — Umiesz pan wróżyć?

— Umiem — odrzekł niby serjo — nauczyłem się tego od mojej mamki, która była cyganką — i nie puścił rączki.

— To matka pana nie karmiła go sama? — zapytała naiwnie — Jakże nie bała się, dać dziecku ssać pierś cyganki? Szczęście, że nie ukradła pana; cyganie przecież kradną dzieci.

— Szczęście, że mnie nie ukradła — rzekł ciszej i rączka przy ustach się znalazła. — Nie byłbym pani poznał.

— I ja byłabym marzła w mej lekkiej chusteczce, a teraz tak mi cieplutko w tym szalu. Poczciwa cyganka! Niechże pan wróży, albo . . . — i znowu próbowała wysunąć rączkę swoję z jego dłoni, daremnie jednak: przylepiła się do dłoni młodego mężczyzny, i ani sposób . . .

— Niechże pan wróży — powtórzyła, pąsowa cała i zmieszana nieco.

Wacław rozpostarł małą, drżącą rączkę na swej arystokratycznej dłoni, jak kartę białego papieru o różowych brzeżkach, i z komiczną powagą przyglądając się żyłkom i zgięciom zaczął:

— Najprzód muszę pani powiedzieć, że jesteś młodziutką, śliczną osóbką, w której każdy kochać się musi . . .

— To nieprawda — przerwała — tyle osób mnie zna przecież, a nikt się we mnie nie kocha.

— Ja temu nie winien, że tu tak napisano — odrzekł. — Napisano jeszcze, że w podróży poznasz pani młodego człowieka, który serce i majątek złoży u stóp twoich.

— A ja czy będę go kochać? — zapytała panienka, przejęta naprawdę wróżbiarstwem — bo jeżeli nie, to niech sobie zabierze i serce i majątek nazad. Ciekawam, gdzie ja znowu pojadę? Jezu Marja! żeby choć Emilce albo Stasiuniowi się co nie stało! Cóż tam więcej stoi?

— Że będziesz pani szczęśliwą i bogatą.

— Ej! co mi tam bogactwo! Byle mój mąż był dobry, pracowity, kochał mnie bardzo i miał z początku choć 50 złr. miesięcznie pewnej pensji. Przecież i ja nie będę siedzieć jak lalka z początku, i ja będę mogła zarobić także. Potem, jak przyjdzie już dziecko . . .

— Jak Bóg da dziecię, to będzie mamka i niańka — odrzekł ciszej Wacław, patrząc z nieopisanem uczuciem w twarz panienki, która z niewinnością anielską mówiła o przyszłości rzeczywistego życia.

— A! nigdy w świecie! — zawołała jakby przestraszona — ja taka zdrowa jestem! Nigdy nie pozwoliłabym na to, by obca kobieta moje dziecko karmiła i pielęgnowała. Od czegoż matka?

— Gdybyś pani jednak była bogatą . . zaczął.

— A nawet trzy razy bogatszą, niźli pan myślisz! — odrzekła z oburzeniem. — Bogatą czy nie! matka zawsze ma jednakowe prawa.

W tej chwili oprzytomniała i rumieniec oblał ładną twarzyczkę.

— Co też ja plotę! Boże kochany! zawołała prawie ze łzami. — Co też pan sobie o mnie myśli? ale wszystkiemu pan winien doprawdy! gniewam się . . .

— Na mnie? za co? panno Halo! — cichutko szepnął młodzieniec i raptem znalazł się na ławce, na której siedziała panienka, bliziutko niej, z jej rączką w swojej i z sercem, bijącem tak mocno w piersiach, że gdyby był cokolwiek w tej chwili przytomniejszym, byłby się stanem swoim naprawdę zaniepokoił. Dziewczę zadąsane chciało już coś odpowiedzieć, gdy w tem wicher jak gdyby grudniowy zawył przeraźliwie, lampka zgasła, błyskawica jak wąż rozdarła groźne obłoki i straszliwy huk piorunu dał się słyszeć tak blisko, że aż zadźwięczały szyby okien wagonu.

— Boże! zmiłuj się! — krzyknęła młoda panna przestraszona i byłaby się zsunęła z ławki, gdyby nie silne ramię mężczyzny, które okrążywszy delikatną jej kibić, zatrzymując ją, przycisnęło do siebie, drżącą jak gołąbkę, a usta mimowoli spotkały się z miękkiemi, czarnemi włosami dziewczyny. Kilka sekund panienka bezwiednie spoczywała w uchronnem objęciu.

Wyrwała się jednak prędko z niego i rzekła gniewnie:

— Jeżeli pan to naumyślnie zrobiłeś, to jest to z jego strony — szkaradnie...

— Pani! cóż ja winien, że błyskawica.., że lampa... bełkotał niezrozumiale.

— Winieneś pan, winien i koniec! proszę się nie tłumaczyć! tam, w tamten kąt, przy drugiem oknie, na drugiej ławce proszę siadać, i ani słowa, ani pół do mnie więcej!

I sama usunęła się tak w kącik, że zdawało się, że przebije sobą ściankę, a Wacław zmięszany jak żak szkolny na gniewny głos profesora, usiadł pokornie w drugi kąt, daleko od niej, i gdyby nie oddawna zapomniał płakać, z pewnością byłby się zalał łzami. Nie upłynęło jednak kilka minut, a żywej dziewczynie sprzykrzyła się ta cisza. Zaczęła więc śpiewać, a głos jej mieszał się z odgłosem wiatru i deszczu.

— Czy nie dojedziemy dziś do Lwowa? — rzekła niby sama do siebie głośno. — Czy pan umarł? — odezwała się po chwili. — Jeżeli nie, to proszę się odezwać, bo tu całkiem ciemno, a ja się umarłych boję. Miła historja! podróż z nieboszczykiem.

Ale nawet szelest nie przerwał złowrogiej ciszy.

— Czy my już minęli Zimnowodę? — zapytała znowu po chwili i znowu nie doczekała się odpowiedzi.

— A! to bardzo grzecznie, nie odpowiadać kobiecie! — zawołała już gniewnie, i znowu nic, ani szmeru nawet.

— Jeżeli się pan na mnie gniewa, to przepraszam — ale wyciągniętej rączki nikt nie pochwycił.

— Panie! panie! panie Wacławie! — zaczęła wołać, naprawdę przestraszona.

— Ach! — krzyknęła nareszcie, gdy znowu nikt się nie odzywał — to pewnie był złodziej! Zabrał moje rzeczy i uciekł! Panie konduktorze! panie konduktorze! — ale wicher, deszcz i grzmoty złożyły się na to, że nie tylko dźwięczny jej głosik, ale i trąba Archanioła nie byłaby słyszaną.

— Zabrał mi wszystkie moje rzeczy! Boże mój! Niegodziwy człowiek, a taki zdawał się miły i elegancki! Szczęście, że mnie nie zabił! Taki miły i przy-

stojny — mówiła sama do siebie głośno. — W tej chwili jednak rączka jej dotknęła własnych pakunków.

— Nie złodziej, nie! Bogu dzięki! Mniejsza o rzeczy, ale jakaby jego szkoda była! Bogu dzięki.... taki miły i — i — i nie... dodała prędko. Ale cóż się z nim stało na Boga? Może doprawdy umarł? może zemdlał?

Wyciągnęła rękę i szukając, dotknęła wreszcie jego ramienia.

— Panie Wacławie! panie! — wołała, poruszała go, ale ani nie drgnął.

Wtedy bez namysłu spuściła szybę, tę samą chusteczkę, którą myła dzieci, wystawiła na strumienie deszczu i pochyliwszy się nad nim, mokrą chustką zaczęła mu twarz nacierać.

— Co się stało? — zawołał Wacław nagle i stanął na równe nogi — kto to?

— To ja, Hala! Pan zemdlałeś, ja się tak zlękłam, myślałam że pan umarłeś. Przepraszam pana: to wszystko przezemnie. Już nic panu teraz? niechory pan? — szczebiotało przestraszone dziewczę, a on trzymał obydwie jej zimne z przestrachu rączki i ogrzewał tchem gorącym.

— Już się pani nie gniewasz na mnie? — pytał tak cicho a tak jakoś tkliwie, że dziewczyna nie miała serca, dłużej się gniewać. —

— Nie gniewam się — odszepnęła. — Któż widział, tak kogo przestraszyć! Aż się trzęsę cała — i w istocie drżała. Czy z pewnością z zimna? Jemu było gorąco, a drżał także. Czy gorąco i zimno jednakowe symptomata wywołują?

„Zimna Woda!“ zabrzmiał głos mocny. Pociąg stanął i jednocześnie blade światełko zamigotało u góry. Tą razą głos i światło było w istocie zimną wodą, która oblała dwoje młodych ludzi. Obydwoje się zaczerwienili i skromniutko usiedli w dwóch oddalonych kątach.

Byłże to w istocie Wacław? ten sam Wacław, który nigdy jeszcze nie stracił przytomności ducha, który rumieniec podobny i pomieszanie przypominał sobie chyba jeszcze z piątej klasy, gdy pannie o lat 6. starszej od siebie ofiarował bukiet, owinięty w jakąś poe-

zję własną, nudno - sentymentalną, z której bogini jego śmiała się potem długo w towarzystwie ładnego auskultanta? To był jego ostatni rumieniec. Potem nietylko bukiety, ale i droższe upominki jawnie dawał starszym i młodszym, ładniejszym i brzydszym kobietom, ale rumieniec nie wracał. A ileż razy śmiał się, gdy coś podobnego czytał w powieści jakiej, i myślał: Wielebym dał za to, żebym był świadkiem, jak dorosły mężczyzna czerwieni się obok młodej kobiety. Cha! cha! cha: Wiele bym dał za to! — I ot! nic nie dał, a przecież od trzech godzin zmienił się jakby za dotknięciem laseczki czarnoksiężnika z błyszczącego a znudzonego życiem i jego uciechami salonowca na zakochanego po raz pierwszy człowieka. Laseczką tą były czarne oczy, białe ząbki, śliczna twarzyczka i postać jak ulana, a włascicielką tej czarodziejskiej laseczki, dusza i serce uroczego dziewczęcia, pełnego życia, które tryskało ożywczym balsamem na każdego, co się zbliżył do niej.

— Jeszczem takiej nie widział — myślał wtedy, gdy Hala przemawiała do niego, a on pogrążony w zadumie nie słyszał tego. — Nie znam podobnej... I śliczna i miła! Ach! jaka luba, a groźna, jak królowa! Kazała mi siedzieć w kącie i siedzę, nie śmiem się nawet ruszyć, by się zbliżyć do niej. Chyba w czary muszę uwierzyć. Siedzę z nią sam na sam, ciemno zupełnie, a ja na pokucie za to, że przytrzymałem ją, by nie upadła. Ale za tę jednę chwilę warto choćby rok pokutować. Zdawało mi się, żem w niebie, a usta moje zabłądziły w jej włosów śliczne, czarne zwoje. Cóż z tego, że siostra drukarza i uboga? kiedy bogata w szczęście, które jak można władczyni pełną garścią rozsypać w około siebie może. Nie kochała nigdy! Ona nie kłamie: a nuż mię pokocha i zostanie moją, i tam w starym dworze moim będzie nas dwoje, a będziemy zawsze razem, i niekaże mi już siedzieć na pokucie. Już mi będzie wolno zbliżyć się do niej, będzie już moją, na zawsze moją, tylko moją Taka śliczna i dobra, pracowita jak pszczółka, wesolutka jak ptaszek, a syna sama karmić będzie, mojego syna!

Cóż dziwnego, że z podobnych rozkosznych marzeń obudził się dopiero na dotknięcie mokrej chusteczki i

że teraz siedział cichutko jak student, z daleka od niej. Ale i dziewczyna, jak to mówią, nie swoją była.

— Gdyby nie był bogaty i taki jakiś pan, to możeby się ożenił ze mną. Bardzo mi się podobał, bardzo, więcej jak pan Rudolf, jak ci wszyscy, których znam dotąd. Jakaż nieznośna rzecz, żeby akuratnie musiał być taki majętny! Mnieby to wprawdzie nic nie szkodziło, i owszem! ale bogaty nie żeniłby się przecież z biedną dziewczyną. O! jakaż ze mnie warjatka! Ja mu się może nawet zupełnie nie podobałam, a może już zaręczony, może żonaty — powtórzyła w myśli i troszeczkę ukłuło ją coś w serduszku.

Oboje marzyli i dla tego panowało długie milczenie. Nareszcie Wacław przerwał je:

— Pani lubi wieś?

— Zdaje mi się, że bardzo — odrzekła bez namysłu. — Ale nie byłam nigdy na wsi prawdziwej, tylko na przedmieściu. A pan czy mieszkał kiedy na wsi?

— Ja zawsze mieszkam na wsi, a tak pięknie u mnie, tyle drzew i kwiatów...

— A lewkonje są? — zapytała prędko.

— I lewkonje i róże, oranżerja, taka śliczna topolowa alea!...

— Jakiż pan szczęśliwy! — szepnęła.

— Nie jestem szczęśliwy! — odrzekł.

— Chyba że pan nim być nie chce! Cóż panu brakuje do szczęścia? — zapytała.

— Takiego aniołka jak pani do uprzyjemnienia życia — odrzekł prędko i wziął jej rączkę.

— Dla czegoż się pan nie żeni? — spytała. — Nie brakuje przecież panien na świecie.

— Bo dziś dopiero poznałem panią — rzekł szczerze i śmiało.

— Ja pana przecież nie znam — bąknęła wycofując rączkę. — Nie wiem, kto pan jesteś, ani nic. Cóż znowu za żarty? Któż się kiedy oświadczył w wagonie? Jaki pan nieznośny jesteś z taką gadaniną. Nie wiedzieć, do czego to podobne?

— Nie zgodziłabyś się więc pani, zostać moją żoną? nie mogłabyś mnie nigdy pokochać? — szepnął żałośnie.

— Czy ja wiem? — odszepnęła jeszcze ciszej — pan jesteś bogaty, a ja...

— A pani jesteś jeszcze daleko bogatszą, bo mogłabyś mnie uszczęśliwić sobą — odrzekł biorąc znowu rączkę, ale przytrzymała ją gwałtem.

— Nie! nie! — rzekła. Dosyć tych żartów, nie ma w nich sensu ani odrobiny. O! zbliżamy się już do Lwowa, Bogu dzięki!

— Tak to więc panią cieszy, że mnie się pozbędziesz, bardzo to smutno dla mnie — i westchnął. Panienka także westchnęła, ale bardzo cichutko, i mówiła:

— A deszcz leje i leje! Co ja pocznę z moim kapeluszem? sponiewiera się na nic...

— Niech mnie go pani powierzy, ja schowam go do kuferka., z pewnością nie zmoknie.

— A nie zemnie się? — zapytała.

— Nie! zrobimy mu wygodne miejsce — i otworzywszy elegancki, ręczny kuferek, oboje zaczęli w jeden kącik składać rzeczy Wacława. Hala dotykała jego ubrania.

— Mało krochmalne manszety — rzekła — i wcale nie ćmiącej białości. Niech pan kupi krochmalu u Winklera, tam jest najlepszy — i drobnemi rączkami usłała gniazdko dla swego kapelusika.

— Doskonałą pan myśl miał, nic mu się teraz nie stanie. Teraz chusteczkę wezmę na głowę. Tak! bardzom straszna? — zapytała, a straszną była chyba dla Wacława, który pożerał oczyma to pysio śliczne w pąsowych ramkach.

— Niech pan zawiąże... proszę... ciaśniej, a nie tak znowu. Chcesz mnie pan udusić? — i śmiała się, chychotała czarownica czarnooka, a Wacław nie mógł sobie dać rady z końcami pąsowej, włóczkowej chustki, które mu się wymykały jak żywe z drżących palców.

— Jeszcze mi pan rękawiczkę zapnie i będę gotową.

Biedny Wacław miał najlepsze chęci, Bóg świadkiem! ale ani sposób: patrzył a nic nie widział.

— Jakiż pan niezgrabny! — zawołała niecierpliwie. — Czyż nie umie pan zapiąć?

— Niech się pani nie gniewa — i na przeproszenie pocałował ją w rączkę.

— Pan ciągle przeprasza, czy jest za co, czy nie ma — odrzekła i poczęła obładowywać się swemi pakunkami.

— Niech mnie pani część powierzy — prosił.

— I owszem! ot! i jesteśmy! — zawołała.

Pociąg stanął, konduktor otworzył drzwiczki wagonu.

— Nie gniewa się pani na mnie? — szepnął Wacław.

Panienka pokręciła ładną główką.

— Nie — rzekła. — Niech pan wysiada, potem ja, — a gdy stanął na zmoczonej ziemi podawała mu rzeczy swoje, nakoniec podniosłszy jasną, lekką sukienkę, by uchronić ją od błota, błysnęła malenką, zgrabną nóżką, obutą w śnieżną pończoszkę i prunelowy sandałek, oparła się na ramieniu Wacława obydwiema rączkami i jak sarenka lekko wyskoczyła.

Za chwilę byli oboje na drugiej stronie dworca. Deszcz lał jak z wiadra.

— Czy jest omnibus? — zawołała Hala — gdy w tem zajechała parokonna remiza, i do niej wsadził ją Wacław.

— Jaki pan niepoprawny! — szepnęło dziewczę, z przyjemnością opierając się o miękkie poduszki. Powóz przechylał się po błotnistych kamieniach w tę i w owę stronę. Wacław nie śmiał już ramieniem przytrzymać wątłej kibici.

— Halo! panno Halo! czy my się już nigdy nie zobaczymy? Czy pani pozwolisz, odwidzieć cię w domu brata? — zapytał.

— Jeżeli panu to przyjemność sprawi, i owszem! dlaczegoż nie, mnie będzie miło...

— Gdzie więc? — zapytał fiakier.

— Na Zieloną — zawołała — daleko w górę. Numeru nie pamiętam, ale pokażę.

I jechali dalej i milczeli oboje, choć Wacław byłby dał najpiękniejszego konia ze swojej stajni, by mógł się zebrać na odwagę, przyciągnąć do siebie uroczą

towarzyszkę i ucałować te błyszczące oczęta i purpurowe usta na pożegnanie.

— Tu! tu! — zawołała nareszcie.

Fiakier stanął.

Panienka zabrała swoje rzeczy. Ledwie mogła z pod tego ciężaru wyciągnąć rączkę, by podać ją młodemu człowiekowi na pożegnanie.

— Żegnam więc pana i dziękuję — rzekła, — Nie próbuję nawet płacić, bo wiem, że pan na to nie pozwoli. Do widzenia, jeżeli pan chce!

I nim mógł Wacław odezwać się, pobiegła przez podwórze a wkrótce potem zakrzyczały radośne głosy w dwóch małych izdebkach, od podwórza na dole: „Hala! Hala! Ciocia Hala!“

— Przecież przyjechałaś! — wołał brat i bratowa, całując ją i witając, jak się wita ukochaną osobę.

— Ciocia Hala psijechala! — krzyczał mały Leoś, budząc starszego braciszka — Juś teraź będzie nam źnowu dobźe.

— Mama nie chciała iść z nami na spacer — odezwał się przebudzony, przyciągając za szyję ciotkę do siebie.

— Jakże się ma Emilka — dzieciątko? moja najdroższa! Bóg ci zapłać, żeś już przyjechała. Nie mogłam sobie dać rady bez ciebie — mówiła blada, wątła, młoda kobiecina, a brat Hali, mały, krępy, widocznie zmęczony pracą mężczyzna pytał znowu:

— A Władzio? śmieszny z niego musi być ojciec? — Bogdaj ci Bóg zdrowia dał, żeś przyjechała! Tak nam było źle bez ciebie!

A Hala całowała wszystkich, ściskała, śmiała się, wyjęła Walunię z kołyski i tańczyła z nią, opowiadając przy tem Emilce o Władziu i ślicznym Stasiuniu, a starszym chłopczykom wepchnęła po kawałku karmelka do ust.

— Jaki ciocia Hala ma ślićny sial — zawołał Leoś, i zawinął się w niego, że tylko kawałeczek nosa było mu widać.

— Jaki masz Halo! śliczny szal! — zawołała Julka, mnąc go w rękach. — Czy ci go Emilka pożyczyła?

Ale Hala oddała jej prędko dziecko i stanęła pąsowa jak mak. Przypomniała sobie w tej chwili, że nie oddała jeszcze szala właścicielowi i aż ręce załamała.

— A nie wiecie — zawołała. — Było mi chłodno, a taki był przystojny i miły, taki ciepły i miękki. Owinęłam się nim, a on mnie tak przestraszył, myślałam, że umarł albo że złodziej, ale gdzież tam! nie!... Obmyłam Go i żyje, zdrów, a taki miły, tak mi się podobał!... Cóż ja zrobię z jego szalem? A mój kapelusz? Boże mój! cóż ja jutro zrobię bez kapelusza?...

Po długiej chwili dopiero dowiedziano się, co te urywkowe słowa znaczyły i złożono walną naradę, jak odesłać szal a odebrać kapelusz. Nim jednak zdołano ją w czyn zamienić, zjawił się w samo południe na drugi dzień Wacław i zamiast etykietalnej dziesięciominutowej wizyty zabawił do wieczora, nie wypraszając się wcale od obiadu, na którym zjadł z największym apetytem kartoflaną zupę i kluseczki ze serem, które mu nałożyły na talerz małe, pokłute od igły rączęta czarnowłosej Hali. Zamiast trzech dni zabawił trzy miesiące we Lwowie, w którym to czasie rządca jego odbierał długie listy a po każdym z nich energiczniej porządkowano dwór i ogród. Ogrodnik odebrał rozkaz zasadzić wszystkie możliwe gatunki lewkonij w około gazonu. Jednocześnie rozeszła się pogłoska stugębna: „Pan Wacław Z. się żeni.“— Panna Róża wydęła pogardliwie usta i rzekła:

— Z jakąś szwaczką, słyszałam. Aż się wstydzę, że się o mnie starał — i westchnąwszy skrycie, uderzyła w klawisze, aż struna jękła, odpowiadając niewinnie za gniew pięknej panny.

W Październiku p. Karol odebrał oficjalne zaproszenie jako drużba, a prowadząc do ołtarza śliczną pannę młodą, strojną w atłasową, białą suknię z mirtowym wieńcem na czarnych włosach i owianą pajęczą, dziewiczą zasłoną, żałował tego tylko, że w małem

zgromadzeniu weselnem nie poznał drugiej, podobnej czarodziejki, dla której chętnie byłby się wyrzekł kawalerskiego życia.

Ledwie usiedli państwo młodzi do karety, Wacław objął żonę w pół i wycisnąwszy długi pocałunek na jej ustach, rzekł:

— Już mię teraz nie posadzisz na pokutę.

Przemyśl, 1881.

---

# Piosnka

przy

## kolebce.

Luli, luli, mój maleńki!
Nucić będę ci piosenki,
A ty oczka zmróż!
Spij spokojnie i śnij błogo;
Bo nad twoją główką drogą
Czuwa Anioł-stróż.
  Dziś ja jeszcze cię obronię
  I od złego cię osłonię,
  Choćby życiem mém;
  Ale kiedyś, dziecię biedne!
  Będziesz walczyć samo jedne
  Z ciężkim losem twym!
Któż wie, czyli życie twoje
Barwne w szczęście, czy też w znoje,
I co czeka cię?
Może ciężkie brzemię życia
Zaczniesz wieść już od powicia,
Może stracisz mnie?
  Lulaj, lulaj, dziecię moje!
  Ja na jasne czołko twoje
  Pocałunek dam:

Nim zażegnam życia burze,
Przyszłość cudną ci wywróżę,
Bolom zadam kłam.
Los sieroty — ciężka dola!
Lecz jeżeli Boga wola
Skróci moje dnie,
I z za grobu czuwać będę,
U kolebki twej usiędę,
Ukołyszę w śnie.
Lulaj, słodki mój aniele!
Ja pod główkę ci podścielę
Wieniec z wonnych róż
I uproszę Boga w niebie,
Aby we śnie bawił ciebie
Twój Aniołek-stróż!

*Marja Gr.*

---

# ZIARNKA MYŚLI,

zebrane przez

G. KOHNA.

---

### 1. Dant na wstępie do piekieł.

Pioruna moc
Wydobył z swego łona,
Aż piekła noc
Zadrżała zatrwożona,
Gdy wszedł w jej próg
Z okrzykiem Dant wspaniały:
„Przez cierń i głóg
„Do kresu wiecznej chwały!“

### 2. Nowocześni reformatorowie.

Wzywali nas, krzyczeli w las: „Na gwałt! na gwałt! na gwałt!

„Niech nowy kształt obierze świat i ziemia nowy kształt!“
Lecz gdy na czyn się zbroił gmin, to miast ideę czcić,
Rozbiegli się, rozpierzchli się, by w domach swych się kryć.
A prosty człek, to widząc biegł; sponiewieraną broń
Podniosłszy z ziemi, prawdy miecz w niezręczną jął go dłoń,
I co sił miał, za wrogiem gnał... gdy czarna spadła noc,
Zwycięzcą wrócił z pola bitw i chwalił Boga moc.

### 3. Charta erubescit.

Mówią że papier cierpliwy,
Choć go zamazać Bóg wie czem;
Lecz niech i on się rumieni
Przed fałszem, łgarstwem zbrodniczem,
I niech się rumieni żywo,
Gdzie błaznów zastęp bezwstydny
Pomiata pracą uczciwą,
Rzucając na nią wzrok hydny,
Lecz niechaj się w śnieżnej bieli
Każdemu wtedy przedstawia,
Gdy mędrzec myśli weń wcieli,
Gdy karci fałsz i bezprawia;
Gdy swą naukę i wiedzę
Rozrzuca dłonią bogatą —
Oh! wtedy niechaj jaśnieje
I papier śnieżystą szatą!

### 4. Świat najlepszy.

Mówią że świat ten najlepszy —
Najlepszy? zgoda, mospanie!
Najlepszy świat, by cyganić,
Gdy chęci na to cię stanie;
Najlepszy świat dla kupczących,
Najlepszy świat dla kramarzy,
Najgorszy świat dla rzetelnych,
Najlepszy — pewno dla łgarzy.
Najlepszy? zgoda i na to!
Najlepszy więc dla blagierów,

Najlepszy świat dla obmowy,
Najlepszy świat dla klakierów;
Najlepszy świat dla ſagasów,
Co w służbie bogatych panów
Sumienie swe zaprzedali.. ..
Najlepszy świat — dla gałganów!

### 5. Mądrość Getego.

„Nie dla wszystkich się godzi to wcale,
„Uwydatnić na równo swe głosy!“....
Niechaj żaba zaskrzecze więc w kale,
Ale orzeł niech pruje niebiosy!

## W pięcioletnią rocznicę założenia „Roczników Samborskich“

### na cele dobroczynne.

Słowo wypowiedziane ku obronie własnej

przez

G. Kohna.

---

W pięcioletnią rocznicę założenia „Roczników Samborskich“ jestem publiczności winien niektóre objaśnienia co do dotychczasowego postępowania mego. Przedewszystkiem wypada mi się wytłumaczyć, z jakichto przyczyn siedzibę druku samborskich roczników z Sambora do Przemyśla przeniosłem, przez co jako też z powodu znacznego rozszerzenia dzieła druk się cokolwiek opóźnił. Sądzę że to usprawiedliwienie nie będzie połączone z trudnościami.

Jako wydawca książek *na cele publiczne* nie mogłem przecież bez ubliżenia osobistej godności mojej, zezwolić na to, aby mnie poniewierali i poniżali ludzie, którzy nie mieli *żadnego a żadnego* udziału ani w moich pracach, ani też w ofiarach przezemnie poniesionych *dla dobra publicznego*. W ogóle wydawnictwo chromało pod każdym względem i nie mogło się rozwijać, krępowane miejscowemi stosunkami, jak długo tylko w Samborze wychodziło. Najlepszy dowód ten: nakład zawierający w ostatnich czasach 500 egzemplarzy, kosztował mnie w Samborze razem z papierem od arkusza 20 złr., w Przemyślu zaś razem z papierem kosztuje mnie od arkusza 12 złr. 55 ct. Skutkiem tego czwarty rocznik samborski, wydrukowany jeszcze w Samborze a zawierający 12 arkuszy druku, przyniósł dla dwóch towarzystw dobroczynnych, dla każdego z osobna 20 złr., t. zn. razem 40 złr. czystego dochodu,

piąty zaś wydrukowany już w Przemyślu a zawierający 16 arkuszy, przyniósł dla tych samych towarzystw, dla każdego z osobna 50 złr., t. zn. razem wziąwszy 100 złr. dochodu czystego.

Prawda, że wielka, niezaprzeczona w tem nawet zasługa szanownej publiczności, która nie dając się obałamucać potwarzami moich nieprzyjaciół, tak licznie spieszyła z przedpłatą, że rocznik piąty w całym nakładzie zawierającym 500 egzemplarzy, w chwili wyjścia został wyczerpany, i że nakład następnego rocznika, dla którego otrzymaliśmy bardzo cenne prace*), rozszerzony został na 700 egzemplarzy i na arkuszów 20; jest wielka i niezaprzeczona zasługa światłych przedpłacicieli, którzy złożyli nadzwyżki, albo jak hrabina *Anna Potocka z Rymanowa* za 3 lata z góry *uiścili* przedpłatę. Niemniej jednak jest to faktem niezbitym, że i ofiarność publiczności na mało albo i na nic by się nie przydała, gdyby „roczniki na cele dobroczynne Samborskie“ wychodziły i nadal wśród starych, krępujących je warunków życia.

Nie od razu Kraków zbudowany! Nic dziwnego więc, że i wydawnictwo moje, zwłaszcza w samych początkach nieraz wykazało dotkliwe braki. Starzy autorowie po większej części nie mieli do mnie należytego zaufania: mało też miałem ich prac. Trzeba było tworzyć dopiero i wykształcać zastęp młodych pracowników. Praca bardzo mozolna i niewdzięczna! Pomijając już naturę młodych autorów, którzy z małemi tylko wyjątkami, są zarozumiałymi, niewdzięcznymi i wymagającymi bez miary, musiałem się czasem spotykać z zarzutem, że tworzę z rozmysłu proletarjat literacki z młodych, niewykształconych należycie pseudo-autorów, czyniąc tem samem ujmę prawdziwym wymaganiom literatury. Zarzut bardzo niesłuszny, bardzo niesprawiedliwy! Już Mickiewicz wołał: „Młodości! podaj mi skrzydła!“ a następnie:

---

*) Między innemi powieść epiczną niepospolitej wartości pod tytułem: „Romuald Traugut“ i cenny bardzo dokument, tyczący się wypadków z r. 1848, udzielony Redakcji życzliwie przez poważanego powszechnie stryja mego, p. Bernarda Kohna we Wiedniu. (Uwaga wydawcy.)

„Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj, a okiem słońca
Ludzkości całe ogromy
Przeniknij z końca do końca.“

W młodzieży naszej zawarta jest przyszła nadzieja kraju, jest zawarta cała przyszłość onegoż. Lekceważyć sobie tej młodzieży *nie godzi się więc żadną miarą!* Że zaś młodzież nasza współczesna, po większej części zaślepiona zasadami fałszywej filozofii, porwać się dała prądom ironii i sarkazmu, pół bajronowskim, pół heinowskim, a bądź co bądź nie polskim; że *sztucznym* sarkazmem usiłuje gasić *prawdziwy* zapał i wdzierając się przemocą na stanowiska, nie należące jej się, poniżać usiłuje zasłużeńszych i starszych pracowników, zaprzeczając im prawdziwych zasług, to nad tem w interesie ludzkości, w interesie pomyślnego rozwoju przyszłości kraju *szczerze ubolewać* wypada. Nie winien temu jednak żadną miarą wydawca „Roczników Samborskich“, wychowany jeszcze w zasadach starej szkoły, poważającej i czczącej zasługujących na cześć publiczną.

Wykazane tu braki wydawnictwa wyzyskiwali krytycy nieprzychylni mi, zamilczając z rozmysłu wszystko co na moją korzyść przemawiałoby i przekręcając bez miłosierdzia fakta. Pierwszy przykład w „Tygodniu“ dał p. Wdowiszewski. Autor ten, jakkolwiek dobry prozaik a zapewne i niezły estetyk, pozbawiony jednak jak najzupełniej *i zmysłu poetycznego i jakichkolwiekbądź zdolności poetyckich* zabrał się do oceny prac moich współpracowników w „Tygodniu“, żebym się tak wyraził *hurtownie.* Co za wartość rzeczywistą taka ocena *hurtowna* mieć mogła, o tem i wspominać nie ma potrzeby. Dosyć jeśli powiem, że między autorami, o których w ocenie jego powiedziano, że utwory ich literackie *„zrodziła jedna para małżeńska: całkowity brak talentu, poślubiony chęci studenckiego popisu,“* znajduje się autor, którego poemat o Janie Kochanowskim na konkursie warszawskim uwieńczony został *pierwszą nagrodą,* znany poeta ludowy, Stefan z Opatówka; że między tymi niedołęgami, silącymi się tylko na zgromadzenie *„niedorzeczności, umysłowych aberracyj (wyraz niekoniecznie polski!) i płaskości“* znajduje się

także powszechnie poważany i czczony redaktor pewnego pisma perjodycznego, wychodzącego na prowincji; że między tymi studentami znajduje się hr. Władysław Tarnowski, którego „poezje studenta“, ale nie „studenckie oceny“ wydała w swojej „bibliotece klasyków polskich“ zasłużona firma Brockhausa w Lipsku.

Nieuczciwe, nierycerskie to postępowanie moich nieprzyjaciół przypomina mi znaną bajkę o starym lwie, złożonym chwilową niemocą, a którego osioł kopnąć usiłował. Aleź, moi panowie krytycy! na miłość boską! hamujcie chwalebne wasze zapędy. Jeszcze stary lew nie skonał, a dla wierzgających o . . . w nie nadeszła jeszcze stosowna pora.

Bajkę tę przypomniał mi świeżo najnowszy zamach, dokonany na moją cześć literacką w numerze 42-gim „Sanu“ z 16. października r. 1881go. Nie dziwię się wcale wywodom studenckim autora owej korespondencji, w której mi zaprzecza wszelkich zdolności literackich, a natomiast pod niebiosa wynosi zasługi dotąd niestety! nieznane światu literackiemu p. Jana Czaińskiego, właściciela drukarni w Samborze jako wydawcy mniej niż wątpliwej wartości romansów sensacyjnych francuskich i niemieckich, zawartych w „Bibliotece domowej“ a oddanych na użytek publiczności kuchennej niekoniecznie w wzorowych przekładach. Ja się dopiero z korespondencji przytoczonej dowiedziałem, że wydawnictwo podobnych śmieci jest zasługą, że się niemi budzi i podtrzymuje ruch literacki na prowincji i że przysporzenie przeszło pięciuset złr. instytucjom dobroczynnym za pomocą mozolnej, pięcioletniej pracy „przynosi wstyd i szkodę“ wydawcy „Roczników Samborskich.“ Pierwszorzędne bowiem pisma krajowe dotychczas twierdziły wręcz coś przeciwnego, a wątpię bardzo, iżby takie n. p. pismo jak „Gazeta narodowa“, albo „Dziennik polski“ pisało o „Tajemniczym Zbrodniarzu“ to samo, co o mojej „Miłości Giaffara“: „Myśl i tendencja szlachetna“. Nie uważam również za rzecz potrzebną, zbijać po kolei wszystkie wywody nieznanego światu literackiemu autora przytoczonej korespondencji, pana B. F.; zgadzam się nawet całkowicie na to i pochwalam bardzo, co powiedział, że dla człowieka mającego pretensje do wy-

kształcenia wyższego, jest to rzeczą nie do wybaczenia, jeśli jak ja, na ulicę wychodzi „z książkami w ręku i kieszeniach, a w wytartym surducie i kapeluszu,“ ale pytam go się na sumienie, czy to bodaj nie gorzej jeszcze będzie, jeśli się publicznie chodzi po świecie z *wytartem i miedzianem czołem?*

Nie dziwię się więc — powtarzam — autorowi przytoczonej korespondencji, że ją napisał; ale dziwię się redakcji „Sanu“, że ją umieściła. A jeśli już, twierdząc z całą stanowczością o mnie, że nie posiadam ani krzty talentu pisarskiego, nie starała się poprzednio zapewnić za pomocą czytania recenzyj zawartych w „Gazecie narodowej,“ „Dzienniku polskim,“ „Kłosach“ „Bluszczu,“ „Muzeum krakowskiem,“ „Głosie stanisławowskim“ i wielu innych jeszcze pismach, czy twierdzenie to jest uzasadnione — to czemu nie zaglądnęła od biedy do własnego swego archiwum i nie wyciągnęła zeń bodaj podobizny listu, wystosowanego wprost do mojej osoby? *)

Przemyśl, 13./4 1879.

Wielmożny Panie Doktorze!

Niejednokrotnie mieliśmy sposobność poznać piękne pióro WPana Doktora, co ośmiela nas do zapytania, czyby WPan nie zechciał nadsyłać do „Sanu“ tygodnika wychodzącego rok drugi w Przemyślu, korespondencyj swych ze Sambora.

Wiadomo nam iż w Samborze, jedynie WPan mógłby nam być pomocnym w tej mierze, jako zajmujący się sprawami publicznemi. W zamian za to, przesyłać będziemy nasz dziennik bezpłatnie.

Prosząc o łaskawy odpis miło mi dodać, że na żądanie WPana prześlę natychmiast na jego ręce wszystkie numera z roku 1879 i kreślę się

z wysokim szacunkiem i poważaniem
Adam Idzikowski m. p.
Redakcja czasopisma „San“ w Przemyślu.

---

*) W liście przytoczonym znajduje się mała pomyłka. Przez nieświadomość stosunków zatytułowano mnie doktorem. (Uwaga wydawcy.)

Biedna Redakcja, której pamięć trwa tylko 2 lata, 6 miesięcy i 3 dni; bo tyle potrzebowała czasu, aby zapomnieć całkowicie o tem, co mi poprzednio sama była pisała. Jest niemieckie przysłowie: „Zmyślił jak drukarz". Obawiamy się bardzo i słusznie nawet, że wkrótce przysłowie to zmienić trzeba będzie na: „Zmyśliła jak redakcja „Sanu."

W obec płytkiej oceny moich zdolności literackich, zawartej w „Sanie", mógłbym się słusznie odwołać na to, co mi w tej mierze pisał Nestor naszej literatury narodowej, J. I. Kraszewski: .... „Najciekawsze dla mnie były „Wrażenia z podróży po kraju" z taką szczerotą i ciepłem napisane, z których się poznaje życie prowincyj, miasteczek szczególniej. — Jest to niejako dokument historyczny — niekiedy smutny, a w ogóle przekonywujący, że się życie budzi i wyrabia." Mógłbym się odwołać na to, co mi w ostatnim swoim liście pisał Teofil Lenartowicz: „Pan Dobrodziej pisałeś po niemiecku; więc dziwna że i tak wysoko zaszedłeś. W tłómaczeniu (wędrówek Ahaswera) są strofy bardzo ładne." Mógłbym przytoczyć zdanie Agatona Gillera, streszczone w liście z 12. Stycznia r. 1882go: „Już to człowiek czynny, zajmujący wyższe w społeczeństwie stanowisko, przygotowany być musi z góry na różne napaści. Milczą i nic nie piszą tylko o nicościach." Mógłbym się zresztą odwołać na list Władysława Zawadzkiego, znanego światu literackiemu autora i krytyka, używającego zapewne większego rozgłosu od pana B. F. . . . „Z oburzeniem odczytałem zakomunikowany mi przez szanownego Pana w liście odpis nikczemnego paszkwilu napisanego na Pana w „Sanie" przez B. F. Niech Pan nie bierze sobie do serca takich nędznych paszkwilów, jak ten w „Sanie", lecz patrzy na to z pogardą i lekceważeniem takiem, na jakie zasługują!" Ale wszystkiemi temi wywodami za i przeciw nie dałaby się jeszcze sprawa sporna gruntownie wyczerpać. *Audiatur et altera pars!* Żal mi, serdecznie żal, żeby taki znakomity talent paszkwilancki, jak pana B. F. zniknął niespostrzeżenie w łamach jednodniówki, nie rozchodzącej się poza obręb byłego obwodu sanockiego i przemyskiego. A więc otwórzmy wrota temu rzadkiemu gościowi. Przyjmijmy

go według staropolskiego zwyczaju „czem chata bogata“ chlebem i — pieprzem. Niech otworzy usta, niech przemówi słowami „Sanu“ z dnia 16. października, r. 1881-go, a publiczność polska, publiczność czytająca niech wniknie w treść prac zawartych w V. Roczniku, niech wniknie w treść prac moich ogłoszonych z osobna, a potem przeczytawszy ocenę pana B. F., niech oceni zdolności lub nieudolność moją według upodobania:

---

Sambor 11. października 1881 (B. F.) „Wyszedłszy z księgarni i Czytelni dla miejskiego powinowactwa zaglądnijmy do drukarni J. Czaińskiego. Drukarnia ta,jak naprowincjonalne miasto dość obficie zaopatrzona w czcionki, maszynę pośpieszną i prasę ręczną, założona przed kilku zaledwie laty podtrzymuje ruch literacki w Samborze. Od czasu jej powstania wychodzą tu co roku tak zwane *„Roczniki Samborskie”* wydawane przez G. Kohna. Postać tego wydawcy poety — żyda, znaną jest nieco Galicyi i Waszemu miastu. Kulawy, a właściwie bez nóg, sparty na kulach, z książkami i w ręku i kieszeniach, w wytartym surducie i kapeluszu z podziwienia godną wytrwałością jeździ od miasta do miasta, sam kolportuje swe wydawnictwo, i nie zrażając się ani trudami, ani odmową, z prawdziwem poświęceniem godnem lepszego celu — podtrzymuje takowe. Mówimy, godnem lepszego celu, bo Kohn w swych rocznikach pomieszcza wszystko, co mu wpadnie pod rękę, bez żadnego wyboru, spuszcza się widocznie tylko na przypadek, a ten mu płata takie figle, że większa część utworów, jakie mu dostarcza, nie ma najmniejszej wartości, i raczej wstyd i szkodę, niż jakąkolwiek korzyść przynosi literatowi. Pod szkodą nie rozumiemy bezpożytecznej straty papieru, czernidła i pieniędzy, mamy na myśli szkodę, o wiele ważniejszą. Kohn nieposiadając sam wybitniejszych zdolności, bo prócz kilka udatnych drobnych wierszyków nie napisał nic godnego czytania, — bawi się w protektora młodych talentów, a

przyjmując wszystko wzbija tem w dumę młodych ludzi, nie posiadających nieraz żadnych zdolności i bardzo niedostateczne wykształcenie i tworząc z nich na poczekaniu według ich rozumienia jenialnych pisarzy odwraca ich od poważnej pracy, i pomnaża zastęp szkodliwego proletarjatu literackiego. Lepszych utworów w rocznikach Samborskich prawie dotąd nie było, i dlatego też słusznie roczniki te natrafiły wszędzie na bardzo ostrą krytykę i nie cieszą się wcale powodzeniem, a dosyć licznych prenumeratorów ściąga im nie ich wartość literacka, lecz wzgląd na ułomnego wydawcę — kolportera.

W roku zeszłym wydał Kohn w tej samej drukarni swe „Wrażenia z podróży", które dały bardzo złe wyobrażenie o wrażliwości i umyśle spostrzegawczym autora, a jeszcze gorsze o znajomości języka, który się wyszczególnia ogromną niepoprawnością. Dalej już od roku przeszło wydaje drukarnia Czaińskiego „*Bibliotekę domową*" obcych romansów. Dotychczas wyszły: „Tajemniczy zbrodniarz" Montepina; Ubogi szlachcic Consciencea; „Nocy w złotym domu", Salesa „Tajemnice Paryża", „Praca uszlachetnia" Z. Schwartz, „Panna Mania", „Anna Orzelska" Zielińskiego i t. d. Powoli zaczyna Biblioteka domowa budzić jakie takie zajęcie u publiczności, bo wydawnictwo jest dosyć tanie".

---

Temi słowami szacownego wyrobnika korespondencyj do „Sanu", pana B. F., zamykamy też niniejsze sprawozdanie z dodatkiem, że tanie mięso psy jedzą.

Sambor, 28. Lutego 1882.

*G. Kohn,*
wydawca „Roczników Samborskich."

# Spis przedpłacicieli.

Dr. Adler Szymon, w Monasterzyskach. - Dr. Als Roderyk, w Rzeszowie. — Amirowicz Albin, w Stanisławowie. — Artychowski Tadeusz, w Stanisławowie.

Bachmann Stanisław, w Tłumaczu. — Hr. Badeni Kazimierz, delegat Namiestnictwa i c. k. Starosta w Krakowie. — Bajan Ignacy, w Jarosławiu. — Balicki Ludwik, w Wykotach. — Bałaban Wincenty, w Żurawnie. — Barański, c. k. Starosta w Dolinie. — Bartoszewski, burmistrz w Jarosławiu. — Bartynowski Władysław, w Krakowie. — ks. Barwiński, w Dytiatynie. — Dr. Baumfeld Jakób, w Przemyślu. — Bayer Karol, w Drohobyczu. — Berchard Karol, w Szczercu. — Dr. Berliner Henryk, we Lwowie. — Biblioteka „Mrówki“, w Łańcucie. — Biechoński Wojciech, w Gorlicach. — Dr. Biegelmayer Alfred, w Samborze. — Dr. Bielański, w Łańcucie. — Bielewicz Józef, w Bolechowie. — Bielikowicz Pankracy, we Lwowie. — Dr. Bieńczewski Abdon, w Jaśle. — Dr. Bieńczewski Aleksander, w Dobromilu. — Dr. Bieńczewski Alfons, w Drohobyczu. — Bissinger Ferdynand, w Brzeżanach. — Blumenfeld Jakób, w Tarnopolu. — Dr. Blumenfeld Józef, we Lwowie. — Bociański Jan, w Krakowie. — Bogdanowicz Michał, w Stanisławowie. — Bojarski Józef, w Buczaczu. — Borecki Józef, w Stanisławowie.— Borecki Michał, w Buczaczu. — Borowski Michał w Podhajcach. — Borysiewicz Juliusz, w Rohatynie. — Brand Ignacy, w Tarnopolu. — Brandt, burmistrz, w Bochni. — Brąglewicz T. W., księgarz w Jaśle — Dr. Braun, w Złoczowie. — Dr. Byk Emil, we Lwowie.

Calewicz Piotr, w Tarnopolu. — Dr. Cassina w Przemyślu. Cetnarski Jan, w Łańcucie. — Chełmicki Stanisław, w Grybowie. — Chojnik Edmund, w Bolechowie. -- Dr. Chomicki Jan, w Żurawnie. — Chrzanowski Józef, w Tłumaczu. — Chudzicki, w Rohatynie. — Cieński Zbigniew, w Stanisławowie. — Dr. Cozel, w Stanisławowie. — Czapczyński Piotr, we Lwowie. — Czarkowski Antoni, we Lwowie. — Dr. Czaykowski Władysław, w Przemyślu. — Czepielewski Aleksander, w Przeworsku. — Czermińska Marja, w Rzeszowie. — Dr. Czeszer Józef, we Lwowie. — Czuczawa, w Zborowie. — Czytelnia, w Nowym Sączu.

Dąbrowska Melania, w Stanisławowie. – Dajewski Alfred, w Podhajcach.— Damask Adolf, w Tarnopolu. — Dawidowski Aleksander, w Tarnopolu. — Dębicki Jan, w Kołomyi. – Dębicki Ksawery, w Jarosławiu. — Dr. Delinowski Antoni, w Tar-

nopolu. — Diamand Józef Maurycy, we Lwowie. — Doboszyński, w Kołomyi. — Dobrzyński Adolf, w Nowym-Sączu. — Döller Juliusz, w Drohobyczu. — Dr. Dolański Ludwik, w Rakowej. — Dr. Doliński Franciszek, w Przemyślu — Dornwald Michał, w Przemyślu. — Dr. Dorożyński, w Podhajcach. — Düll R., w Rohatynie. — Dr Dworski Aleksander, burmistrz w Przemyślu. — Dworski Kazimierz, w Sielcu. — Dr. Dworski Tadeusz, w Przemyślu. — Dr. Dybka Antoni, w Podhajcach. — Dzbański Antoni, w Brzeżanach. — Dr. Dzikowski Frydryk i Przestalski Ignacy, w Kałuszu. — ks. Dziubek Edward, w Gorlicach. —

Dr. Eckhart Józef w Tarnopolu. — Estreicher Karol, w Krakowie.

Faliszewski Stanisław, w Kałuszu. — ks. Fałat Józef, w Rzeszowie. — Filia Banku hipotecznego, w Krakowie. — Filipek Wojciech, w Nowym-Sączu. — Finkelstein Maksymilian, w Podhajcach. — Frankowski Hipolit, w Złoczowie. — Frankowski Ignacy, w Przemyślu. — Freund Szymon, w Stanisławowie. — Dr. Friedmann, w Rohatynie. — Dr. Fruchtmann Filip, burmistrz w Stryju — Fruchtmann Izydor, w Trembowli. — Dr. Fruchtmann Jakób, w Drohobyczu. — Dr. Fruchtmann Leon, w Bolechowie. — Dr. Frühling Aleksander, w Tarnopolu. — Fuchs Adolf, w Stanisławowie. — Funkenstein Józef, w Kołomyi.

Gabrigel Wilhelm, w Brodach. — Gaertner Leon, w Stryju. Gall Jakób, w Tarnopolu. — Dr. Gaweł Jan, w Sanoku. — Gaweł Józef, burmistrz w Łańcucie. — Giebułtowski, w Jarosławiu. — Gilewicz Romuald, w Buczaczu. — Glass Edward Stanisław, w Łańcucie. — Głodziński Franciszek, we Lwowie. — Gmina miasta Buczacza. — Gmina miasta Monasterzysk. — Gmina miasta Rohatyna. — Gmina miasta Sambora. — Goldlust Ignacy, w Brodach. — Dr. Goldmann Bernard, we Lwowie. — Goldstein E. N., w Rzeszowie. — Dr Gottlieb Henryk, we Lwowie. — Grabiański Tadeusz, w Stanisławowie. — Grabiński, we Lwowie. — Grabowski, w Tarnowie. — Greif Hersch. w Tarnopolu. — Greiss Józef, w Tarnopolu. — Gromnicka Leokadya, w Żurawnie. — Gromnicki Eugeniusz, w Buczaczu. — Dr. Gross Piotr, we Lwowie. — ks. Gryziecki Stanisław, w Rzeszowie. - ks. Dr. Grzegorzek Wojciech, w Bochni.

Habura Franciszek. w Tarnowie. — Hanik Karol, w Buczaczu. — Hantschel Jan, w Sanoku. — Hanusz Antoni, w Łańcucie. — Hausner Alfred, burmistrz w Brodach. — Hausser Romuald, w Zaleszczykach. — Dr. Hefern Robert, we Lwowie. — Heldenburg Maksymilian, w Monasterzyskach — Hełczyński Władysław, w Bolechowie. — Henner B., w Przemyślu. — Dr. Herschmann Edwin, we Lwowie. — Herzig Ichel, w Sanoku. — Hickiewicz Stanisław, w Dolinie. — Hirsch Herman, w Tarnowie. — Hisztyn Walenty, w Kałuszu. — Hohendorff E., w Horożance. — Holzer Izak, w Rzeszowie. — Dr. Holzer Wilhelm, we Lwowie. Hoppen Antonina, w Swaryczowie, (zapł. 2 złr.) — Dr. Horowitz Jakób, w Tarnopolu. — Hoszowski Erazm, w Drohowyżu. — Hupkówna Ludmiła, w Tarnowie. —

Inlender Adolf, w Brodach. — Dr. Iskrzycki Aleksander, w Sanoku. — Iwański, w Tarnowie.

Ks. Jabłonowski Jan, w Przemyślu. — Jakubszy Karol, w Tłumaczu. — Janeczek A. R., w Przemyślu. — ks. Janer Cyryl, w Tarnopolu. — Janiga Wincenty, w Dzwiniaczu. — Janiszewski, w Buczaczu. — Jankowski Michał, w Dolinie. — Jaroszówna Kazimiera, we Lwowie. — Jastrzębski Rudolf, w Stanisławowie. — ks. Jaworek Mieczysław, w Założcach. — Dr. Jekeles Maurycy, wo Lwowie- — Jeleń Gustaw, księgarz w Przemyślu. — John Rudolf, w Krakowie.

Dr. Kaczkowski Karol, w Tarnowie. — Kahane Ludwika, w Sanoku. — Dr. Kalach Feliks, w Brodach. — ks. Kaliniewicz Jan, w Trembowli. — Kallir Nathan, w Brodach. — Kamieński Gustaw, w Laszkach. — Dr. Kamiński Ignacy, burmistrz w Stanisławowie. — Katzenellenbogen Gabryel, w Tłumaczu. — Dr. Katzenellenbogen Ludwik, w Stanisławowie. — Kirchner Feliks, w Tłumaczu. — ks. Kierszka Jakób, w Podhajcach. — Kobuzowski Godzisław, w Tyśmienicy. — Kohn Bernard, we Wiedniu (zapł. 40 złr.) — Kohn G., w Samborze. Kohn S. (Schaja), w Kołomyi. — Kokurewicz Julian, w Gorlicach. — Dr. Koliszer Józef, we Lwowie. — Konasiewicz Stanisław, w Buczaczu. — Kopacz Kajetan, w Tarnopolu. — Kossak Emil, w Przemyślu. — Kossakiewicz Wincenty, w Dolinie. — Kosterkiewicz Józef, w Stryju. — Kostro Władysław, we Lwowie. — Dr. Kotowicz Teodor, burmistrz w Mikołajowie. — Kowalska Marja, w Samborze. — Ks. Kowalski Jan, w Brodach. — Kowalski Władysław, w Żurawnie. — Koźmian Stanisław, w Krakowie. Krasucki Mikołaj, we Lwowie. — Kreiner E., w Rohatynie. — Krochmal Wilhelm, w Tarnopolu. — Królikowski Alojzy, księgarz w Tarnopolu. — Krug Maurycy, w Przemyślu. — Krużlewski Jan, w Medenicach. — Dr Krzyżanowski Edward, w Buczaczu. — Kwaśniewski Feliks, w Przemyślu. — Kwaśniewski Władysław, w Kałuszu. — Kwieciński Feliks, w Kałuszu. — Kuhn Juliusz, w Nowym-Sączu. — Kummer Kajetan, w Tarnowie. — Kunz Karol, w Zborowie.— Kurowski Mateusz, w Brzeżanach. — Kuryś Piotr, w Podhajcach. — Kustroń Jan, w Sanoku.

Laock Józef, w Tarnopolu. — Landau James, we Lwowie Langner Brunon, w Sanoku. — Dr Lazarus, w Tarnopolu. — Lazarus Maurycy, we Lwowie. — Leseverein, w Buczaczu. — Lewicki Ignacy, c. k. Starosta w Stryju. — Lilienfeld Izydor, w Podhajcach — ks. Lipiński, w Ujściu solnem. — Lipnicki Stanisław, w Trembowli. — Löwenberg Emilia, w Brodach. — Losch Phöbus, we Lwowie. — Lustig Maurycy, w Medenicach.

Ładyżyński Cyryl, burmistrz w Sanoku. — Łaski, w Gorlicach. — Łempicki Juliusz, w Kałuszu. — Ks. Łobos Ignacy, w Przemyślu. — Łopuszański Bolesław, w Podhajcach. — Łucki Teofil, we Lwowie. — Dr. Łuczakowski Włodzimierz, w Tarnopolu.

Majerski Ferdynand, w Przemyślu. — Malewski Artur, w Stryju. — Malicka Helena, we Lwowie. — Manasterski, w Mikołajowie. Dr. Mantel Jonasz w Tarnopolu. — Markheim Maurycy, we

Lwowie. — Markiewicz Michał, w Rzeszowie. — Marya z Rusiłowa, w Starogrodzie. — Masacz Henryk, w Rzeszowie. — Matkowski Jan, w Podhajcach. — Matkowski Stanisław, w Podhajcach. — Mayer Jerzy, we Lwowie. — Mazaraki Karol, w Sanoku. — Meisels Chaim, w Stanisławowie. — Merz Herman, w Tarnowie. — Michałowski Emil, w Tarnopolu. — Mikolasz Karol, we Lwowie. — Milerowicz Felicjan, w Stanisławowie. — Miłkowski Edward, w Gorlicach — Minich Jan, w Drohobyczu. — Dr. Miski, w Złoczowie. — Moczarski Teofil, w Przemyślu. — Monné Karol, w Przemyślu. — Dr. Mroczkowski Zygmunt, w Stanisławowie. — Muczkowski Stefan, w Krakowie. — Müldner Henryk, w Krakowie. — ks. Murdza Antoni, w Monasterzyskach. — Muszyński Alojzy, w Grybowie.

N. N., w Gorlicach. — N. N., w Krakowie. — Dr. Nacht Fabius, w Buczaczu. — Natorski Leon, w Tłumaczu. — Dr. Nawratil Zygmunt, w Komarnie. — Nęcki Aleksander, w Buczaczu. — Dr. Neumann Eugeniusz, w Gorlicach. — Neustein Joachim, w Trembowli. — Dr. Niementowski Przemysław, w Stanisławowie. — Nittmann Karol, w Brzeżanach. — Nowacki Andrzej, w Podhajcach. — Nowaczyński, w Podgórzu. — Nowy młyn, w Przemyślu.

Ohanowich Jan, w Miłowaniu. — Okmińska Petronela, we Lwowie, (zapł. 2 złr.) — Dr. Olpiński Julian, w Trembowli. — Olpiński Zygmunt, w Medenicach. — Onyszkiewicz Józef, w Zborowie. — Orłowicz Michał, w Komarnie. — Dr. Orłowski Józef, w Przemyślu. — Ornstein Alfred, w Tłumaczu. — Ostern, w Rohatynie — ks. Ostrowski, w Brzeżanach.

Palch Romuald, w Jaśle. — Parnas Mojżesz, w Tarnopolu. ks. Pastor Leon, w Radymnie. — Paszkowski Leon, w Krakowie. — Pawlikowski Ferdynand, w Samborze. — Pawłowski Karol, we Lwowie. — Pertak Karol, w Stanisławowie. — Pfeiffer Antoni w Buczaczu. — Piasecki Franciszek, w Samborze. — Dr. Piaskiewicz, w Kołomyi. — ks Piaskiewicz Józef, w Trembowli. — Pierzchała Klemens, we Lwowie. — Firożyński Antoni, w Przeworsku. — Pluschk Ferdynand, c. k. Starosta w Złoczowie. — Podolecki, w Tarnowie. — Poglies Karol, c. k. Prezydent sądu w Złoczowie. — ks. Pogonowski Czesław, we Lwowie. — J. O. ks. Poniński Ludwik Łodzia, c. k. Starosta w Tarnowie. — hr. Potocka Anna z Rymanowa (uiściła przedpłatę za 3 lata z góry) hr. Potocki Emil, w Buczaczu (zapł. 5 złr.)— Potocki Jan, emerytowany c. k. Starosta w Trembowli. — Dr. Pragłowski Tadeusz, w Przemyślu. — Prohaska Władysław, w Podhajcach. — Prószyński Bronisław, w Złoczowie. — Przysiecki Władysław, c. k Prezydent sądu w Kołomyi.

Radołowicz Teofil, w Zborowie. — Rank E., w Tarnowie. — Rasch Adela, w Kołomyi. — Reichhardt Maurycy, w Tarnowie. Richtmann Zygmunt, we Lwowie. — Dr. Rieger Władysław, we Lwowie. — Dr. Ringelheim Adolf, w Tarnowie. — Ritter Feliks, w Nowym Sączu. — Ritterschild Mieczysław, w Przemyślu — Dr. Rogalski Aleksander, we Lwowie. — Rogoyska Helena, w Maksymowicach. — Romański Franciszek, w Nowym Sączu. — Dr. Rosenbach Wilhelm, w Przemyślu. — Dr. Rosner

Maksymilian, w Kołomyi. — Rossin Izydor, w Tarnopolu. — Rozwadowski Władysław, w Krakowie. — Dr. Ruczka Julian, w Jarosławiu. — Rudkowski Andrzej, w Jaśle. — Rudolf Karol, w Tarnowie. — Runge Aleksander, w Krakowie. — Ruszczyński Jan, w Tarnowie. — Rutkowski Stanisław, w Jarosławiu. — Rybczyński Maryan, w Stanisławowie. — Rząca Karol, w Krakowie. — Rzewuski Walery, w Krakowie.

Sabatowski Antoni, w Brzeżanach. — Sadowski Jan, w Małpie. — Sądecki Bronisław, w Krakowie. — Dr. Salomon J., w Tarnowie. — Sanojca Marceli, w Tłumaczu. — Saphir Józef, w Tarnopolu. — Ks. Sawa Franciszek, w Tłumaczu. — Dr. Schaff Szymon, we Lwowie. — Schels Ferdynand, w Nowym Sączu. — Scherff Beata, w Samborze. — Dr. Schmidt Michał, w Krakowie. — Dr. Schmidt Raymund, w Tarnopolu. — Schneider Alojzy, w Dobromilu. — Schöffler Leopold, w Dolinie. — Schrayer Karol, w Buczaczu. — Schütz Bernard, w Tarnopolu. Sedelmayer Piotr, w Stanisławowie. — Seeliger, w Brodach. Semeczka Eliasz, w Buczaczu. — Sierpiński Feliks, w Tłumaczu. — Skala Andrzej, w Przemyślu. — Dr. Skalski Władysław, w Sanoku — Dr. Skórski Wacław, w Przemyślu. — Skrochowski Feliks, w Ropie — Skrowaczewski Feliks, c. k. emerytowany Starosta, w Stryju. — Skulski, we Lwowie. — Dr. Śleczkowski Czesław, w Gorlicach. — ks. Słotwiński Adam, w Krakowie. — Słotwiński Henryk, w Przemyślu. — Smolik Karol, w Kołomyi. — Smolik Leonard, w Monasterzyskach. — Dr. Smolka Franciszek, we Lwowie. — Solecki Edmund Leon, w Drohobyczu. — Solecki Piotr, w Łańcucie. — Sopotnicki Agaton, w Kołomyi. — Sozański Sylwery, w Błażowej. — Stachiewicz Walenty, w Tarnopolu — Starkl Aurelia, w Jarosławiu. — Stauber Adolf, w Kołomyi. — Stawicki Edmund, w Krośnie. — Stecher Antoni, w Mikołajowie. — Stefanowski Stanisław, w Samborze. — Stefczyk Franciszek, w Krakowie. — Dr. Sternklar, w Tarnopolu. — Dr. Sternschuss Henryk, w Podhajcach. — Stojałowski Aleksander, w Stryju. — Dr. Stojałowski Józef, w Tarnowie. — Studziński Leon, c. k. Starosta w Sanoku. — Studziński Marceli, we Lwowie. — Stupnicki Konstanty, w Buczaczu. — Stupnicki Konstanty, w Przemyślu. — Świchowski, burmistrz w Radymnie. — Dr. Świejkowski Zygmunt, w Tarnopolu. — Świtalski Józef, w Zborowie. — ks. Szaflarski Justyn, we Lwowie. — ks. Szeparowicz Abdias, w Oleszy. — Szklarski Alojzy, w Tarnowie. — Szlesinger Jan, w Kałuszu. Dr. Sztencel Bernard, w Żurawnie. — Dr. Szydłowski Walery, w Stanisławowie. — Dr. Szczurowski Kazimierz, w Stanisławowie.

Tapkowski Mieczysław, w Tarnopolu. — Dr. Tarnawski Leonard, w Przemyślu. — Dr. Teliszewski Konstanty, w Złoczowie — Tobiaszek Ludwik, w Trembowli — Tomkiewicz Karol, w Przemyślu. — Torosiewicz, w Rohatynie. — Towarzystwo kasynowe, w Podhajcach. — Towarzystwo kasynowe, w Rohatynie. — Towarzystwo rolnicze, w Krakowie. — Dr. Trachtenberg Maksymilian, w Kołomyi. — Trzaskowski Bronisław, w Tarnowie. — Turczyński Juliusz, w Stanisławowie. — ks.

Turkiewicz Józef, w Monasterzyskach. — Tyszkiewicz Piotr, w Żurawnie.

Uziębło Władysław, w Drohowyżu.

Vayhinger Adolf, w Starym Sączu.

Ks. Walczyński Stanisław, w Tarnowie. — Dr. Waygart Walery, w Przemyślu. — Dr. Weigel Ferdynand, Prezydent miasta Krakowa. — Dr. Weiss Adolf, we Lwowie. — Dr. Weisstein Edward, w Brodach. — Dr Weisstein Józef, w Tarnopolu. — Wekslerowa Stefania, we Lwowie. — Welichowski J., we Lwowie. — Wendych, w Zborowie. — Wierzbicki Albin Lubin, we Lwowie. — Wierzbicki Ignacy, w Drohobyczu. — Wierzbicki Jan, w Komarnie. — Wieselberg Salamon, w Kołomyi. — Wisłocki Aleksander, burmistrz w Tarnowie. — Witosławski Antoni, w Brodach. — Witosławski Teofil, w Rohatynie. — Dr. Witoszyński Teofil, w Dolinie. — Wlasek Maciej, w Drohobyczu. — Włodek Tadeusz, w Tłumaczu. — Wojtowiak Antoni, w Podhajcach. — Dr. Wolski Franciszek, we Lwowie. — Wolski Maksymilian, w Drohobyczu. — Dr. Wroński Bartłomiej, w Gorlicach. — Wszelaczyński Kajetan, w Tarnopolu. — Dr. Wurzel Maurycy, w Stanisławowie. — Wybranowski Antoni, w Złoczowie.

Zaborski Józef, w Komarnie. — Zagórski Franciszek, we Lwowie. - Zajączkowski Eustachy, w Samborze. — Zajączkowski Liberat, we Lwowie. — Dr. Zaleski Eustachy, w Stanisławowie. — hr. Załuski Jan, w Tarnopolu. — Zambelli A. K., w Drohowyżu. — Zaremba, w Mikołajowie. — Zarewicz Jan, w Sanoku. — Dr. Zatorski Maksymilian, w Krakowie. — Zawadzki Ryszard, c. k. Prezydent sądu w Tarnowie. — Zaychowski Piotr, w Dobromilu. — Dr. Zbyszewszki Józef, we Lwowie. — Zdrassil Ignacy, w Stanisławowie. — Zieleniewski, w Krośnie. — Zoffall Alfred, w Podhajcach. — Dr. Zoll Frydryk, w Krakowie. — Dr. Zucker Filip, we Lwowie. — Zucker Gustaw, w Monasterzyskach.

Żardecki Bolesław, w Łańcucie. — Dr. Żurawski, w Łańcucie. — Dr. Żywiecki Klemens, w Tarnopolu.

# TREŚĆ.

## SPIS POMYŁEK :

Str 23, w. 37 zamiast Miłołść, czytaj: Miłość
„ 45, „ 17 „ chrabiowanego „ uhrabiowanego
„ 50, „ 4 „ drobnę, „ drobną
„ 59, „ 28 „ rzwiła, „ rzeźwiła
„ 72, „ 14 „ es igrossatt, „ est ingrossatt
„ 85, „ 6 „ zmarło, „ zamarło
„ 85, „ 8 „ zawarło, „ zwarło
„ 88, „ 17 „ Psalúmach „ Psalmach
„ 101, „ 16 „ rewolucyj, „ rewolucyi
„ 104, „ 2 „ francnskiej, „ francuskiej
„ 112, „ 31 „ ludzi, „ ludzie
„ 114, „ 9 „ bratniéj, „ brutalnéj
„ 168, „ 20 „ odepchnęła „ odepchnęłaś
„ 176, „ 22 „ wyszły, „ wychodziły
„ 200, „ 20 „ gości, „ goście
„ 205, „ 32 „ sposrzegła, „ spostrzegła
„ 216, „ 25 „ przymocował, przymocowała
„ 223, „ 11, przed „zanuciła“ zapomniano „i“
„ 228, „ 38 w części nakładu mylnie wydrukowano : który zamiast które